Turbulencje w koalicji • Premier Bocheński? • Czy tatuaże szkodzą • Patohodowle
Polskie tropy afery Epsteina • Modne lata 90. • Sondaż: Polacy o Ukraińcach

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

© TOMASZ KACZOR/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195
TYGODNIK, nr 9 (3553), 25.02–3.03.2026
USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Marta Nawrocka
lat 39, status: emerytka

Urszula Brzezińska-Hołownia
lat 38, status: emerytka

Wydanie w sprzedaży do 3.03.2026
ISSN 0032-3500

Emerytury mundurowe

Największa polska armia to wcześniejsi emeryci

eprasa.pl 2a79540d47

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

ZIMOWY ZJAZD CENOWY!

ODZIEŻ ▸ BUTY ▸ NARTY ▸ DESEKI ▸ WIĄZANIA

NAWET DO -50% TANIEJ

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl 2a79540d47

24
Niebezpieczne tatuaże?

Tematy tygodnia

10 Rozmowa z **Ernestem Wyciszkiewiczem** o wojnie w Ukrainie i tym, gdzie jesteśmy w naszych relacjach z Ukraińcami
14 Joanna Solska **Emerytki przed 40 – jak to możliwe**

Polityka

18 Michał Danielewski **Polska 2050 się dzieli: co teraz czeka rządzącą koalicję**
21 Anna Dąbrowska **Tobiasz Bocheński: nowy premier prezesa?**

Społeczeństwo

24 Paweł Walewski **Czy tatuaże szkodzą?**
28 Katarzyna Kaczorowska, Agata Szczerbiak **„Słowiańskie laleczki", czyli polskie wątki w aferze Epsteina**
32 Joanna Podgórska, Michał R. Wiśniewski **Peerelowskie halucynacje**
35 Paweł Walewski **Suplement dobry na wszystko?**
38 Agnieszka Sowa **Zwierzęcy patobiznes**
42 Filip Zagończyk **Czy Polska przestanie ubezwłasnowolniać?**

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Rynek

44 Cezary Kowanda **Spór o gotówkę i dostęp do niej**
47 Adam Grzeszak **Podatek cyfrowy: czy uda się nim obciążyć big techy?**

Świat

50 Mariusz Zawadzki USA **Polymarket zamiast sondażowni?**
54 Adam Krzemiński **Czy Unia powinna mieć wspólną armię**
56 Piotr Podemski WŁOCHY **Jak się żyje w Mediolanie**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Tomasz Targański **Wzór na... rewolucję**
61 Agnieszka Krzemińska **Dzieje lustra**

Historia

64 Malwina Dziedzic, Aleksandra Żelazińska **Moda na lata 90. – skąd się wzięła i za czym tak naprawdę tęsknimy**
68 Christhardt Henschel, Aleksandra Paradowska, Robert Parzer **Polskie pamiątki po III Rzeszy: co zrobić z nazistowskimi budynkami**
71 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

76 Aneta Kyzioł **Oglądanie na ekranie – i to niejednym!**
79 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
80 Rozmowa z **Tomaszem Kisilewiczem** z 11 bit studios, laureatem Paszportu POLITYKI w kategorii kultura cyfrowa
84 Janusz Wróblewski **Polityczne Berlinale**
86 Dorota Szwarcman **György Kurtág: między fatalizmem a nadzieją**
88 Marcin Piątek **Kurz po igrzyskach**

Ludzie i style

94–97 • **„It girl" sprzed lat**
• **Pieroguszka i spółka**
• **Chcesz coś z Avonu?**
• **Gdzie będziemy szusować**
• **Pyra na talerzu**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **90** Witkowski • **91** Lis
• **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

Wydawany przez nas miesięcznik

„Wiedza i Życie"

obchodzi stulecie istnienia!
Zespołowi tego wyjątkowego pisma życzymy kolejnych **100 lat!**

Więcej na s. 53.

eprasa.pl 2a79540d47

Ucieczka do tyłu

Mariusz Janicki

Zapowiedź Jarosława Kaczyńskiego, że wybrał już kandydata PiS na premiera (ostatecznego?), dobitnie świadczy o kryzysie, jaki ogarnął jego partię, inaczej by tak wcześnie tego nie anonsował. Przedstawiony pretendent może pomóc, ale też zaszkodzić, bo co zrobi Mateusz Morawiecki, kiedy namaszczony zostanie np. Przemysław Czarnek albo Tobiasz Bocheński? (Sylwetka tego drugiego na s. 21). Ma być też niebawem pokazany, także w przyspieszonym tempie, nowy program PiS, wszystko po to, aby odwrócić fatalną tendencję. Bo partia prezesa zanotowała właśnie kolejny rekord in minus, zbliżając się do 20 proc. sondażowego poparcia (w innych badaniach ma nieco więcej).

Hegemoniczne dotąd ugrupowanie praktycznie zrównało się z łącznym wynikiem obu Konfederacji – Mentzena z Bosakiem i Brauna. Jeszcze raz prawdziwa okazała się zasada, że rewolucja pożera własne dzieci. PiS przez lata podgrzewał społeczne antynastroje, budował oblężoną przez „unijczyków" twierdzę, walczył z „rosyjsko-niemieckim kondominium", atakował obcych, którzy przynoszą „pasożyty i pierwotniaki", opowiadał się za „świętością życia i rodziny", doprowadzając przy okazji do ludzkich dramatów.

Wszystko na nic, bo nagle partia prezesa stała się za mało antyeuropejska i antyniemiecka, za łagodna wobec Ukrainy, nie dość surowa wobec imigrantów, niewyraźna w sprawach klimatycznych, za mało walcząca z aborcją itd. To Kaczyński i jego ludzie udeptali drogę Braunowi i innym konfederatom, a teraz mają pretensje, że ci okazali się pojętnymi uczniami, przerośli mistrza i jeszcze dodali gazu. Kaczyński musi ich zatem gonić i z tego wynika choćby stanowisko PiS w sprawie programu SAFE (więcej s. 6) – po prostu dość rozpaczliwie nadrabiają antyniemieckie i antybrukselskie zaległości. Na konwencji w Stalowej Woli poseł Błaszczak zarzucił Unii – poniewieranej od roku przez ekipę Trumpa – „antyamerykanizm"… Z czeluści wychynął nawet Antoni Macierewicz, ogłaszając, że państwa polskiego już nie ma, a rozbroił je Tusk. I w ten sposób dotyczący bezpieczeństwa kraju projekt SAFE został wplątany w problemy Kaczyńskiego z Braunem. Zazwyczaj przy kłopotach zaleca się ucieczkę do przodu, prezes ucieka do tyłu, desperacko przypominając elektoratowi, że PiS też jest prostą, skrajną i grubo ciosaną prawicą.

To, że wyborcy PiS odchodzą właśnie do Brauna – mimo że „są tam różne jaszczury", jak się wyraził prezes, doprowadzając do rozpaczy prawicowych publicystów, oczekujących koalicji całej prawicy – pokazuje, jaki elektorat wychował sobie Kaczyński. A coraz większym obciążeniem staje się dla PiS także serwilizm wobec prezydenta Trumpa i jego administracji. Badanie IBRiS (dla „Rzeczpospolitej") przyniosło ciekawe wyniki: na pytanie, czy zerwanie przez ambasadora USA stosunków z marszałkiem Sejmu wzmacnia, czy osłabia wiarygodność Stanów Zjednoczonych, jedynie 15 proc. respondentów stwierdziło, że „wzmacnia". Notabene, konfederacje są w kwestii relacji z USA bardziej wstrzemięźliwe. Także prezydent Karol Nawrocki nie pojechał na pierwsze posiedzenie trumpowskiej Rady Pokoju, wysłał swojego urzędnika.

Z sytuacji ugrupowania Kaczyńskiego płynie lekcja także dla drugiej politycznej strony. Widać, że prawica nie staje się wcale bardziej umiarkowana, nie wstydzi się swojego dorobku z minionej dekady, nie uważa, że zrujnowała ustrój państwa, że zabagniła politykę międzynarodową czy zdewastowała swobody obywatelskie. Nikt z prawej strony nie wybiera się do politycznego centrum, nie zamienia PiS na rządzącą koalicję. Może to być wskazówka dla obozu demokratycznego, aby wreszcie oderwać się od zaklęcia „co na to powie PiS", przestać łasić się do elektoratu, który i tak jest nie do pozyskania, nie ulegać przy każdym śmielszym projekcie przestrogom, że „na Nowogrodzkiej strzelą szampany".

Nadzieje PSL czy Polski 2050 na przejmowanie rozczarowanych PiS-em okazały się mrzonką, bo oni są rozczarowani, ale nie w tę stronę. A teraz, po rozłamie w Polsce 2050, powstało Centrum Pauliny Hennig-Kloski oraz „wyraziste centrum" Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, czyli w sumie wciąż nie wiadomo co. Ten podział to chyba jednak lepsze wyjście dla całej strony rządzącej, bo sytuacja w tym ugrupowaniu była żałosna, a awansowała na beznadziejną.

Pytanie teraz, czy rozłamowcy zamierzają powołać jakieś ugrupowanie i stanąć samodzielnie do walki, czy też jest to tylko poczekalnia do Koalicji Obywatelskiej, od której i tak nie wszyscy dostaną w 2027 r. miejsca biorące. Może bardziej od kolejnych klientów do obsłużenia na listach przydałaby się obozowi władzy w politycznym menu jakaś mała, ale śmiała partia liberalna ekonomicznie, która mogłaby choć trochę powalczyć z formacją Mentzena. Bo od początku zasadniczą słabością PL 2050 był niesprecyzowany odbiorca i nie bardzo wiadomo, do kogo kierowany komunikat (o sytuacji w PL 2050 i w całej koalicji rządzącej s. 18). A wiele sygnałów potwierdza, że nastał czas zadowalania przede wszystkim własnych, bazowych wyborców, tworzenia dla nich nowych opowieści i motywacji. Liczy się teraz nie tyle mdła centrowość, ile sprawcza wyrazistość, demonstracyjna pewność politycznych racji.

I nie dotyczy to tylko takich tworów jak partia Hołowni, bo i Koalicja Obywatelska ma nieco rozmazany kontur. Pytanie, jaką ripostę na ewentualne odrodzenie PiS przygotuje główna siła pociągowa obozu władzy. W pierwszej połowie marca swój mandat przewodniczącego odnowi Donald Tusk, odbędą się wybory do wszystkich struktur tej partii, a to w regionach decyduje się siła każdego ugrupowania, tam też są potrzebni prawdziwi liderzy, nie tylko aparatczycy. To może być moment na odświeżenie wizerunku KO, pokazania nowych twarzy. Zwłaszcza że wobec totalnej niejasności sytuacji politycznej kampania wyborcza rozpoczęła się tym razem wyjątkowo wcześnie.

eprasa.pl 2a79540d47

Albatros travel

Jubileuszowy
RABAT 4%
na 40-lecie
Albatros

Szwajcarska Riwiera

Szlakiem wina, czekolady i alpejskich szczytów

Wyjątkowa podróż do Szwajcarii – miejsca stworzonego dla miłośników malowniczych krajobrazów, historycznych miast i kultury prawdziwego celebrowania życia.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Przylot do Szwajcarii. **Dz. 2** Zwiedzanie Lozanny i degustacja czekolady. **Dz. 3** Château de Chillon, Montreux i winnice Lavaux wpisane na listę UNESCO. **Dz. 4** Wjazd pociągiem na szczyt Rochers-de-Naye. **Dz. 5** Dzień wolny lub opcjonalna wycieczka do Gruyères – sery, średniowieczny klimat i alpejska sielanka. **Dz. 6** Powrót z lotniska w Genewie.

6 dni
Wylot z Warszawy
18/10 2026
od **8.498,-**

NOWOŚĆ

Czarnogóra dla koneserów

Pomiędzy najwyższymi szczytami Bałkanów a najpiękniejszym wybrzeżem Adriatyku kryje się kraj z fascynującymi skarbami kultury, niezwykłą przyrodą i dramatyczną historią.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Dubrownik – Herceg Novi – Bijela. Zwiedzanie miasta i przyjazd do hotelu. **Dz. 2** Bijela – Kotor – Tivat – Bijela. Zatoka Kotorska z pieszym zwiedzaniem Kotoru i Tivatu. **Dz. 3** Bijela. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Nikšicia i klasztoru Ostrog. **Dz. 4** Bijela – Cetinje – Park Narodowy Lovćen – Bijela. Pałac króla Mikołaja i spacer po parku narodowym. **Dz. 5** Bijela. Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Dubrownika i rejs do Cavtat (Chorwacja). **Dz. 6** Bijela – Podgorica – Bijela. Zwiedzanie Podgoricy z degustacją wina. **Dz. 7** Czas wolny lub wycieczka fakultatywna do Perastu i na Wyspę Matki Boskiej na Skale. Kolacja pożegnalna. **Dz. 8** Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 07/05, 26/09 2026 | od 4.998,-

Swingujące Południe USA: Teksas i Luizjana

Magiczna podróż przez Teksas i Luizjanę, od pomnika JFK w Dallas przez wpisane na listę UNESCO hiszpańskie misje San Antonio aż po tętniący jazzem Nowy Orlean.

Zapraszamy w fascynującą podróż przez Teksas i Luizjanę – krainy historii, muzyki i wyjątkowej kultury. W Dallas podążymy śladami J.F. Kennedy'ego, w Austin poczujemy energię muzyki na żywo, a w San Antonio poznamy historię Alamo. Odwiedzimy centrum NASA w Houston, a w Luizjanie zasmakujemy kuchni Cajun, zobaczymy aligatory i fabrykę Tabasco. Finałem będzie Nowy Orlean – miasto jazzu, barwnych ulic i niepowtarzalnej atmosfery. Wycieczka odbywa się z polskim przewodnikiem, a napiwki dla kierowców są wliczone w cenę.

11 dni | Wylot z Warszawy 14/09 2026 | od 15.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Rabat 4% dla rezerwacji dokonanych **do 18.02 do 28.02.2026**
kod rabatowy **26PLEJUJUB40**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 2a79540d47

Bitwa o SAFE

Rząd wytoczył działa i dał ognia. Na poligonie pod Warszawą, w obecności premiera **Tuska** i ministra obrony **Kosiniaka-Kamysza** wojskowi użyli części uzbrojenia, które – w wielkiej ilości – chcą kupić z europejskiej pożyczki. Było głośno i widowiskowo, bo widok armat, dronów, wozów bojowych i uzbrojonych robotów ma zawładnąć opinią publiczną w boju o najważniejszy projekt obronny. Przemówiły nie tylko przeciwlotnicze armaty, ale i twarde liczby. Minister finansów wreszcie pokazał wyliczenia, których nie było w projekcie ustawy. Widać wyraźnie, że nie ma tańszej pożyczki na rynku, a niewielka z pozoru różnica kilku punktów procentowych na korzyść SAFE przekłada się na dziesiątki miliardów (36 do 60) budżetowych oszczędności w całym okresie spłaty. Generałowie i ministrowie nie wychodzą z mediów – tłumaczą, że nie ma takiej siły, by na SAFE najbardziej nie skorzystał polski przemysł, a żadna Bruksela nie układała nam listy zakupów.

Ale w tej bitwie coraz mniej chodzi o fakty. Za to coraz bardziej liczy się to, kto kogo pokona na politycznym polu walki. Dlatego lider PiS mówi o „niemieckim bucie", który przygniecie Polskę, a jego towarzysze gardłują, że pominięto amerykański sprzęt, ich zdaniem najlepszy na świecie. Jarosław Kaczyński zwykle używa *argumentum ad Germanum*, gdy jemu i jego partii grozi kryzys. Wściekły atak na SAFE pod hasłem nowego wstawania z kolan ma przykryć brutalną walkę frakcji wewnątrz partii i spadające notowania.

Hasło *buy American* to polski front wojny, jaką z europejskimi regulacjami toczy administracja Donalda Trumpa. W tej atmosferze ustawa wprowadzająca bankowy fundusz SAFE (ale, co ważne, nieprzesądzająca o samej pożyczce) trafi z Sejmu do prezydenta. Za kulisami słychać, że Nawrocki byłby skłonny ją podpisać, gdyby rząd dał mu szansę zdobycia punktów – wpisania jego poprawek czy dania mu symbolicznego nadzoru. To warunki trudne, bo senatorowie koalicji tydzień temu odrzucili większość postulatów głowy państwa. Pałac nieoficjalnie zarzuca Tuskowi, że fiasko ustawy widzi jako „polityczne złoto", bo odpowiedzialność spadnie na prezydenta i prawicę.

Generałowie, którzy murem stoją za SAFE, podejmą być może ostatnią szarżę na nadchodzącej odprawie zwierzchnika sił zbrojnych z dowódcami i kierownictwem MON. Ale eskalacja sprawia, że weto wydaje się bardziej niż prawdopodobne. (MŚ)

Święczkowski zgasi światło?

Koalicja zwlekała, a teraz prawdopodobnie straci możliwość skutecznego obsadzenia wakatów w Trybunale Konstytucyjnym. Posłowie PiS postanowili dać prezydentowi Nawrockiemu pretekst do odmowy zaprzysiężenia sędziów, jeśli zostaną wybrani głosami koalicji. To zaś z kolei da prezesowi TK Bogdanowi Święczkowskiemu pretekst, żeby nie dopuszczać ich do orzekania.

3 lutego do TK wpłynął wniosek posłów PiS, w którym skarżą tryb wyboru sędziów TK – notabene uchwalony z inicjatywy PiS w 2016 r. Ich zdaniem sprzeczne z konstytucją jest to, że ustawa o TK nie gwarantuje parytetu dla klubów poselskich przy wyborze sędziów. A także że prezydentowi nie zagwarantowano prawa weta w stosunku do osób wybranych przez Sejm do Trybunału.

Byli prezesi TK: Stanisław Biernat, Andrzej Mączyński, Janusz Niemcewicz, Andrzej Rzepliński, Marek Safjan, Jerzy Stępień, Bohdan Zdziennicki i Andrzej Zoll wydali oświadczenie, w którym nazwali wniosek posłów PiS „kolejnym krokiem w kierunku destabilizacji polskiego systemu ustrojowego", który „zmierza wprost do zmiany konstytucji, przez dopisanie do jej tekstu nowych kompetencji prezydenta, których ona nie przewiduje". Prezesi wskazują też, że w składzie wyznaczonym do rozpoznania sprawy jest były poseł PiS Stanisław Piotrowicz, który wyjątkowo aktywnie uczestniczył w uchwalaniu zaskarżonych przepisów, m.in. jako poseł sprawozdawca. „Fakt ten wyraźnie uwydatnia instrumentalne traktowanie Trybunału dla uzyskania określonych, politycznych celów" – oceniają byli prezesi. I wzywają „osoby zaangażowane w przywrócenie standardów rządów prawa w naszym kraju do wyrażenia zdecydowanego sprzeciwu wobec zamierzonego działania, zmierzającego do dalszej destabilizacji ustrojowej i pogłębienia kryzysu konstytucyjnego".

Rozprawa 10 marca. Jeśli TK orzeknie, a prezydent skorzysta z pretekstu, by odmówić zaprzysiężenia sędziów wybranych w procedurze, którą TK uznał za niekonstytucyjną, PiS osiągnie swój cel. Czyli zablokuje obsadzenia ośmiu (do końca obecnej kadencji Sejmu) miejsc w TK przez koalicję. Koalicja będzie zaś miała do wyboru: uchwalić przepisy o wyborze sędziów do TK, uwzględniające wyrok TK, lub nie uchwalić i pozwolić się Trybunałowi wyludniać. Jeśli w wyborach 2027 r. nie straci władzy, to do końca następnej kadencji w Trybunale pozostanie jedynie jej prezes Bogdan Święczkowski. Nastąpi naturalne wygaszenie Trybunału. I kto wie, czy to nie byłoby najlepsze rozwiązanie. (ES)

eprasa.pl 2a79540d47

Bułka z masłem? Nie dla każdego

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Z perspektywy kanapy zawsze wiadomo, jak należało piłkę kopnąć, by trafiła do bramki. I jak się od progu odbić, by daleko wylądować. Podobnie jak u kibiców sportowych rzecz musi wyglądać u – niektórych przynajmniej – obserwatorów życia politycznego. Im dłużej kręcą głową z rosnącą dezaprobatą nad słowem i czynem wybrańców narodu, tym bardziej umacnia się w nich przekonanie, że dałoby się to zrobić lepiej, bo działalność polityczna to przecież bułka z masłem. W pewnym momencie zaczynają więc „rzygać polityką rozumianą jako spektakl dla idiotów" i ruszają do boju o „inną politykę" (cytaty za: „Fabryka jutra" Szymona Hołowni), przekonując przy okazji opinię publiczną, że mickiewiczowskie zawołanie „kochajmy się!" da się z powodzeniem uprawiać właśnie na politycznym poletku. Nic bardziej mylnego.

Polityka to brutalna i pozbawiona wszelkich sentymentów walka o władzę. A zatem Szekspir lub Machiavelli. Nie ma się co oburzać, tak jest świat urządzony. Prof. Franciszek Ryszka, indagowany przed wielu laty przez redaktorów Rykowskiego i Władykę o kwestię moralności w polityce, odparł: „Odnoszę wrażenie, że panowie chcieliby usłyszeć, jaka polityka powinna być, a ja mówię – na podstawie doświadczeń historii – o tym, jaka ona jest". Pal sześć, gdyby ci, którzy proponują nam politykę miłości, byli pierwszymi naiwnymi. Wówczas chwała im za to, że mają większą niż ogół populacji wiarę w ludzi. Sęk w tym, że pod ładną wspólnotową opowieścią zwykle też kryje się pragnienie władzy. Na przykład ktoś bardzo chce zostać prezydentem i temu podporządkowuje wszystkie swoje działania. A jak się mu nie udaje zdobyć, to się obraża na cały świat.

Otóż polityka to też dziedzina wysoce sprofesjonalizowana, w której nie ma miejsca dla amatorów, naiwnie liczących, że wystarczy fajnie zagadać. Potrzeba woli walki, determinacji, grubej skóry i dużej odporności. Trzeba umieć przegrywać oraz nie pozwalać sobie na kaprysy i fochy (chyba że jest się monarchą absolutnym). Trzeba też przewidywać konsekwencje swoich działań i umieć się przyznać, przynajmniej przed samym sobą, do popełnionych błędów. I nie można porzucać własnych ludzi na pastwę losu. Polityka to gra zespołowa, w tej walce o władzę wojsko jest kluczowe. Trzeba mu zapewnić łupy i ochronę. Kto tego nie rozumie, przegrywa. A przecież dopiero wtedy, kiedy się wygra, można spróbować zrobić coś dobrego. Bo tak, zdarzają się w historii ludzkości tacy politycy, którzy sięgają po władzę nie tylko dla samej władzy i którzy zostawiają po sobie nie tylko dobre wrażenie. Tych nazywamy mężami stanu. To gatunek rzadki, w postpolitycznych czasach wymierający.

Wygląda więc na to, że już wkrótce (wszak wybory parlamentarne coraz bliżej!) przyjdzie nam na polskiej scenie politycznej oglądać kolejnego rycerza, który będzie „artykułował coś, co istnieje między ludźmi, i wprawiał to w ruch" (cytat za: „Nowy rozdział" Roberta Biedronia), a potem się okaże, że energii, pozyskanej zresztą wampirycznie od sympatyków, wolontariuszy i wyborców, starcza wyłącznie na to, by się życiowo urządzić, dajmy na to, w Brukseli. Tak się dzieje, gdy pod „inną polityką" ostatecznie kryje się wyłącznie osobisty interes.

Burza w butelce wody

Politycy nie mają jakoś szczęścia do wód mineralnych. W maju 2023 r. sieć obiegło nagranie, na którym ówczesny marszałek Sejmu Szymon Hołownia siłuje się z korkiem jednej, a następnie kolejnej butelki wody serwowanej w Sejmie, aż wreszcie kapituluje. Lepiej poszło siedzącej obok Paulinie Hennig-Klosce, która bez problemu otworzyła butelkę. Jej szczęście, że sięgnęła po inną. W obronie Hołowni stanęło kilku posłów, którzy również skarżyli się na kapryśne korki.

Na początku tego roku afera korkowa powtórzyła się w Ministerstwie Aktywów Państwowych. Tym razem bohaterką była 300-militrowa szklana butelka wody Ostromecko. Podczas jednego z kierownictw okazało się, że z jej korkiem nie może sobie poradzić szef resortu. Polegli również jego zastępcy. W trakcie dyskusji okazało się, że to nie pierwszy tego typu przypadek i część butelek jest właściwie nieotwieralna. Co ma ten plus, że woda wolniej schodzi, jednak kupowana jest w innych celach. Pech chciał, że przy okazji bliżej przyjrzano się etykietom i okazało się, że producent Ostromecko chwali się na nich złotym medalem z Moskwy i z Królewca. Kierownictwo resortu zbiorowo uznało, że popijanie z butelek z napisem „Moskwa", kiedy Rosja zabija cywilów w Ukrainie i kilometr po kilometrze kradnie ziemię swojego sąsiada, jest co najmniej niestosowne. Trudno powiedzieć, co bardziej przeważyło, ale uznano, że woda Ostromecko nie będzie już serwowana w resorcie.

O wizerunkowej wpadce firma dowiedziała się od POLITYKI. Sprawą osobiście zajął się Wiesław Włodarski, właściciel tej i wielu innych marek spożywczych. – *Źródło, z którego czerpiemy wodę, ma ponad 500-letnią historię. Sama marka ponad 150-letnią tradycję, ale w portfelu naszych aktywów spółka znalazła się stosunkowo niedawno. Z tymi medalami i napisem „Moskwa" to w dzisiejszych czasach rzecz, która nie powinna się zdarzyć. Traktuję to jako niedopatrzenie i jeszcze w tym kwartale etykiety zostaną zmienione* – zapewnia prezes Włodarski. Co zaś się tyczy problemów z otwieraniem butelek – prezes zapewnia, że te zostały wyłapane już wcześniej i firma podjęła stosowne działania. – *Na rynek wyszło ok. 60 tys. butelek z wadliwymi korkami. Błąd był po stronie maszyny zakręcającej. Ściągnęliśmy z rynku tak wiele wody, ile się dało. Widać tę w resorcie przeoczyliśmy, za co serdecznie przepraszamy* – dodaje jeden z najbogatszych Polaków.

Co do jakości samej wody zastrzeżeń nie zgłaszano. Ale, jak wiadomo, z mineralną nie ma przelewek. Kiedy Gruzini próbowali wyjść spod rosyjskiego buta, pierwszą decyzją Putina było wstrzymanie eksportu do Rosji wody mineralnej Bordżomi, gruzińskiego hitu. (JULL)

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, MAGA ĆWIELUCH

eprasa.pl 2a79540d47

Dzień Zniewolenia

Donald Trump nie miał prawa nakładać taryf importowych, powołując się na nadzwyczajne zagrożenie państwa, orzekł 20 lutego amerykański Sąd Najwyższy. Oznacza to, że niemal wszystkie cła wprowadzone przez Trumpa w tzw. Dniu Wyzwolenia w kwietniu 2025 r. (słynna konferencja z wielką tabelką) były nielegalne. Powołał się on wtedy na ustawę pozwalającą prezydentowi „regulować import" wobec szczególnego zagrożenia interesów Stanów Zjednoczonych, ale sąd orzekł, że przewiduje ona jedynie kontyngenty lub embarga, a nie podnoszenie taryf, które – jako forma podatków – są wyłączną domeną Kongresu. Kontrowersje budzi również „stan nadzwyczajnego zagrożenia", którym Trump usprawiedliwia swoje prawnie wątpliwe działania. Rząd może być teraz zmuszony do zwrócenia importerom pobranych od nich ceł na łączną sumę 130–175 mld dol. Ale niezbędna może się tu okazać czasochłonna droga sądowa.

To sygnał, że system *check-and-balance*, wzajemnego kontrolowania się trzech rodzajów władzy, działa, nie pozwalając Trumpowi na demontaż demokracji. Mimo przewagi sędziów konserwatywnych w Sądzie Najwyższym (6 do 3) troje z nich głosowało razem z trzema sędziami liberalnymi, przeważając szalę. Trump nazwał ich „sługusami lewicy" i oświadczył, że sąd „kierował się obcymi interesami".

Zdelegalizowane taryfy miały podreperować budżet i zmusić zagranicznych partnerów do ustępstw w handlowych negocjacjach. Te ostatnie pewnie ruszą od nowa, bo prezydent ogłosił najpierw nowe 10-procentowe, a po kilku godzinach 15-procentowe stawki, powołując się na ustawy, które pozwalają na to w celu redukcji poważnego deficytu handlowego. Najbardziej stracą na tym Wielka Brytania i Australia (dotychczas 10 proc.). Szykuje się więc kolejny okres niepewności w światowym handlu. Te nowe cła obowiązywać mogą tylko przez pięć miesięcy i na ich przedłużenie musi się zgodzić Kongres. A za pięć miesięcy Kongres będzie w przededniu wyborów uzupełniających – Republikanie mają tam nieznaczną większość, ale wielu stara się o reelekcję i nie ma mowy, żeby wyrazili zgodę na taryfy. Uderzają one w tysiące przeważnie drobnych firm, co pogłębia niezadowolenie Amerykanów.

Powściągając taryfowe szaleństwo Trumpa, krytykowane przez ekonomistów, Sąd Najwyższy pomógł amerykańskiej gospodarce, lecz także republikańskim politykom. Obroniłby również Trumpa – niejako przed nim samym – gdyby zaprzestał on nielegalnych prób konsolidacji swej władzy kosztem Kongresu. Na to wszak trudno liczyć.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

Upadek brata

Coś podobnego nie wydarzyło się od stuleci: policja zatrzymała **Andrzeja**, rodzonego brata króla **Karola III**, i przesłuchiwała go na posterunku przez 11 godzin. Trwa intensywne badanie tysięcy dokumentów przejętych z trzech książęcych siedzib. Tym razem nie chodzi o korzystanie z siatki pedofilskiej Jeffreya Epsteina, lecz o dzielenie się z nim poufnymi informacjami biznesowymi w misjach handlowych, jakie rząd powierzał Andrzejowi w latach 2001–11. Z ujawnionych w Stanach Zjednoczonych fragmentów akt Epsteina wyłoniło się podejrzenie, że zarówno on, jak i Andrzej mogli się tą drogą prywatnie wzbogacać.

Premier Keir Starmer ocenił, że zatrzymanie księcia jest wyrazem równości wszystkich wobec prawa, a sam król wydał oświadczenie, że będzie wspierać śledztwo policji. Byłaby to jednak zmiana postawy monarchii wobec Andrzeja, gdyż jak się ostatnio okazuje, przez lata nie tylko z pobłażaniem traktowano naganne postępowanie księcia Yorku, lecz także uciszano jego krytyków. I tak np. z wydanej w 2025 r. biografii księcia autorstwa historyka i dziennikarza Andrew Lowniego „Entitled: The Rise and Fall of the House of York" (Utytułowani: wzlot i upadek domu Yorków) wyłania się negatywny, momentami odrażający obraz napuszonego aroganta (autor sugeruje, że to następstwo pobłażania arystokracie w dzieciństwie). W młodości nikt nie śmiał go temperować, a w jego dorosłym życiu krytycy księcia bywali wręcz zastraszani. Co więcej, wygląda na to, że agenci MI5, brytyjskiej służby bezpieczeństwa, informowali o nadużyciach matkę księcia, czyli królową Elżbietę II. Ta jednak, choć sama była wzorem klasy i służby krajowi, to wobec Andrzeja wykazała „moralną abdykację" – jak to określił Lownie. Jak wiadomo, zapłaciła ponad 12 mln dol. za milczenie kobiety, która oskarżała Andrzeja o gwałty – monarchini spłacała też jego długi.

Król Karol, czyli rodzony brat, nie tylko usunął Andrzeja z jednej z najokazalszych rezydencji w Windsorze, lecz także wszczął formalną procedurę pozbawiania go tytułów arystokratycznych, a nawet usunięcia z kolejki do tronu (gest symboliczny, gdyż Andrzej jest na ósmej pozycji). Co nie zmieni faktu, że upadły książę ciąży na całym wizerunku monarchii. Część komentatorów przewiduje, że Andrzej – w dalszym stadium śledztwa – będzie oskarżony, a może schroni się w jednym z emiratów arabskich.

MAREK OSTROWSKI

© ADRIAN DENNIS/AFP/EAST NEWS, MICHAEL M. SANTIAGO/GETTY IMAGES, ABEDIN TAHERKENAREH/EPA/PAP, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

Iran pod presją

„Dlaczego oni jeszcze nie skapitulowali?" – tak według Steve'a Witkoffa miał zareagować prezydent Donald Trump na brak porozumienia z Iranem. Witkoff wraz z prezydenckim zięciem Jaredem Kushnerem w imieniu Stanów Zjednoczonych prowadził w zeszłym tygodniu rozmowy z przedstawicielami irańskiego reżimu m.in. w sprawie irańskiego programu nuklearnego. Spotkanie „ostatniej szansy" ma się odbyć 26 lutego w Genewie, gdzie między stronami pośredniczą omańscy dyplomaci. A wszystko to w kontekście największej koncentracji sił amerykańskich na Bliskim Wschodzie od inwazji na Irak w 2003 r. Trump zapowiedział, że daje Irańczykom 10–15 dni. W razie braku porozumienia amerykańskie plany przewidują prawdopodobnie ograniczony atak ostrzegawczy na irańskie instalacje wojskowe, a potem – gdyby i to nie pomogło – potężne uderzenie, które mogłoby mieć na celu obalenie reżimu.

Czy zatem same rozmowy nie są tylko zasłoną dymną dla uderzenia, do którego Amerykanie przygotowali się, ściągając już w okolicę Iranu dwa lotniskowce z obstawą i ponad 120 samolotów? Gdy ostatnim razem, w czerwcu 2025 r., Trump dawał Irańczykom 10 dni, po dwóch dniach uderzył na Iran wraz z Izraelem. Niemniej negocjacje trwają i dotyczą trzech tematów. Po pierwsze, irańskiego programu nuklearnego, który według Amerykanów powinien być zlikwidowany. Po drugie, ograniczenia irańskiego arsenału pocisków balistycznych. I po trzecie, wstrzymania wsparcia Teheranu dla irańskich

sojuszników w regionie, przede wszystkim dla jemeńskich Huti i libańskiego Hezbollahu. O pociskach Irańczycy ponoć w ogóle nie chcą rozmawiać. Wsparcie dla sojuszników już znacząco ograniczyli z braku środków. Największym problemem jest program jądrowy, który Irańczycy traktują prestiżowo. Możliwy kompromis ma zakładać jego radykalne ograniczenie, oddanie za granicę (do Rosji?) wzbogaconego już uranu i utrzymanie minimalnego wzbogacania na potrzeby medyczne.

Co Irańczycy mieliby otrzymać w zamian? Amerykanie sugerują, że chodzi po prostu o „brak ataku". Problem polega na tym, że spełnienie amerykańskich żądań oznaczałoby praktyczne rozbrojenie Iranu. Przede wszystkim zaś – okazanie słabości na „rynku wewnętrznym". A wciąż nie cichną protesty, które wybuchły na przełomie roku. W weekend przeciw reżimowi demonstrowali studenci kilku teherańskich uniwersytetów. Niektórzy krzyczeli nawet „Niech żyje szach!", niedwuznacznie popierając kontrrewolucję.

Fajne Chiny

Aby „odkryć w sobie Chińczyka", na początek pijesz z rana ciepłą wodę, chodzisz po domu w klapkach, wiesz co to *yum cha* i tajniki chińskiego pudrowego makijażu oraz tradycyjnej medycyny, dodajesz do herbaty jagody goji, umiesz przyrządzić bułki na parze i stopniowo osiągasz kolejne szczeble wtajemniczenia. Ma to już swoje określenie: *chinamaxxing*. Widowiskowe obchody Roku Ognistego Konia wzmocniły potężny trend w mediach społecznościowych, zwłaszcza wśród pokolenia Z – rosnącą sympatię do Państwa Środka.

Fala ruszyła na TikToku (pomogły algorytmy), na bliźniaczym chińskim RedNote (dokąd przeniosło się wielu młodych Amerykanów, kiedy zamknięto im TikToka, i gdzie zostali bardzo miło

przywitani), na Instagramie – i powoli wszędzie. Pojawiało się też coraz więcej relacji ze wspaniałych nowoczesnych Chin – z kraju błyskawicznie rosnących wieżowców, szybkich kolei, wielkich mostów niknących w chmurach, autostrad pełnych elektrycznych samochodów i zamiłowania do zielonej energii oraz robotów. Szczególną estymą darzony jest **Chongqing**, megametropolia w Syczuanie, która „wygląda, jakby wyskoczyła prosto z science fiction". W 2024 r. ruszył ruch bezwizowy, ruszyła też armia influencerów, pewnie wspieranych przez chińskie władze (którym zależało, aby odpracować klątwę covidu i Wuhan). Przesłanie jest oczywiste: nasi chińscy rówieśnicy są tacy jak my, żyją tak jak my, tylko w ciekawszych dekoracjach.

Ta fascynacja, dosyć powierzchowna, która nie sięga istoty systemu, chińskiej odmiany autorytaryzmu, stała się istotną częścią budowania *soft power* – atrakcyjności państwa i jego kultury. Klasycznym już składnikiem są trzy światowe przeboje popkultury: zębate laleczki Labubu, animowany bohater filmu „Ne Zha'" (mitu o łobuziakowatym chłopcu-bogu walczącym ze smokami) i gra komputerowa „Black Myth: Wukong".

Znamienne, że ten proces współgra z wyraźnie odnotowywanym spadkiem atrakcyjności Ameryki Donalda Trumpa – z wiadomych powodów. Kontrast obu kliszowych wizerunków – na korzyść Chin – jest uderzający. Spora grupa analityków uważa, że to nie przypadek. I że sympatie i wzorcotwórczość na platformie międzynarodowej mają sumę zerową: gdy jednym rośnie, to innym musi spadać. Taka jest istota lokowania uczuć. Zresztą nie są one trwałe. TikTok widział już wiele przemijających gorączek. Moda na kleik ryżowy *congee* na śniadanie też może podzielić los wielu poprzedniczek. Jednak moda na „fajne Chiny" wydaje się trwalsza.

eprasa.pl 2a79540d47

Ukraińscy uchodźcy na przejściu granicznym w Korczowej, marzec 2022 r.

Co mamy z Ukrainy

Rozmowa z politologiem Ernestem Wyciszkiewiczem, który przekonuje, że jak na sąsiadów, to świetnie dogadujemy się z Ukraińcami. I tłumaczy, dlaczego powinniśmy im odpuścić Banderę.

Ernest Wyciszkiewicz – rocznik 1977, doktor nauk o polityce. Od 2016 r. dyrektor Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, przekształconego w 2022 r. w Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego. Wcześniej zastępca dyrektora Centrum, a także koordynator programu ds. bezpieczeństwa energetycznego, zmian klimatu i prawa międzynarodowego w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

PAWEŁ RESZKA: **– Mijają cztery lata wielkiej wojny. Gdzie jesteśmy w naszych relacjach z Ukraińcami?**

ERNEST WYCISZKIEWICZ: – Strategicznie: tam, gdzie cztery lata temu. Wiemy, że suwerenna Ukraina jest ważna dla bezpieczeństwa Polski. Wspieramy ją wojskowo i humanitarnie. Ale gdy schodzimy na poziom relacji społecznych, jest już inaczej.

W najnowszych badaniach Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego, którym pan kieruje, Polacy pytani o stosunek do Ukraińców mieszkających w naszym kraju są podzieleni. 39 proc. jest na „tak", 35 proc. na „nie". Gdzie się podział entuzjazm z 2022 r.?

Nastała codzienność. Ludzie, którzy przybyli do nas w wojennej zawierusze, zadomawiają się. Częściej niż o pomocy rozmawiamy

Osobiste doświadczenia z Ukrainą i Ukraińcami (w proc.)

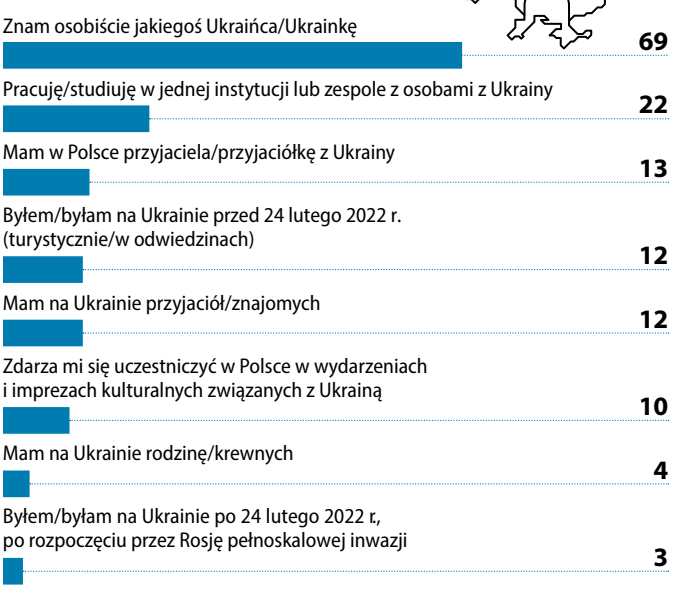

INFOGRAFIKI **LECH MAZURCZYK**

eprasa.pl 2a79540d47

Stosunek do Ukraińców mieszkających w Polsce (w proc.)

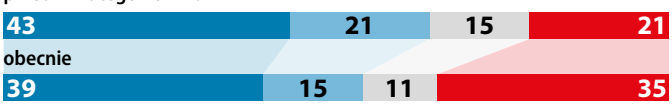

o ich integracji. Oczywiście Polacy nadal chcą pomagać Ukrainie, ale jednocześnie pytają: „A co my z tego mamy?”.

Ochłodzenie działa w dwie strony. W 2022 r. aż 83 proc. Ukraińców miało o nas pozytywną opinię. Dziś tylko 40 proc.

Badania, które przeprowadziliśmy w 2022 r., pół roku po inwazji, okazały się pułapką. To był wyjątkowy moment, który zaburzył percepcję. Socjologowie mówili od dawna, że entuzjazm nie może się utrzymywać na tak wysokim poziomie. Te 40 proc. to po prostu powrót do normalności: jesteśmy bliskimi kulturowo sąsiadami i uczymy się siebie nawzajem.

Na początku wojny Polska była przez Ukraińców uważana za najbardziej przyjazne państwo. Dziś według badań ukraińskiego Centrum Razumkowa jesteśmy na 14. miejscu.

Ale mamy 75 proc. ocen pozytywnych. Bliskość, wspólna granica, intensywne kontakty, zaszłości historyczne – oto podłoże napięć, które między sąsiadami zawsze będzie bardziej widoczne niż między odległymi od siebie narodami. A wśród państw graniczących z Ukrainą zajmujemy pod względem sympatii zdecydowanie pierwsze miejsce.

W oczach Ukraińców głównym dostarczycielem pomocy wojskowej są Brytyjczycy i Niemcy, a humanitarnej – Niemcy. Polska jest tuż za nimi.

Nasz udział w pomocy wojskowej w ostatnim czasie jest relatywnie mniejszy. Na początku oddaliśmy im tak dużo, że sami nabraliśmy wątpliwości. W badaniach fokusowych ludzie mówili np.: „Super, że pomogliśmy, ale czy aby się przy okazji sami nie rozbroiliśmy?”. Ciągle ślemy kolejne pakiety uzbrojenia, jednak to Brytyjczycy, Niemcy i Francuzi mają wyraźną przewagę narracyjną. Francuzi stworzyli piękną stronę internetową ze slajdem pokazującym, ile Francja dała Ukrainie. A my, jakbyśmy się wstydzili, dwa lata czekaliśmy na całościowy raport o naszej pomocy. To trzecie miejsce w pomocy wojskowej nie jest więc takie złe. W pomocy humanitarnej jesteśmy drudzy.

Może mówimy nie za mało, ale za dużo? A to premier Mateusz Morawiecki oświadczy, że żadnej broni już nie wyślemy. A to prezydent Karol Nawrocki rzuci, że oczekuje więcej wdzięczności.

Nie za dużo, ale czasami trochę zbyt mocno. Ukraińcy dochodzą więc do wniosku, że Polacy mają o nich coraz gorsze zdanie. Zupełnie nie dostrzegają, że te słowa przeważnie nie są skierowane do nich, ale na nasz wewnętrzny rynek. Politycy mówią do swoich wyborców, a my od 2023 r. byliśmy przecież w ciągłym cyklu wyborczym.

Politycy mówili to, co chcą słyszeć obywatele?

Partie zamawiały badania socjologiczne przed wyborami parlamentarnymi i korygowały przekaz pod oczekiwania. Cyzelowano go, by nie być ani za bardzo pro-, ani za bardzo antyukraińskim. Oczywiście politycy wyczuli narastający sceptycyzm i nie chcieli podążać wbrew tej fali.

Niektórzy chcieli nawet na niej surfować! Ale ostre słowa zyskują popularność po obu stronach. Kto pamięta, że prezydent Wołodymyr Zełenski nazywał Polskę „siostrą Ukrainy”? Wszyscy za to wspominają jego słowa z ONZ z 2023 r.: „Niektórzy z naszych przyjaciół pomagają przygotować scenę dla moskiewskiego aktora”. Było to w czasie kryzysu zbożowego.

Gdyby przeanalizować wypowiedzi polskich polityków o Ukrainie i odwrotnie, to będzie ogromna przewaga pozytywnych. Ale pamiętne są te nieszczęśliwe. Niezależnie od emocji prezydent Zełenski mógł sobie odpuścić te słowa.

To teraz jeden z najsmutniejszych słupków w waszych badaniach: 36 proc. Ukraińców w 2025 r. zetknęło się z nieżyczliwym traktowaniem przez Polaków.

Powodów zmiany jest kilka. Pierwsza duża fala uchodźcza to były kobiety z dziećmi. Grupy mniej wywołujące agresywne reakcje i mniej skłonne do agresji. Minęły lata, dzieci są już nastolatkami. Muszą sobie radzić w środowisku, co generuje konflikty. Do tego przez Polskę przetoczyła się debata na temat rzekomych i prawdziwych przywilejów dla Ukraińców. I w końcu nastąpiła wielka zmiana w polskim społeczeństwie...

...10 lat temu mieszkało z nami 180–200 tys. obcokrajowców. Dziś to nawet 2,5 mln.

Tak, zaczynamy być społeczeństwem wielonarodowym i to się nie zmieni po wojnie. Musimy się nauczyć nowej sytuacji.

To porozmawiajmy o uczeniu się siebie. Do Warszawy przyjeżdża 70 tys. osób mówiących po rosyjsku, białorusku i ukraińsku na koncert białoruskiego rapera Maksa Korża i wykupują Stadion Narodowy. Stolica, cała Polska są w szoku.

Ci ludzie są w obcym miejscu i czasem muszą pobyć ze sobą, gdzieś się spotkać. A popkultura konsoliduje. Natomiast my po prostu nie interesujemy się nimi. Nie znamy ich muzyki i nie mamy pojęcia o ich idolach. Stąd szok.

Ale my znamy ukraińskie gwiazdy muzyki czy literatury ważne dla naszego pokolenia. To nasze dzieci ich nie znają, choć od czterech lat chodzą do szkoły z ukraińskimi kolegami.

Powodzenie szkolnej integracji zależy w zasadzie od tego, jak sprawny jest dyrektor danej placówki. Brak tu myślenia strategicznego. Nie badamy tej młodzieży, nie wiemy, jak wpisała się w życie szkoły, osiedla czy miejscowości. Nie dostrzegamy ich, a potem jesteśmy w szoku, bo stadion jest wypełniony „nie wiadomo kim”. A od zaskoczenia do poczucia zagrożenia jest tylko krok.

Blisko 70 proc. Polaków deklaruje osobistą znajomość z Ukraińcem lub Ukrainką. To znajomości powierzchowne?

Codzienne. Mam Ukraińca w pracy, miły człowiek, rozmawiamy o zwykłych sprawach, niekoniecznie o literaturze i muzyce rap.

Jakie mamy oczekiwania wobec Ukraińców mieszkających z nami?

Tu zdania są podzielone. Jedni uważają, że Ukraińcy powinni zachować język, pamięć o pochodzeniu (31 proc.), inni – żeby ▶

Pana/Pani zdaniem, ogólny stosunek Polaków do Ukraińców jest: (w proc.)

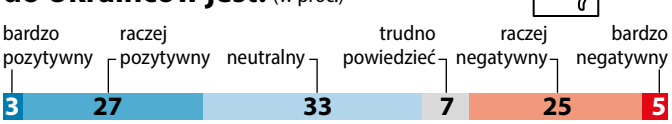

© KAY NIETFELD/DPA/PAP, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 2a79540d47

Gotowość do pomocy Ukraińcom w razie nowej fali uchodźców (w proc.)

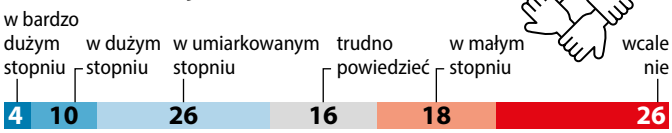

▶ zostawić im wybór, kim chcą być (27 proc.). Jeszcze inna grupa (20 proc.) uważa, że trzeba ich uczyć polskiego, sprawić, by ich dzieci czuły się Polakami. Tu rodzą się dylematy – może trzeba wspierać ich powrót do rodzinnego kraju, gdy zakończy się wojna? Przecież Ukraina nie może być czarną dziurą. Jednak ich wyjazd będzie zagrożeniem dla wielu firm, instytucji, całych sektorów polskiej gospodarki, które funkcjonują dzięki pracy Ukraińców.

Na wspomnianym koncercie doszło do zadymy i sfilmowano mężczyznę trzymającego w rękach czarno-czerwoną flagę. Donald Tusk powiedział, że chuligani zostaną deportowani z Polski. Premierzy rzadko zajmują się chuliganami i deportacjami, prawda?

Filmy z zadym na koncercie robiły w internecie gigantyczne zasięgi. Zresztą w ogóle w mediach społecznościowych mamy zalew antyukraińskiego hejtu. Jednocześnie są badania socjologiczne, takie jak nasze, które pokazują inne postawy społeczne. Wyważone i zdaniem socjologów dużo trafniej oddające rzeczywistość. Ale klasa polityczna bierze czasem te rozhuśtane internetowe emocje za zapotrzebowanie wyborców i usiłuje je zaspokoić. Koncert, flaga, bójki, socjale się grzeją – trzeba więc mocno odpowiedzieć. I nagle postawa, która dawniej uchodziła za niestosowną, zaczyna być normalizowana.

Można to zahamować?

Wyniki naszych badań niektórzy uważają za złe – bo zmniejsza się entuzjazm i wzajemna sympatia. Ja uważam, że są dobre. Mniej emocji oznacza, że jesteśmy bardziej podatni na racjonalne argumenty. Polacy chcieliby usłyszeć, dlaczego mamy dalej pomagać? Wystarczy dostarczyć argumentów, że chodzi o bezpieczeństwo. Że można mieć z tego konkretne korzyści, w tym gospodarcze. Skoro ludzie pytają: „Czy Ukraina wciągnie nas do wojny?", warto ruszyć w Polskę i na spotkaniach w remizie udzielić odpowiedzi. Albo zastanowić się wspólnie, jak wyglądałaby dziś sytuacja Polski, gdyby nie pomoc wojskowa udzielana Ukrainie.

Rosyjskie czołgi na naszej granicy?

Na przykład.

Pytacie Polaków, czego wymagają od państwa w relacjach z Ukrainą. Najczęstsza odpowiedź to ekshumacje i godne upamiętnienie ofiar masowych mordów na Wołyniu. Ugrzęźliśmy w historii?

Czy zetknął się Pan/zetknęła się Pani osobiście lub przez swoich krewnych z przypadkami nieżyczliwego stosunku do Ukraińców w Polsce?

(w proc.)

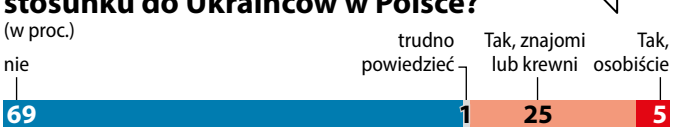

Wśród Polaków ciągle rośnie świadomość tego, że ta zbrodnia nie została rozliczona. Teraz to przyspieszyło, bo „skoro wam pomogliśmy w biedzie, to może jest dobry moment, żebyście pozwolili upamiętnić nam nasze ofiary". Ukraińcy przez długi czas to ignorowali, uważali, że to problem wymyślony na użytek polityki wewnętrznej w Polsce. Teraz zrozumieli, że to autentyczne oczekiwanie społeczne.

To coś zmienia w nastrojach w Polsce?

Tak. W zeszłorocznych badaniach ekshumacje były bardzo gorącym tematem. Teraz to jest ciągle bardzo ważna sprawa, ale już nie tak emocjonująca jak wcześniej. Być może dlatego, że wokół ekshumacji coś się zaczęło dziać. Spór historyczny jest naturalny, ale tu chodzi o rzecz fundamentalną i symboliczną, czyli godny pochówek. Nieszczęsne ukraińskie moratorium na ekshumacje sprawiło, że ta sprawa zaczęła politycznie rosnąć.

Przypomnijmy, że moratorium było efektem pretensji Kijowa o niezgodne z umową upamiętnienie ukraińskiego pochówku na górze Monasterz w Polsce.

Ukraińcy długo utrzymywali, że to moratorium w ogóle nie obowiązuje. A wiemy, że było inaczej, bo wnioski naszego IPN o ekshumacje były odrzucane za „brak przecinka" w dokumentach. Ale nie ma co się rozwodzić, ten proces ruszył.

Ukraina przeżywa okres wzmożenia patriotycznego. UPA nigdy nie miała tak wysokich notowań. Tymczasem Polsce nie podoba się, że Ukraińcy stawiają pomniki Stepana Bandery i nazywają ulicę imieniem Romana Szuchewycza. Co z tym robić?

To rzecz trudna, ale trzeba o tym mówić. Polakom – o tym, że nasi sąsiedzi wiążą imię Bandery nie tyle z operacją antypolską, co z walką z Sowietami. A Ukraińcom warto przybliżać polską wrażliwość i pokazywać, że Bandera to też antypolonizm. Inaczej demony tylko uśpimy.

A warto mówić, tak jak część naszych polityków, że z Banderą i UPA Ukraina do Europy nie wejdzie?

Do Unii Ukraina wejdzie, gdy spełni kryteria. I gdy zgodzą się na to państwa członkowskie. To jest zupełnie inna materia niż pomniki Bandery.

Można powiedzieć, że te pomniki nie są zgodne z wartościami.

Mamy oczywiście pierwszy klaster negocjacyjny, gdzie mowa o wartościach. Ale dla zbliżenia Ukrainy z Europą decydujące będą inne sprawy. Natomiast Bandera stał się ważnym symbolem dla współczesnej Ukrainy. Oczywiście, może nam się to nie podobać i mamy prawo to wyrażać. Natomiast nie możemy budować relacji z Ukrainą na tym, co nierealne.

Czyli?

Oni nie wyrzekną się Bandery. I jeśli będziemy stawiali taki warunek, to nic nie ugramy. Trzeba działać inaczej, np. przejrzeć wspólnie podręczniki szkolne do historii i postarać się coś w nich zmienić. W tych obecnych można znaleźć mnóstwo sowieckiej narracji o tym, że Polska była okupantem i ciemiężycielem. Warto to zmienić, pokazać pozytywy Rzeczpospolitej. Bo przecież w chwilach kryzysu stare szkolne klisze powracają.

Teraz też?

Owszem. Rosjanie powtarzają, że Polska chciałby zagrabić część Ukrainy. Z badań wychodzi, że 30 proc. Ukraińców uważa, że „coś może być na rzeczy", choć każdy, kto choć trochę zna Polskę, wie, że to bzdura.

Półtora roku po inwazji 80 proc. ukraińskich gospodarstw domowych w Polsce utrzymywało się z pracy własnych rąk.

INFOGRAFIKI **LECH MAZURCZYK**

eprasa.pl 2a79540d47

Czy uważa Pan/Pani, że Polacy powinni czuć się winni wobec Ukraińców za pewne wydarzenia z przeszłości?

(w proc.)

Ich wkład w polskie PKB to 0,7 do 1,1 proc. Ich składki wzmacniają ZUS. Dlaczego to tak słabo się przebija?

Może pan mi powie? Ja nie jestem dziennikarzem, nie umiem opowiadać historii. A mało widziałem dobrych opowieści o wkładzie Ukraińców w polskie PKB, sporo o kryzysie zbożowym i o stratach rolników – dodajmy, że nie wszystkich.

Tracili głównie producenci zboża i roślin oleistych.

Właśnie. Jasne, że grupy, które tracą, mają prawo czuć się zagrożone. Ćwiczyliśmy to już kiedyś z polskim hydraulikiem. Jednak dziwne, że firmy i branże, które zarabiają na wymianie z Ukrainą, w czasie kryzysu milczały. A przecież jest ich więcej, w końcu mamy dodatni bilans handlowy.

Co można Ukraińcom zarzucić w sprawie kryzysu zbożowego? Wynegocjowali korytarze humanitarne do UE. Ktoś w Polsce kupował ich zboże, upłynniał na rynku…

Problem jest złożony. Oni dostali takie chwilowe członkostwo w UE. Zrozumieli, jakie to daje korzyści, i chcieli, żeby już tak zostało. Z perspektywy polskiego przedsiębiorcy, który musi spełniać tysiące unijnych standardów, to było niesprawiedliwe.

Ukraińcy powinni się samoograniczać?

Powinni, ale to trudne. Oni przecież żyją pod rosyjskimi rakietami. Wojna, wybuchy, a tu nagle komunikat, że ktoś blokuje granicę.

I robi to „siostra" Polska. A dalej opowieść o tym, że przez te blokady również amunicja i broń nie docierają na front. Choć oczywiście docierały, bo przecież nie szły przez zwykłe przejścia graniczne.

A jeszcze Rosjanie dokładali swoje, żeby zaogniać sytuację. Ukraińcy w pewnym momencie chcieli, by polski premier rozgonił pałami protestujących...

Sondaże sympatii poleciały wtedy na łeb na szyję. A ludzie premiera Morawieckiego do dziś nie mogą darować Zełenskiemu, że skarżył się wtedy na nas w Brukseli i Berlinie.

Ukraińcy nie rozumieli Unii i nas. Uważali, że ważny jest Berlin i Paryż. Tam trzeba się dogadywać, a reszta planktonu i tak się dostosuje. Ale to błędne podejście. Mówiliśmy im, że w ostatecznym rozrachunku i tak przyjadą do Warszawy negocjować ratyfikację członkostwa. Działania, których efektem będzie erozja poparcia w Polsce dla ich członkostwa w Unii, są więc bez sensu.

Problemem Ukrainy jest gigantyczna korupcja. Czy Polska i Unia powinny się tego obawiać?

Czy uważa Pan/Pani, że Ukraińcy powinni czuć się winni wobec Polaków za pewne wydarzenia z przeszłości?

(w proc.)

Niektórzy twierdzą, że Ukraina to kraj dysfunkcjonalny. To jest zakorzenione w historii, bo pamiętamy Ukrainę z lat 90. Wtedy rzeczywiście korupcja była systemem, a nie anomalią. Jednak pozytywne zmiany postępują od pomarańczowej rewolucji z 2004 r. Niczego nie usprawiedliwiam, ale budujące jest dla mnie to, że ujawniono gigantyczną aferę (Mindyczgate – przyp. red.), w której kluczowe role grały osoby bliskie Zełenskiemu.

I to mimo że Zełenski próbował zatrzymać śledztwo.

Na tym polega ewolucja systemu. W Ukrainie mamy ogromną zmianę pokoleniową. Nowy minister obrony ma 35 lat i tacy ludzie myślą zupełnie inaczej. Jasne, że Ukraina musi sobie poradzić z korupcją – bez tego do Unii nie wejdzie. Natomiast krytykę warto ważyć. Rosja ciągle mówi, że Ukraina to „państwo upadłe". Przypomnijmy więc, że to państwo od czterech lat skutecznie broni się przed inwazją nuklearnego mocarstwa.

Poparcie dla przyjęcia Ukrainy do NATO spadło u nas w 2025 r. do 52 proc. Jednocześnie Polacy uważają, że nie jesteśmy gotowi do odparcia rosyjskiej agresji. Gdzie tu logika?

Dlaczego mamy szukać logiki? Sondaże ujawniają, co myślą ludzie, nawet jeśli to myślenie nie jest spójne. Z jednej strony Ukraina w NATO da Polsce bufor bezpieczeństwa przed Rosją. Z drugiej rodzi obawę, że jej członkostwo może nas wciągnąć w wojnę.

Dlatego nasi politycy wciąż zapewniają, że polscy żołnierze nie pojadą do Ukrainy. Za to np. Brytyjczycy i Francuzi ciągle „chcą wysyłać" wojsko, choć ten scenariusz jest mało realny.

Brytyjczycy zaczęli ostro. Jakiś rok temu zapowiedzieli, że wyekspediują 20 albo i 30 tys. żołnierzy. Ukraińcy zareagowali entuzjastycznie. Po trzech miesiącach „planowany" kontyngent zmniejszył się do 10 tys. Następny komunikat był taki: może kogoś wyślemy, ale tylko, jak będzie wsparcie USA.

A morał?

Tłumaczyliśmy Ukraińcom, że w tej sprawie my, Polacy, byliśmy wobec nich uczciwi, a zachodni sojusznicy obiecywali na wyrost. Ale nikt nie lubi, jak się zabija nadzieję, a myśmy ją zabili.

I w głowach sąsiadów pozostało: Brytyjczycy chcieli nam pomóc, a Polacy mówili „nie"! Mogliśmy się komunikować inaczej w tej sprawie?

Tak. Robili to zresztą wojskowi, którzy zwracali uwagę, że Polska ma zupełnie inne zadania w NATO. Mamy granicę z Białorusią, z obwodem królewieckim – i to jest nasza podstawowa odpowiedzialność. My już jesteśmy na pierwszej linii.

Jeśli spojrzeć na badania naszej sympatii do Ukraińców, które CBOS prowadzi od lat 90., widać ciekawe zjawisko. Zaczynaliśmy w 1993 r. od zaledwie 12 proc. sympatyków, potem była sinusoida, aż doszliśmy do 51 proc. sympatii w 2022 r. Czyli kierunek jest słuszny?

Tak, choć pewnie gdzieś jest granica. Trudno się spodziewać stabilizacji na poziomie 80 czy 90 proc. Tym bardziej że budowanie sympatii na takich emocjach jak współczucie jest pozbawione sensu. Trwalsze powinno polegać na wspólnych interesach, osadzonych w kulturowej bliskości. Powinniśmy mieć jakiś wspólny, flagowy projekt, namacalny przykład współpracy. Symbole pomagają w tonowaniu emocji.

To gdzie jesteśmy w naszych relacjach z Ukraińcami?

Gdzieś pomiędzy „pomagamy, bo trzeba" a „pomagamy, bo trzeba, ale: na jakich warunkach, jak długo i co z tego będziemy mieć". Polacy odrzucają slogany, oczekują strategii.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 2a79540d47

Pierwsza dama Marta Nawrocka i niedoszła pierwsza dama Urszula Brzezińska-Hołownia, obie przed czterdziestką, zostały mundurowymi emerytkami. Armia młodych pobierających do końca życia emerytury mundurowe rośnie szybciej niż tych, którzy mają nas bronić. Każdego roku państwo wydaje na nie ponad 30 mld zł. Ten system to tabu.

JOANNA SOLSKA

Migiem na emeryturę

Marta Nawrocka tego samego dnia, 6 sierpnia 2025 r., została pierwszą damą i emerytką, w wieku 39 lat, po 18 latach pracy. Była funkcjonariuszką Służby Celnej, potem Celno-Skarbowej, a na końcu Krajowej Administracji Skarbowej. Przywilej zakończenia służby po 15 latach zawdzięcza prezydentowi Andrzejowi Dudzie, który podpisał w 2017 r. ustawę Zjednoczonej Prawicy, przyznającą status służby mundurowej i wiążące się z nim przywileje emerytalne służbom celnym i skarbowym. Wcześniej celnicy musieli pracować tak jak większość Polaków, kobiety do 60. urodzin.

Jako emerytce Marcie Nawrockiej należy się więc w tym roku trzynastka i czternastka, bo emeryci mundurowi nie mogą być traktowani gorzej niż zwykli, z ZUS. Prawica zadbała też o emerytury pierwszych dam, od 2021 r. Kancelaria Prezydenta odprowadza składki emerytalne na indywidualne konto w ZUS żonom prezydentów. Kiedy więc Marta Nawrocka

© KONRAD KIFERT, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 2a79540d47

osiągnie wiek emerytalny, w którym aktywność zawodową mogą kończyć zwykłe Polki, będzie mogła zwrócić się do ZUS o wyliczenie drugiej emerytury.

Niedoszła pierwsza dama Urszula Brzezińska-Hołownia odeszła na emeryturę w styczniu tego roku, po 15 latach służby, w wieku 38 lat, dokładnie tak jak Marta Nawrocka. Była pilotem wojskowym, latała na MiG-ach 29, które przekazujemy Ukrainie. Jeśli zechce, może teraz dorabiać w aktywnej rezerwie, wynagrodzenie zwolnione jest z podatku PIT. Świadczenia pilotów bywają wyższe niż generałów – zauważa emerytowany wojskowy. A już wiele lat temu media podawały, że emerytura biskupa Sławoja Leszka Głódzia, który miał stopień generała, przekraczała 20 tys. zł.

Świadczenia wojskowych, którzy rozpoczęli służbę po 1999, a przed 2013 r., zależą od wielu czynników. Liczy się m.in. pobyt na misjach, stopień i wiele różnych dodatków stałych. Pierwsza emerytura po 15 latach pracy wynosi 40 proc. całości tej sumy, nie zaś wynagrodzenia podstawowego. Każdy następny rok w mundurze – powyżej tych 15 lat – powiększa świadczenie o kolejne 2,6 proc.

Na naszą prośbę MON wyliczyło hipotetyczną wysokość emerytury pilota samolotów w randze kapitana, po 15 latach służby. Jego wojskowa emerytura wyniesie ok. 10,2 tys. zł brutto. W marcu świadczenie powiększy się o 5,3 proc. z tytułu waloryzacji emerytur i rent, wynagrodzenia w wojsku wzrosną tylko o 3 proc., więc zachęta do przechodzenia na emeryturę będzie większa. Mundurowi wiedzą, że najlepiej przechodzić na emeryturę w styczniu. Naliczana jest od grudniowych zarobków, zwykle najwyższych, a już w marcu powiększa się o waloryzację.

Zbulwersowani internauci – komentując wczesną emeryturę major Hołowni – zastanawiają się, jak dużo pieniędzy musi wydać państwo na wyszkolenie dobrego pilota wojskowego i dlaczego je marnuje, wymagając w zamian pracy tylko przez 15 lat? Czy nie można wykorzystać umiejętności pilota, nawet kiedy już przestał latać, do szkolenia innych, aby jednak służba w wojsku była dłuższa niż 15 lat? Złośliwi zastanawiają się, ile z tych 15 lat trzeba odjąć na urlopy wychowawcze. Bo jeśli w rodzinie jest dwoje dzieci, to pewnie trzy lata.

Trudno mieć jakiekolwiek pretensje do obu pań – emerytek. To nie one ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ wymyśliły ten system. Już przed laty wiele osób bulwersowała kariera słynnego agenta Tomka, który na zasłużony dożywotni odpoczynek udał się już w wieku 35 lat. Po prostu przywilejami emerytalnymi politycy kupowali sobie poparcie ważnych, a zwłaszcza dobrze zorganizowanych grup zawodowych. Tym chętniej, że negatywne skutki ujawniają się dopiero po latach.

System zaczął psuć Miller

Think tank Instytut Emerytalny sprawę młodych emerytek mundurowych kwituje krótko komentarzem swojego szefa dr. Marcina Wojewódki, który przypomina, że statystyczna kobieta dożywa 82 lat, więc obie panie Nawrocka i Hołownia po przepracowaniu 15 lub 18 lat będą pobierały świadczenie przez kolejne 45 lat! W pełni finansowane przez podatników, ponieważ przywilejem służb mundurowych jest to, że nie płacą od zarobków żadnych składek na ZUS – emerytalnych, rentowych ani nawet chorobowych. Państwo płaci za wszystko, a wypłacają resortowe zakłady emerytalno-rentowe Ministerstwa Obrony Narodowej oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Nic dziwnego, że grup żądających, aby im także przyznać status służby mundurowej i wiążące się z tym przywileje, przybywa. W gronie domagających się tego są m.in. straż miejska, służba leśna, czy Inspekcja Transportu Drogowego. Chcą mieć uprawnienia takie jak policja.

Co powoduje, że jakieś grupy otrzymują przywilej pracy kilkukrotnie krótszej niż późniejsza emerytura? Odpowiedź w stylu „bo to nie jest praca, tylko służba" wydaje się mało przekonująca. Czym służba celników, zwłaszcza po 2017 r., różni się od pracy, którą wykonywali wcześniej, kiedy potrzebni byli na wszystkich granicach? Pracownicy skarbówki także nie ryzykują własnym zdrowiem i życiem, bo ewentualnych przekrętów szukają głównie w dokumentach podatkowych, opowiadanie, że chodzą do pracy w kominiarkach, jest niepoważne. Czy ich służba jest bardziej odpowiedzialna niż praca motorniczego tramwaju, który odpowiada za bezpieczeństwo pasażerów, ale pracuje do 65. roku życia? Nie mówiąc o służbie zdrowia czy pilotach samolotów cywilnych.

Dyskusji publicznej nigdy na ten temat nie było, podobnie jak refleksji, że mundurowi przydaliby się w swoich resortach także po czterdziestce. Czasem tylko media donosiły, że jakiegoś obiektu wojskowego pilnuje prywatna firma ochroniarska, a nie żołnierze. Do czasu agresji Rosji na Ukrainę wojsko przed żadnym wrogiem zewnętrznym nas nie broniło, bo nie musiało.

Nie chcę powiedzieć, że uprzywilejowane grupy nie mają jakichś wyjątkowych obciążeń psychicznych czy fizycznych, ale mało jest dzisiaj takich, które ich nie mają. Chodzi o to, że zapłatą nie powinno być psucie całego systemu emerytalnego. To absurd, że w budżetach np. MON czy MSWiA, przeznaczonych na obronność kraju i bezpieczeństwo, zasadniczą część zajmują wydatki na emerytury.

Jeden absurd rodzi kolejne. Przybywa bowiem emerytów mundurowych starego portfela, którzy uważają, że państwo ich okradło, bo choć po zakończeniu służby pracowali też w cywilu, nie mają prawa do dwóch emerytur.

Na początku wszyscy mieli być równi. W 1999 r., kiedy wchodziła w życie reforma emerytalna, system miał być powszechny, więc objęto nim ogół pracujących. – *Ja byłam przeciwna, żeby do systemu powszechnego wcielać także wojsko i policję* – przypomina Aleksandra Wiktorow, długoletnia prezeska ZUS. – *Ale w głowie mi się nie mieściło to, co stało się potem. Jeszcze przed startem reformy wyjęto z niej rolników, zostali w KRUS, w ponad 90 proc. dotowanej przez państwo. Potem przywilejami emerytalnymi obdarowywano kolejne grupy. Kiedy byłam w Radzie Gospodarczej przy premierze Donaldzie Tusku, w ówczesnym budżecie MON na emerytury i renty przeznaczano już wtedy 25 proc. budżetu, więcej niż na płace.*

System, który miał być powszechny, zaczął psuć jako premier lewicowego rządu Leszek Miller. Po wejściu w życie reformy emerytalnej w 1999 r. żołnierzy i policjantów wcielono do ZUS, jak wszyscy musieli opłacać składki (13,71 proc.), potrącane od zarobków. ZUS składkami mundurowych cieszył się tylko przez trzy lata. Popularność lewicowego rządu się kurczyła, więc Leszek Miller szukał sposobu, żeby zwiększyć poparcie – wyprowadził mundurowych z ZUS z powrotem do resortowych zakładów emerytalnych, przywracając im utracone – pochodzące jeszcze z PRL – przywileje. Od 2003 r. znów nie płacą żadnych składek na ubezpieczenie społeczne, zarobki im się nagle powiększyły o składki, czyli o prawie 14 proc.

Z czasem ich przywileje zyskały jeszcze na wartości. Podczas gdy emerytury zusowskie, zależne od sumy zebranych składek, a więc także okresu aktywności zawodowej, stają się coraz chudsze, mundurowi służą społeczeństwu coraz krócej za relatywnie coraz wyższe świadczenia. Emerytury mundurowe są przeciętnie o ok. 60 proc. wyższe niż zusowskie, choć uzyskuje się je w o wiele młodszym wieku.

Według Anity Rzepeckiej z MON przeciętna emerytura wojskowa w grudniu 2025 wynosiła 6468 zł, a w 2024 r. 5098 zł – widać, że szybko rosną. Dane z MSWiA z 2024 r. są więc też zaniżone: wtedy średnia w tym resorcie wynosiła 6024 zł, a w ZUS zaledwie 3086 zł.

Schetyna próbował naprawiać

Kiedy Grzegorz Schetyna został wicepremierem i ministrem spraw wewnętrznych i administracji, próbował system zracjonalizować. Postanowiono przywileje nieco ukrócić, a obowiązkowy okres służby wydłużyć. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, prawa nabyte zagwarantowane są konstytucją. A z prawami nabytymi resortów siłowych politycy muszą się liczyć bardziej niż z prawami pozostałych obywateli. To przecież zbrojne ramię władzy.

Stanęło na tym, że aby zdobyć prawo do emerytury, mundurowi muszą być w służbie co najmniej 25 lat i kończąc ją, być po 55. urodzinach. Nowe przepisy obowiązują od 2013 r. Więc ci, którzy zaczęli służbę po 1999 a przed 2013 r. – tak jak Marta Nawrocka czy Urszula Brzezińska-Hołownia – nadal zachowują możliwość pełnych praw do emerytury już po 15 latach. Właśnie teraz z tego korzystają. Mają też prawo do dwóch emerytur, gdy już jako emeryci zdecydują się nadal pracować i płacić w cywilu składki na ZUS.

Nie wszyscy tak mają. Druga emerytura nie należy się bowiem mundurowym, którzy rozpoczynali pracę przed 1999 r., ówczesne przepisy pozwalały na pobieranie tylko jednej, nawet gdy potem dorabiali. Mogli wybierać świadczenie wyższe, zwykle wybierali mundurowe, którego wysokość dochodziła do 75 proc. ostatniego wynagrodzenia z dodatkami. W ich przypadku nie można mówić o utracie prawa, którego nie mieli, gdy służbę zaczynali. Ale system stał się bardzo niespójny.

Według pułkownika T., który rozpoczął służbę w wojsku w 1980 r., a potem pracował w cywilu, grupa „pokrzywdzonych emerytów mundurowych" z MON oraz

eprasa.pl 2a79540d47

Według danych za 2024 r. armia mundurowych emerytów przekroczyła już 420 tys. osób

MSWiA liczy obecnie 217 tys. osób. 84 tys. to emeryci wojskowi, 133 tys. – funkcjonariusze z MSWiA. – *Na kontach w ZUS odłożyliśmy w sumie 32 mld zł* – zapewnia, bo organizacje takie jak Federacja Służb Mundurowych mają to policzone. 88 tys. osób, które w ZUS odłożyły 14 mld zł po latach pracy w cywilu, weszło w wiek uprawniający do uzyskania emerytury także z ZUS i chce stan swojego indywidualnego konta emerytalnego w ZUS zamienić na świadczenie. Ale nie może, bo im się druga emerytura według prawa nie należy.

Poczucie krzywdy grupy mundurowych „ze starego portfela" jest ogromne. W stosunku do tych z portfela średniego, takich jak Marta Nawrocka czy agent Tomek, czują się przez państwo okradzeni.

A za kilka lat pojawią się emeryci z portfela najnowszego, którzy też mają pretensje. To ci, którzy zaczęli służbę w 2013 r., a więc żadnych praw nabytych nie zdążyli uzyskać i mają pracować do emerytury już nie 15, ale 25 lat. Za to będzie ona wyższa, wyniesie już 60 proc. uposażenia wraz z dodatkami, a za każdy dodatkowy rok zwiększy się o kolejne 3 proc. Wydłużenie okresu służby mundurowym się jednak nie podoba, żądają przywrócenia poprzednich reguł i zachowania prawa do dwóch emerytur.

Policyjna Solidarność zażądała nie tylko 15-procentowych podwyżek płac, lecz i prawa przejścia na emeryturę po 18 latach pracy, także dla pracowników cywilnych, czyli dla przykładowych policyjnych sekretarek również. Na razie związkowcy z MSWiA wywalczyli dodatki mieszkaniowe – do 1,8 tys. zł miesięcznie – które wcześniej należały się tylko żołnierzom. Sejm pracuje teraz nad przywilejami dla rodzin mundurowych, dostaną m.in. zniżki na przejazdy i preferencje w korzystaniu z publicznej ochrony zdrowia.

Emeryci z ZUS patrzą z zazdrością

Tymczasem nożyce między systemem powszechnym, czyli ZUS, a systemami mundurowych rozwierają się coraz bardziej. Na emeryturę zwykłą pracuje się przeciętnie 35–40 lat, na mundurową o wiele krócej – średnio 23 lata, a potem świadczenie jest znacznie wyższe. Aby zachęcić mundurowych do pozostania w służbie dłużej, państwo płaci im 2,5 tys. zł miesięcznie; dopłata ta nie cieszy się jednak powodzeniem, została nazwana dodatkiem dziadowskim. Więc armia mundurowych emerytów rozrasta się o wiele szybciej niż armia żołnierzy czynnych. Według danych za 2024 r. przekroczyła już 420 tys. osób.

Lista uprawnionych do emerytur mundurowych jest długa, są na niej: żołnierze zawodowi, funkcjonariusze policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Straży Marszałkowskiej, Służby Ochrony Państwa, Państwowej Straży Pożarnej, Służby Celno-Skarbowej, Służby Więziennej.

Z danych GUS, pochodzących także z 2024 r., wynika, że MSWiA wypłacało świadczenia 223 tys. osobom, a MON 158 tys. Do tego dochodzi Służba Więzienna podległa Ministerstwu Sprawiedliwości oraz sędziowie i prokuratorzy w stanie spoczynku, w sumie ponad 38 tys. osób. Łącznie to właśnie owe 420 tys. osób. Tylko w 2024 r. budżet wypłacił emerytom i rencistom mundurowym ponad 30 mld zł. Obecnie kwota jest wyższa, waloryzacja emerytur jest bowiem korzystniejsza niż podwyżki przewidziane dla budżetówki.

Młodych emerytów mundurowych chętnie przejmuje prywatny sektor. Zwłaszcza niezbędnych w każdej branży wykształconych przez państwo specjalistów od cyberbezpieczeństwa, których szkolenie jest kosztowne. W bankowości i innych instytucjach finansowych zarabiają krocie. Pilotów wojskowych chętnie zatrudniają linie lotnicze. Nie mówiąc o licznych agencjach ochrony.

Na indywidualnych kontach w ZUS młodzi emeryci, zatrudnieni potem w instytucjach cywilnych, zdążą odłożyć poważne kwoty. Chcą je dostać. Powtarzają, że te ponad 30 mld zł, które każdego roku kosztują emerytury mundurowe sfinansowane w całości z podatków i składek cywilów, im się po prostu należą. Nie oni taki system wymyślili. I wiedzą, że nikt nie odważy się go ruszyć.

JOANNA SOLSKA

© PIOTR WOJNAROWSKI/FORUM

eprasa.pl 2a79540d47

Po lewej: **secesjoniści minister Hennig-Kloski przyjęli nazwę Centrum. Grupa minister Pełczyńskiej-Nałęcz występuje pod starym partyjnym szyldem Polska 2050.**

Turbulencje w koalicji

Konflikt w Polsce 2050 zafundował wszystkim mało estetyczną wycieczkę do fabryki politycznych parówek. Ale rozpad partii Hołowni może ułatwić koalicji 15 października ułożenie się przed wyborami.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Brzmi to dziś jak kiepski żart, ale Polska 2050 to miał być projekt na pokolenia: z nową energią, wartościami, odrzucający logikę partyjnych wojen, za to szukający w podzielonym na dwa obozy kraju tego, co łączy. Cel był szczytny, ambitny, przeżywał nawet momenty koniunktury i chwały, ale na koniec zafundował nam show partyjniactwa, nieokiełznanych osobistych ambicji i napędzanych personalną niechęcią konfliktów, jakiego polska polityka nie widziała od lat. Jedno, co z początkowych, górnolotnych zapowiedzi się ziściło, to transparentność: partyjna wojna toczyła się rzeczywiście przy otwartej kurtynie, posłowie w dużym zbliżeniu pokazali publiczności wszystkie żenujące szczegóły.

Z tej kotłowaniny w formacji stworzonej przez Szymona Hołownię wyłoniły się ostatecznie dwa twory: prowadzeni przez minister klimatu Paulinę Hennig-Kloskę secesjoniści utworzyli nowy klub sejmowy pod nazwą Centrum, natomiast grupa dowodzona przez minister funduszy i polityki regionalnej Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz pozostała wierna szyldowi Polski 2050. Uzupełnionemu ostatnio przez szefową etykietą „wyrazistego centrum", cokolwiek by to miało oznaczać. Sam ojciec założyciel, poseł oraz wicemarszałek Hołownia mordobiciu w partii swojego imienia przyglądał się nieco z boku, tylko od czasu do czasu docierały do nas wieści, że a to po raz kolejny opuścił jakąś grupę dyskusyjną w partyjnych komunikatorach, a to poinformował publiczność o swoim ogólnym zniesmaczeniu i rozczarowaniu. Formalnie pozostał jednak w klubie Pełczyńskiej-Nałęcz.

Chcieć nie znaczy móc

Szamotanina w Polsce 2050 teoretycznie i arytmetycznie może zachwiać koalicją 15 października: obie grupy powstałe z rozpadu partii mają wystarczającą liczbę głosów, żeby pozbawić rząd Donalda Tuska sejmowej większości. Przy rozważaniu takiego rozwoju wypadków wskazuje się zwłaszcza frakcję Pełczyńskiej-Nałęcz, która w rządzie pozycjonuje się jako liderka wewnętrznej opozycji wobec premiera. Pewne nadzieje zdaje się z tym również wiązać PiS; Przemysław Czarnek nagrał nawet w tej intencji wzruszające wideo, gdzie pełnym empatii głosem pochyla się nad losem ministry rozwoju.

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS, FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 2a79540d47

Faktem jest, że rozmnożenie podmiotów tworzących większość rządową zwiększa ryzyko destabilizacji. – *Z badań i doświadczeń międzynarodowych wiemy, że każdy kolejny partner koalicyjny to wyższe prawdopodobieństwo rozpadu, bo rośnie liczba potencjalnych konfliktów. Zwłaszcza gdy dwa najmniejsze kluby, pozbawione realnej politycznej przyszłości, podchodzą do siebie, mówiąc delikatnie, z brakiem zaufania. Zarządzanie takim procesem to już jest polityczna ekwilibrystyka* – mówi nam prof. Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego. I wskazuje na istotną zależność: w III RP tylko dwukrotnie udało się ekipom rządzącym utrzymać władzę na drugą kadencję – i za każdym razem do końca dysponowały stabilną większością w Sejmie.

Jednak w średnim okresie scenariusz utraty większości przez koalicję 15 października wydaje się mimo wszystko mało realny. Członkowie frakcji Hennig-Kloski codziennie gorąco zapewniają o swojej lojalności, natomiast Pełczyńska-Nałęcz pozycję polityczną i rozpoznawalność buduje głównie przez strategię pasożytniczą – głośno sygnalizuje odrębność, jednak w ramach rządu.

Do tego tak radykalna decyzja jak wyjście z koalicji mogłaby szybko zweryfikować spójność i rozmiar jej sejmowego zaplecza. Tym bardziej że Pełczyńska-Nałęcz nie jest posłanką, więc jej kontrola nad własnym klubem parlamentarnym jest krucha, a po ewentualnej utracie funkcji w rządzie stałaby się czysto iluzoryczna. Zresztą już teraz poseł i wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka podzielił się w Kanale Zero spostrzeżeniem, że nie jest wielkim fanem zdolności politycznych swojej liderki. Ta może nadal walczyć o stanowisko wicepremiera, choć ma na to minimalne szanse.

Na razie też nic nie wskazuje na to, aby premier Tusk chciał odwołać z rządu polityków (np. Paulinę Hennig-Kloskę czy Pawła Zalewskiego), którym Pełczyńska-Nałęcz odebrała partyjne rekomendacje. Ale tu jeszcze przez dłuższy czas może być niespokojnie, bo także rozłamowcy mają swoje postulaty, np. funkcję wicemarszałka Sejmu, skoro identyczny liczebnie klub Polski 2026 ma tę funkcję (Hołownia). Będą też spory o stanowiska w komisjach sejmowych. – *Erozję Polski 2050 można traktować jako serię rozpaczliwych prób ratowania indywidualnych karier. Najpierw powstają małe partyjki, potem dzielą się na jeszcze mniejsze grupki, a na końcu pojedyncze osoby próbują dogadać się z większymi podmiotami* – ocenia prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. – *Dla Donalda Tuska to wręcz prezent, odpada mu ewentualna konieczność układania list wyborczych z partnerem, który niewiele wnosił, za to miał bardzo duże ambicje polityczne. Tusk może wykorzystać ten wewnętrzny konflikt do wyłuskiwania konkretnych osób i przy okazji jako sposobność do pokazania siebie jako stabilnego, rozsądnego lidera.*

Widać więc, że rozpad większości sejmowej to perspektywa, która brzmi złowrogo – ba, być może nawet Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz miałaby na to ochotę, nie ustając przecież w wytykaniu błędów, zaniechań i złamanych obietnic przez KO i Tuska – ale w polityce chcieć to nie zawsze móc. Gdy partia Razem wychodziła ponad rok temu z klubu Lewicy, żegnając się na dobre zarówno z koalicją 15 października, jak i z częścią własnych posłanek i senatorek, mogła oprzeć się na małym, ale skonsolidowanym, lojalnym wobec liderów i zaprawionym w bojach partyjnym aparacie. Polska 2050 w obu swoich wcieleniach to zaś amorficzny twór praktycznie niezdolny do samodzielnego działania.

Wyborcza gra w gorące krzesła

To wszystko nie znaczy, że rozpad Polski 2050 nie ma politycznego znaczenia. Spoglądając w statystyki, widzimy, że od ponad dekady praktycznie wszystkie wyborcze starcia między blokiem populistyczno-prawicowym a konserwatywno-liberalno-lewicową resztą świata charakteryzują się bardzo małą różnicą głosów. W wyborach parlamentarnych w 2015 r. PiS, Kukiz'15 i KORWiN zdobyły razem 51,2 proc., w 2019 r. PiS i Konfederacja – 50,4 proc., w 2023 r. KO, Lewica i Trzecia Droga zebrały 53,7 proc. głosów. Podobnie w wyborach prezydenckich kandydaci prawicy w tym czasie wygrywali minimalnie, osiągając odpowiednio 51,6 i 51 proc. (Andrzej Duda) oraz 50,9 proc. (Karol Nawrocki) głosów.

Dziś sondaże pokazują, że w przyszłym roku będziemy mieli do czynienia z równie małymi różnicami w jedną lub drugą stronę, a decydująca będzie maksymalizacja poparcia nad progiem wyborczym: każdy procent pogrzebany poniżej progu może zdecydować o tym, kto będzie miał możliwość stworzenia rządu.

Dlatego atrofię partii Hołowni można postrzegać nie jako mniej lub bardziej fantomowe zagrożenie dla koalicji, ale jako szansę na łatwiejszą optymalizację list wyborczych w perspektywie 2027 r. Bo dziś pewna wejścia do Sejmu jest tylko Koalicja Obywatelska, która wyraźnie prowadzi w sondażach, ale nie może liczyć na solidne wsparcie partnerów, którzy albo balansują nad progiem (Nowa Lewica), albo pod nim (PSL), albo notują poparcie na granicy istnienia w sondażu (PL 2050). Fotele na Wiejskiej nie stałyby się dziś udziałem również partii Razem. – *Od 2007 r. do Sejmu wchodzi maksymalnie pięć komitetów wyborczych. Z dzisiejszej perspektywy, jeśli liczyć podwójnie rozłamaną Polskę 2050, mamy dziewięć formacji aspirujących do zdobycia mandatów w parlamencie. Nawet jeśli założymy, że partia Hołowni zostanie rozparcelowana, to wciąż daje siedem podmiotów z ambicjami wejścia do Sejmu, co zapowiada zabawę w „gorące krzesła": kampania trwa, wszyscy krążą, a gdy przyjdzie moment siadania, dla kogoś zabraknie miejsca* – wskazuje prof. Flis.

Z obecnej sondażowej perspektywy krzeseł w Sejmie zabrakłoby dla dwóch formacji z trójki: Nowa Lewica, PSL i Razem, ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ bo Konfederacja i Korona Polska wydają się bezpieczne. A taki scenariusz niemal na pewno oznaczałby utratę władzy przez szeroko rozumiany obóz demokratyczno-liberalny. Choć prof. Flis zaleca ostrożność w dzieleniu skóry na niedźwiedziu w kontekście notowań skrajnej prawicy: – *Formacja Brauna aspiruje do roli kolejnego Tymczasowego Ugrupowania Protestu, tylko powstaje pytanie, jak długo wyborcy będą się na takie „TUP-y" nabierać? Braun ma dziś ok. 10 proc., ale Hołownia na analogicznym etapie miał ich kilkanaście, a mimo to, gdyby nie reanimacja jego projektu przez Kosiniaka-Kamysza, trudno powiedzieć, jak by to się skończyło w wyborach w 2023 r.*

Kosiniak-Kamysz nie zdradzi

Niezależnie od tego, jak ułoży się układ sił na prawicy, z pewnością można powiedzieć, że więcej niż dwie listy po stronie demokratycznej będą już ryzykownym igraniem z ogniem, a więcej niż trzy proszeniem się o wyborczą katastrofę. Dziś jednak partyjni aktorzy nadal zachowują się w taki sposób, jakby mieli jeszcze mnóstwo czasu na konfigurację wyborczego systemu operacyjnego. Tymczasem nieco ponad półtora roku, które zostało do konstytucyjnego terminu wyborów, to złudnie długa perspektywa: kampania realnie wystartuje najdalej jesienią, a czas na rozpoczęcie finalizacji konkretnych strategii dotyczących list wyborczych rozpoczyna się właśnie teraz. Jednak nie widać tego ani w przekazach medialnych, ani wtedy, gdy poskrobie się pod powierzchnią oficjalnych partyjnych narracji. Koalicja Obywatelska wciąż wesoło celebruje pyrrusową przewagę sondażową nad PiS, Nowa Lewica wypiera możliwość spadku pod próg, a PSL puszcza oko do konserwatywnej prawicy, ustawiając się jako pomost między koalicją 15 października a prezydentem Nawrockim. Bywa, że ciepło o PSL wypowiadają się niektórzy politycy PiS, jak Mateusz Morawiecki czy Przemysław Czarnek.

To budzi z kolei podejrzliwość liberalnej części opinii publicznej, która zaczyna się zastanawiać, czy partia Kosiniaka-Kamysza nie planuje aby odwrócenia sojuszy. Jednak niewiele na to wskazuje. Ludowcy odgrywają raczej w koalicji rolę „dobrego policjanta", stanowiąc poręczne usprawiedliwienie dla KO i Nowej Lewicy, kiedy taktycznie trzeba iść na jakiś kompromis z PiS lub Nawrockim. Tusk i Czarzasty mogą wtedy zawsze powiedzieć swoim wyborcom: „My nigdy byśmy tego nie zrobili, no ale ten Kosiniak...". Warto też zauważyć, że historycznie PSL współrządził pięć razy i nigdy nie robił tego z katolicko-narodową prawicą: dwa razy wchodził w koalicję rządową z SLD, dwa razy z KO i raz (obecnie) jednocześnie z KO i SLD zmienionym w Nową Lewicę.

Prof. Rafał Chwedoruk wskazuje nawet, że sensowną opcją byłaby wspólna lista wyborcza firmowana przez Tuska i Kosiniaka-Kamysza. – *Zmiany społeczne w Polsce nie sprzyjają PSL. Tradycyjny wyborca ludowy się starzeje, staje się coraz bardziej konserwatywny, ale jednocześnie zmienia się wieś. Internet, migracje, mobilność – młodzi i ludzie w średnim wieku żyją dziś na wsi podobnie jak w mieście. Droga „tradycyjnego elektoratu" jest więc dla ludowców zamknięta. A dla KO logo PSL i jego struktury terenowe są cenne, bo Platforma w relacji do skali poparcia ma stosunkowo niewielką bazę członkowską. Można sobie oczywiście wyobrazić, że część centrolewicowych wyborców KO mogłaby być niezadowolona z obecności PSL na listach, ale historia pokazuje, że ta grupa elektoratu jest przyzwyczajona do szerokich koalicji i przetrwała już różne eksperymenty – jeśli zaakceptowali Romana Giertycha, to obecność PSL nie będzie dla nich aż tak wielkim szokiem.*

Chwedoruk podkreśla jednak, że ludowcy do ostatniej chwili będą szukać jakiejkolwiek formy samodzielności, żyjąc w cieniu historycznego strachu przed pochodzącą z okresu międzywojennego etykietą „kadzichłopów" – politycznego kwiatka do kożucha silniejszego, sanacyjnego wówczas, partnera. Dodajmy, że perspektywa niezależnego startu będzie tym bardziej kusząca, im częściej w sondażach (jak pod koniec stycznia w badaniu IBRiS) ludowcy będą mieli notowania powyżej 5 proc. Z kolei prof. Flis przeszkód na drodze do takiego porozumienia szuka w aparacie partyjnym KO i jego tożsamości ufundowanej m.in. na poczuciu wyższości wobec „chłopów z PSL".

Cuda się nie powtarzają

Sojusz KO z PSL byłby z pewnością najpotężniejszą listą w wyborach, a porozumienie formacji Tuska i Kosiniaka-Kamysza otworzyłoby szerzej drzwi dla Nowej Lewicy wśród progresywnego wielkomiejskiego elektoratu. Puszczając wodze fantazji, można sobie nawet wyobrazić współpracę wyborczą Polski 2050 Pełczyńskiej-Nałęcz z partią Razem Zandberga jako sojuszu aspirującego do roli mieszczańskiego tymczasowego ugrupowania protestu: Pełczyńska wniosłaby do niego pieniądze z partyjnej subwencji i czułość wobec klasy średniej, a Razem struktury, popularność wśród młodych i społeczną wrażliwość. Problem w tym, że w prawdziwym świecie dochodzi praktyczne do bólu dzielenie stref wpływów, zaspokajanie ambicji lokalnych działaczy i bitwa o miejsca na listach w okręgach.

Jednak na końcu zostaje widzialna rzeczywistość. A ta jest nieubłagana. Obecnie to populistyczna, skrajna prawica jest dużo lepiej dostosowana do realiów definiowanych przez ordynację wyborczą. Struktura poparcia po tej stronie sceny politycznej może być uwierająca dla dotychczasowego hegemona w postaci Prawa i Sprawiedliwości, ale PiS, Konfederacja i Korona Polska jako potencjalny blok koalicyjny uzyskują większość nawet w najmniej przychylnych sondażach, takich, które w procentach głosów dają solidną przewagę obozowi demokratycznemu. To np. przypadek badania United Surveys z przełomu stycznia i lutego, w którym KO, Nowa Lewica, PSL, Razem i Polska 2050 mogły liczyć na 49,6 proc. głosów (uwzględniając niezdecydowanych respondentów), natomiast PiS, Konfederacja i Korona Polska na 42,4 proc. głosów. Mimo tak znaczącej dysproporcji według wyliczeń dr. Macieja Onasza z Uniwersytetu Łódzkiego prawicowa koalicja miałaby w Sejmie 232 posłów. Powód? Ani jednego głosu nie zmarnotrawiła pod progiem.

Zwycięstwo koalicji 15 października w 2023 r. było wynikiem cudu, na który złożyły się przypadek i zdrowy rozsądek wyborców. Rozwibrowana emocjonalnym sporem o tzw. jedną listę klasa polityczno-publicystyczna nie potrafiła przez wiele miesięcy dojść do jakiejkolwiek racjonalnej konkluzji, zostawiając werdykt wyborczy woli nieba i suwerena. Optymistyczny wniosek jest taki, że cuda, owszem, czasami się zdarzają. Pesymistyczny – raczej nie co cztery lata.

Rozpad Polski 2050 powinien być pierwszym sygnałem do pobudki i kreowania racjonalnych scenariuszy koalicyjnych na 2027 r. Tym bardziej że wraz z radykalizacją PiS, sondażowymi wzrostami partii Brauna i rosnącym sceptycyzmem wobec Unii Europejskiej i osadzenia Polski w strukturach Zachodu, stawka tych wyborów znów będzie ogromna. Nieodpowiedzialnością byłoby pójść do nich w formie chaotycznego pospolitego ruszenia.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 2a79540d47

Pupil prezesa

Zaledwie dwa lata w partii, a już jest brany pod uwagę jako kandydat PiS na premiera. Co sprawiło, że Tobiasz Bocheński tak szybko zyskał względy Jarosława Kaczyńskiego?

ANNA DĄBROWSKA

Pod koniec stycznia w portalu wszystkoconajwazniejsze.pl ukazał się tekst Tobiasza Bocheńskiego „Polska na miarę naszych ambicji". To swego rodzaju manifest polityczny, który przeszedł bez echa. „Wpływamy na wzburzone wody, zatem potrzebujemy: mądrego i utalentowanego kapitana, sprawnej i zdyscyplinowanej załogi, a także statku, którym można sprawnie manewrować pośród wielkich, groźnych fal polityki międzynarodowej" – napisał Bocheński.

Czołowi politycy PiS nie mieli wątpliwości, że Bocheński w roli tego „mądrego i utalentowanego kapitana" widzi siebie. Jakiś czas temu zawiązał polityczny sojusz z tzw. maślarzami, których głównym spoiwem jest niechęć wobec Mateusza Morawieckiego. Nie wyobrażają sobie, by ten znów był premierem, i pracują na to, by to jeden z maślarzy dostał nominację. Największe szanse ma ponoć Tobiasz Bocheński (rocznik 1987).

Nazwa frakcji wzięła się właśnie od Bocheńskiego, który oburzał się, że za rządów Tuska na pokładzie samolotu rodzimych linii Lot zaserwowano mu niemieckie masło. Oprócz niego twarzami frakcji są Przemysław Czarnek, Jacek Sasin i Patryk Jaki. Bocheński związał się z maślarzami, ale w partii budzi nieufność, bo zapisał się do PiS dopiero w kwietniu 2024 r. – *Za mało jeszcze pokazał, niewiele wygrał dla partii, ale można powiedzieć, że paradoksalnie taką ścieżkę szybkiej partyjnej kariery utorował mu Morawiecki, który sam z doradcy Tuska stał się nagle pupilem Jarosława i premierem na kilka lat* – ironizuje z satysfakcją zwolennik maślarzy.

Z Łodzi do Warszawy

Jeszcze trzy lata temu o jego istnieniu wiedziało niewielu. Co prawda od końca 2019 r. był wojewodą łódzkim, ale rozpoznawalność miał raczej umiarkowaną. W 2023 r. przeprowadził się do Warszawy i został na kilka miesięcy wojewodą mazowieckim, kiedy fotel zwolnił Konstanty Radziwiłł (został ambasadorem w Litwie). W kwietniu 2024 r. był kandydatem PiS w wyborach na prezydenta Warszawy; w czerwcu został europosłem z drugiego miejsca na liście; później zaś całkiem poważnym kandydatem na kandydata PiS w wyborach prezydenckich, a trzy tygodnie po wygranej Karola Nawrockiego Bocheński został wybrany na wiceprezesa PiS.

Teraz jest w czołówce listy nazwisk, spośród których Kaczyński wskaże przyszłego premiera PiS. Obok Zbigniewa Boguckiego, szefa Kancelarii Prezydenta, ale jak mówią politycy kojarzeni z Nowogrodzką: „prezydent nie chce się na to ogłoszenie na razie zgodzić, bo nie chce się kojarzyć tylko z PiS"; Przemysława Czarnka, ale „jest za bardzo obciążony naszymi rządami, bo był kontrowersyjnym ministrem edukacji"; i Patryka Jakiego, „ale jest postrzegany jako zbyt radykalny". Bocheński wysuwa się więc – w opinii wielu dobrze zorientowanych rozmówców z PiS – na prowadzenie. Z badań zamówionych przez prezesa wyszło, że na kampanię potrzebny jest premier, który ma mieć mniej niż 50 lat, znać języki, dobrze wyglądać i ma być jakoś związany z PiS, ale bez obciążenia ośmioletnią władzą. Bocheński, 39-latek, pasuje.

Jest Łodzianinem, a jak sam mówił kiedyś w „Super Expressie", w mieście Bocheńscy są znani od czterech pokoleń. Jego ojciec Tomasz Bocheński to znany profesor literatury, kierownik Katedry ▶

© MIROSŁAW STELMACH/REPORTER

eprasa.pl 2a79540d47

▶ Literatury Polskiej XX i XXI wieku, witkacolog. Tobiasz skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Łódzkim, a jego mentorem naukowym i politycznym był prof. Zbigniew Rau, były senator PiS za pierwszych rządów Jarosława Kaczyńskiego. W 2012 r. Bocheński został sekretarzem do spraw naukowych w kierowanym przez Raua Centrum Myśli Polityczno-Prawnej im. Alexisa de Tocqueville'a na UŁ.

Po wygranych przez PiS wyborach w 2015 r. Rau został wojewodą łódzkim i zaproponował Bocheńskiemu, aby został jego asystentem. Potem awansował go na doradcę, a w 2017 r. na dyrektora biura wojewody.

W tym czasie Bocheński robił doktorat, a tytuł zdobył w 2019 r. w zakresie nauk prawnych za rozprawę o brytyjskiej myśli liberalnej i republikańskiej w XVIII w. W tym samym roku jego mentor został posłem PiS, a chwilę później szefem MSZ w rządzie Mateusza Morawieckiego. Do Warszawy z urzędu wojewódzkiego prof. Rau zabrał ze sobą swoją rzeczniczkę prasową Elżbietę Węgrzynowską. Awansował ją na szefową swojego gabinetu politycznego w MSZ. We wrześniu 2020 r. Elżbieta wzięła ślub z Tobiaszem Bocheńskim. „Tak ona, jak jej mąż mają kompetencje i atuty rzadko widywane na polskiej prawicy. Czyli wdzięk, urodę, atrakcyjność i medialne wyrobienie. To typ na polskiej prawicy rzadki" – mówił w Onecie znajomy pary, kiedy wystąpiła u boku męża w kampanii na prezydenta stolicy. Ktoś inny dodawał, że Elżbieta jest mocno nakierowana na jeden cel: kariera albo jej, albo męża.

W 2020 r. Bocheński zastąpił prof. Raua w fotelu wojewody łódzkiego. Jeden z ministrów w rządzie PiS wspomina, że Rau jako szef MSZ nie bardzo liczył się ze zdaniem Mateusza Morawieckiego, choć formalnie premier był jego szefem. – *Morawieckiego irytowało, że profesor za jego plecami uzgadnia ważne sprawy z Jarosławem, że lobbuje za swoim pupilem Bocheńskim u prezesa i wywindował go na wojewodę mazowieckiego. Od tamtego czasu Mateusz z Tobiaszem ma na pieńku, a obaj są szalenie ambitni* – twierdzi nasz rozmówca.

W maju 2023 r. zaraz po przeprowadzce do Warszawy, by zasiąść w fotelu wojewody mazowieckiego, Bocheński był pytany w „Super Expressie", czy zmierza startować w wyborach do Sejmu, zapewniał, że nie. „I co? Porzuciłem rodzinną Łódź, (...) żeby przyjechać do Warszawy, w której nikt mnie nie zna, żeby wbić się na listę do Sejmu w jednym z najtrudniejszych okręgów wyborczych kraju? Całkowicie błędne rozumowanie". Dopytywany, czy w takim razie chce zostać prezydentem Warszawy, odpowiadał wówczas: „Nie planuję tego". Do Sejmu faktycznie nie wystartował, ale podjął się z góry przegranej bitwy z Rafałem Trzaskowskim o prezydenturę Warszawy. Miesiąc później w 2024 r. w nagrodę wystartował z Warszawy z drugiego miejsca na liście w wyborach do Parlamentu Europejskiego i zdobył mandat.

Przegrana, ale wygrana

W grudniu 2023 r. Bocheński zamieścił na platformie X skan swojego pisma do Donalda Tuska z żądaniem pilnego przyjęcia dymisji. To tanie polityczne zagranie, bo wiadomo, że po zmianie władzy wojewodowie i tak lada moment będą odwołani. „Pańskie poglądy, działania, zaniedbania, wybory życiowe, jak i przyświecające Panu wartości stanowią zaprzeczenie wszystkiego, co winno leżeć nie tylko u podstaw dobrego rządu, ale również być spoiwem polskiego życia publicznego. Każda chwila bycia instytucjonalnie kojarzonym z takim premierem jak Pan jest dla mnie dyshonorem". Pod wpisem ogrom komentarzy, zwolennicy PiS przyklasnęli, inni wytykali brak klasy.

Wspomina jeden z ważnych polityków PiS: – *Ten publiczny atak na Tuska spodobał się Kaczyńskiemu i był dla niego dowodem, że choć formalnie Bocheński nie jest w partii, to jest lojalny, chce się bić i warto postawić na tego ambitnego człowieka.*

O tym, by wystawić Bocheńskiego do pojedynku z Rafałem Trzaskowskim, zdecydowała głównie rekomendacja prof. Raua, ale też pochodzenie z inteligenckiego domu, co zawsze punktuje u prezesa PiS, konserwatywne poglądy i prezencja.

Prawda jest też taka, że lista chętnych do straceńczego boju o stolicę była krótka. W 2018 r. Kaczyński postawił na polityka z radykalnie prawego skrzydła – Patryka Jakiego i skończyło się na porażce w pierwszej turze (28 proc.; 254 tys. głosów). Wystawienie sześć lat później w stolicy bardziej centrowego polityka, za jakiego uchodził Bocheński, dało gorszy wynik (23 proc.; 178 tys. głosów). Bocheński tłumaczył w „Tygodniku Warszawa", i jest w tym trochę racji, że nie można porównywać tych wyborów w prosty sposób. „W 2018 r. mieliśmy do czynienia z innymi warunkami politycznymi. Wynik Patryka Jakiego był lepszy, ale ten z 2024 r. (czyli Bocheńskiego – przyp. red.) jest najlepszym wynikiem kandydata PiS spośród wszystkich dużych miast w kraju". Dodawał, że Warszawa jest najbardziej liberalną i progresywną metropolią w Polsce, więc jego wynik nie jest powodem do wstydu. Choć dodał, że nie jest też sukcesem.

Zresztą w wyborach prezydenckich w Warszawie w pierwszej turze Karol Nawrocki dostał jedynie 20 tys. głosów więcej niż Bocheński rok wcześniej w boju z Trzaskowskim.

– *Jarosław docenił, że stanął do tej walki i dał mu drugie miejsce w wyborach do europarlamentu, ale prezes mocno wspierał wtedy naszą jedynkę na liście Małgorzatę Gosiewską, a Tobiaszowi powiedział, aby radził sobie sam. To też był test* – twierdzi nasz rozmówca. Efekt był taki, że Gosiewska z poparciem Kaczyńskiego dostała z jedynki 99 tys. głosów, a Bocheński tylko 3 tys. mniej. Pewne jest, że startując w wyborach na prezydenta stolicy, wiedział, że ich nie wygra, ale natychmiast katapultuje się na inny poziom rozpoznawalności.

Trochę lepszy Duda

Wystawienie Bocheńskiego dwa razy w wyborach w Warszawie było sprawdzeniem, jak reaguje na stres, czy potrafi pracować z piarowcami i jest tak samo plastyczny, jak okazał się w 2015 r. Andrzej Duda w swojej zwycięskiej kampanii. Bocheński ostatecznie przegrał w rankingu z Karolem Nawrockim, ale u Kaczyńskiego nie stracił punktów. To prezes wysłał go na wyborczą debatę prezydencką w Polsacie, w której wzięli udział wskazani przez sztaby przedstawiciele.

Bywalec w gabinecie Kaczyńskiego twierdzi, że prezes zwracał uwagę na pewne analogie między Dudą a Bocheńskim. Podobnie jak Duda jest doktorem prawa, jest wciąż młody, jak Duda kiedy pierwszy raz ubiegał się o urząd, obaj pochodzą z rodzin profesorskich, przetarli się przez politykę i kampanię – jeden startował na prezydenta Warszawy, drugi Krakowa, i administrację – Duda w Kancelarii Kaczyńskiego i resorcie sprawiedliwości, a Bocheński jako wojewoda.

Bocheński przez chwilę był pewny, że to on, a nie Nawrocki będzie startował

eprasa.pl 2a79540d47

Z żoną Elżbietą. Jest mocno nakierowana na jeden cel: kariera jej albo męża.

na prezydenta. Jako jedyny z liderów listy prezesa mówił o tym dość otwarcie. – *Z badań wyszło ostatecznie, że przeciwko intelektualiście Trzaskowskiemu w niepewnych czasach, z wojną tuż przy granicy lepiej wystawić kogoś z wizerunkiem twardziela, który umie się stawiać, bić – i to dosłownie – jak Karol. Bocheński ma wizerunek bardziej aspiracyjny, na nieco inne czasy* – wyjaśnia osoba, która pracowała w kampanijnym sztabie.

Morawiecki bis

Wielu polityków PiS, a niektórzy z przekąsem, mówią o nim „nowy pupil prezesa". Odnotowują, że bywa na Nowogrodzkiej przynajmniej raz w tygodniu na długich rozmowach z prezesem o filozofii prawa, polityki i historii. Dwa lata temu Kaczyński poróżnił się z tzw. frakcją profesorską, która obraziła się, kiedy prezes zażądał odwołania prof. Ryszarda Legutki z funkcji szefa delegacji PiS w Parlamencie Europejskim. Na jego miejsce Kaczyński miał zaproponować Dominika Tarczyńskiego. Zaraz potem dwóch profesorów PiS, Zdzisław Krasnodębski i właśnie Legutko, nie wystartowało już w wyborach do PE. – *Krąg ludzi wokół prezesa, dobrze wykształconych, erudytów, z którymi mógłby porozmawiać na wyższym poziomie, znacznie się skurczył. Bocheński jakoś wypełnia tę lukę* – opowiada ważny poseł PiS.

Stały bywalec Nowogrodzkiej twierdzi, że w otoczeniu Morawieckiego jako najpoważniejszego konkurenta spośród maślarzy postrzegają właśnie Bocheńskiego. Dołączył do prawego, radykalnego skrzydła PiS i tam się buduje, bo jego głównym konkurentem jest Morawiecki, który ma poparcie umiarkowanej frakcji. – *A tak naprawdę Tobiasz i Mateusz są do siebie bardzo podobni. Światopoglądowo umiarkowani, centryści, systematyczni, szalenie ambitni i pracowici. Choć w sprawach gospodarczych bliżej Bocheńskiemu do Mentzena* – zauważa nasz rozmówca.

Czytając wspomniany na początku tekst Bocheńskiego, widać te podobieństwa wyraźnie. Nieufni wobec przemiany Bocheńskiego w prawicowego twardego pisowca przypominają mu, że kiedy startował na prezydenta Warszawy, publicznie żałował, że jako wojewoda łódzki pochwalił kuratora oświaty, który mówił, że „wirus ideologii LGBT jest groźniejszy od koronawirusa". Deklarował też, że jest za finansowaniem z budżetu in vitro i za powrotem do kompromisu aborcyjnego z 1993 r. – *Tobiasz doskonale wyczuwa polityczny moment. Dziś wzbija się na skrzydle twardej prawicy, ale jak emocja społeczna się zmieni na spokojny konserwatyzm, z którym tak naprawdę się identyfikuje, to świetnie się w tym odnajdzie* – stwierdza doświadczony polityk PiS.

Wymarzony zięć i wnuczek

Prezes docenia, że Bocheński jest aktywny jako europoseł. Jego atutem jest dobra znajomość angielskiego. W Brukseli bronił rządów premiera Węgier Viktora Orbána, zarzucając „lewicy i eurokratom", że w kwestiach praworządnościowych „robią cyrk w sprawie Węgier". Jak pisał Wojciech Szacki w POLITYCE Insight, Bocheński w Brukseli „ma opinię europosła aktywnego i zorientowanego w sprawach na poziomie wyższym niż średnia polskich europosłów wszystkich frakcji".

Na Nowogrodzkiej odnotowano też, że nie odstawia nogi na polskim podwórku. – *Chodzi po mediach od TV Republika po TVP i dokłada Tuskowi. Doskonale ogarnia swoje media społecznościowe. Jest nakręcony na spotkania z wyborcami, zalicza po pięć w miesiącu i choć miał wizerunek sztywniaka intelektualisty, to potrafi zagrać swojaka. Przyciąga po 200–300 osób i jest oklaskiwany. Niejedna babcia chciałaby mieć takiego wnuczka, a matka zięcia* – stwierdza polityk PiS.

A czy prezes chciałby mieć takiego premiera? Osoby z kierownictwa partii opowiadają, że Kaczyński daje wprost do zrozumienia, że Bocheński jest jego faworytem. Na posiedzeniach kierownictwa partii prezes prosi go o opinię: „A co pan o tym myśli? Chciałbym poznać pana zdanie", co wzbudza zazdrość starszych stażem w partii. – *Tobiasz, tak samo jak Zbyszek Bogucki, mają tę przewagę nad Morawieckim, że ich siłą jest tylko Jarosław* – stwierdza osoba z otoczenia Kaczyńskiego. Są młodymi politykami i kontrola prezesa byłaby nad nimi znacząco łatwiejsza niż nad Morawieckim, który nie tylko chce być premierem, ale też szefem PiS.

Bocheński jeszcze w październiku otwarcie deklarował w „Super Expressie": „oczywiście, że chciałbym być premierem". Teraz spuścił z tonu, bo wie, że takie deklaracje irytują prezesa. W tygodniku „Sieci" kilka dni temu na stwierdzenie, że jego nazwisko jest na giełdzie kandydatów na premiera, odpowiedział powściągliwie, że mu to schlebia, ale najważniejsza jest biało-czerwona drużyna.

ANNA DĄBROWSKA

© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 2a79540d47

Czy tatuaże szkodzą?

Choć tatuaże stały się powszechne, dopiero teraz wchodzimy w etap, w którym można obserwować ich długofalowe skutki. A badania sugerują, że największe ryzyko nie płynie z doraźnych zakażeń, lecz z naruszenia równowagi odporności.

PAWEŁ WALEWSKI

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

eprasa.pl 2a79540d47

Ta zmiana perspektywy wciąż pozostaje wiedzą niszową, a w salonach tatuażu próżno szukać paniki. Małgorzata Rumińska, warszawska tatuatorka z ośmioletnim stażem, przyznaje, że to ona zazwyczaj inicjuje wywiad medyczny. Klienci rzadko sami wychodzą z inicjatywą. – *Muszę wiedzieć, czy ktoś nie zmaga się np. z rozchwianą cukrzycą, która utrudnia gojenie, lub czy nie cierpi na silne alergie* – wyjaśnia. Zdarzało się już, że zamiast na fotel odsyłała marzących o tatuażu prosto do dermatologa. Z kolei Natalia Bańkowska z wrocławskiego Mętlik Studio zauważa, że u jej klientek obawy zdrowotne – choć obecne – często przegrywają z prozą życia. Największym lękiem wciąż nie jest reakcja organizmu, lecz reakcja otoczenia: rodziny i znajomych.

W czasach Instagrama i TikToka tatuaże przestały być deklaracją: znakiem buntu, przynależności do subkultury, nieodwracalnym gestem młodzieńczej przekory. Stały się estetycznym dodatkiem, który nie wywołuje zgorszenia ani sensacji – dyskretnym wzorem na nadgarstku prawniczki, rozległą kompozycją na plecach menedżera. Sporo firm – takich jak banki czy linie lotnicze – które jeszcze niedawno w swoich wytycznych zakazywały pracownikom jakichkolwiek malunków widocznych na skórze, zaczęło poluzowywać restrykcje i zezwala na coraz więcej.

Marta, która jest dziennikarką, zaczęła się tatuować dopiero przed czterdziestką. Zamiast kolczyków i bransoletek wybrała tusz. – *Nie noszę biżuterii, więc pomyślałam, że to będą moje trwałe ozdoby* – tłumaczy. Jej tatuaże są niewielkie, dyskretne: cytaty z ulubionych piosenek, irlandzkie symbole (ślad fascynacji Zieloną Wyspą), obok nich rakieta tenisowa i bojowe zawołanie Igi Świątek „Jazda!", które Marta przejęła jak własne motto. Małe znaki, ale wielkie znaczenia – zapis tego, co ją zachwyca i napędza. Była pierwszą w rodzinie osobą, która zaczęła się tatuować, ale wkręciła w to swoich najbliższych i nawet 70-letni rodzice ulegli tej modzie. – *Oboje mają już więcej tatuaży ode mnie. Tata cały „rękaw" pokrył zwierzętami, czaszkę mu odradziłam, bo sztampa. Mama, ogrodniczka z zamiłowania, wybrała roślinne motywy. Uznali, że nie chcą się stereotypowo starzeć, dodało im to pewności siebie. Równolatkom zwykle imponują.*

Jak pokazują dane, rocznie w Polsce odbywa się nawet 900 tys. wizyt w studiach tatuażu, a 10 proc. społeczeństwa nosi już na sobie te trwałe zdobienia. Co trzeci dorosły Amerykanin i 60 mln Europejczyków ma przynajmniej jeden tatuaż. Atrament wszedł pod skórę na dobre.

Jednorazowe z nazwy

Zaskakujące jest jednak to, jak niewiele wiemy o długofalowych konsekwencjach. Przez lata uwaga skupiała się głównie na ryzyku zakażeń: wirusowym zapaleniu wątroby typu B i C, wirusie HIV czy infekcjach bakteryjnych, wynikających z niewłaściwej sterylizacji sprzętu i braku higieny. Jednak, na co zwracają uwagę moje rozmówczynie, winę ponoszą też sami klienci, którzy nie przestrzegają zaleceń po zabiegu. – *Ludzie skarżą się na podrażnienia, a ignorują przestrogi: by przez trzy tygodnie unikać basenu, przemywać skórę odpowiednim mydłem, nawilżać ją i chronić przed kontaktem ze zwierzętami* – wylicza Małgorzata Rumińska. Sama, gdy jako 22-latka zaczęła się tatuować, obsesyjnie pilnowała każdego ruchu artysty. Sprawdzała choćby, czy brudną rękawiczką z krwią nie dotyka czystej butelki z tuszem, do której będzie sięgał przy następnych klientach.

Nie był tak uważny pan Dariusz, który przebył długą kurację wirusowego zapalenia wątroby typu C po zakażeniu najprawdopodobniej w jednym z nadmorskich gabinetów. Wybrał renomowany, jak sądził, punkt, w którym pracownicy będą myć ręce, zmieniać rękawiczki, używać sterylnych igieł. – *W pewnym momencie zauważyłem, że wykonujący zabieg bawi się metalowym pokrętłem maszynki w tej samej rękawiczce, którą wcierał wazelinę w ranę poprzedniego klienta* – opowiada. – *Gdy zwróciłem na to uwagę, usłyszałem, że maszynka nie była używana od 12 godzin. Okazało się, że w gabinecie nie mają autoklawu, tylko stosują jakieś „mydło chirurgiczne".*

Nawet jednorazowy sprzęt do nakłuwania skóry może nie gwarantować bezpieczeństwa, gdy źle się z nim ktoś obchodzi, bo do zakażeń dochodzi również przy używaniu wspólnego tuszu, jeśli po staremu maczane są w nim wysterylizowane igły. Czy pracownicy salonów o tym wiedzą? Zdaje się, że nie wszyscy, bo kształcenie w fachu tatuatora to w Polsce rozpoznawanie tej dziedziny w boju. – *Najlepszą ścieżką, by wyrobić w sobie dobre nawyki, są praktyki pod okiem doświadczonych mistrzów* – mówi pani Małgorzata. – *W ostatnich latach pojawiło się wiele kursów, ale to metoda na naciąganie ludzi, bo często prowadzą je osoby bez żadnych kwalifikacji. Przez dwa dni nie nauczą wiele, a zapłacić trzeba nawet 4 tys. zł.*

Natalia Bańkowska nie uważa, że w Polsce jest niebezpieczniej niż za granicą. – *Tam w wielu miejscach również jednorazowy sprzęt czy pokrowce na fotelach są tylko z nazwy. Jeśli nie ma właściwego nadzoru, należy liczyć tylko na czyjąś odpowiedzialność. Nikt mnie nie sprawdza, ale skoro ingeruję w czyjeś ciało, to muszę pracować bezpiecznie, tak jakby kontrola miała wpaść w każdej chwili.*

Bomba pigmentowa

Ale najnowsze badania bezpieczeństwa tatuaży przesuwają punkt ciężkości w zupełnie inną stronę: ku układowi odpornościowemu oraz chemicznym składnikom tuszu, które – raz wprowadzone do organizmu – zostają w nim na całe życie. Bo tusz nie jest kosmetykiem w potocznym sensie. Nie pozostaje na powierzchni naskórka. Jest wstrzykiwany – mechanicznie, wielokrotnie – w głąb skóry właściwej, gdzie ukryte są naczynia limfatyczne, które z chłonką mogą rozprowadzać go do węzłów chłonnych i do wątroby. To zasadnicza różnica, która przez dekady była bagatelizowana zarówno przez branżę, jak i przez twórców regulacji.

Jak podkreślają dr hab. Anna Charuta, biolog i anatom, oraz dr hab. Agnieszka Paziewska, zajmująca się genetyką i biologią molekularną, tatuaż to trwała ingerencja w środowisko wewnętrzne organizmu, a nawet DNA. Obie ekspertki są profesorkami na Wydziale Nauk Medycznych i Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu w Siedlcach, gdzie prof. Charuta od kilku lat nadzoruje badania nad konsekwencjami tatuowania skóry i specjalizuje się w badaniu początkowych etapów tych reakcji: – *Gdy składniki barwnika trafiają do głębszych warstw, układ odpornościowy rozpoznaje je jako ciała obce, wysyłając w ich kierunku armię białych krwinek zwanych makrofagami.*

To komórki pochłaniające pigment i transportujące go do węzłów chłonnych – a te, zamiast pełnić wyłącznie funkcję filtrów dla patogenów, stają się magazynami chemicznych barwników. Po niedawno opublikowanych na łamach „PNAS" wynikach badania prof. Santiago Gonzáleza z uniwersytetu w Lugano, ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ udowadniających, że węzły chłonne pozostają w stanie zapalnym nawet miesiące po wykonaniu tatuażu, osłabiając lub wzmacniając reakcje na szczepionki, jest już niemal pewne, iż zawarte w pigmencie związki zmieniają odpowiedź immunologiczną.

Czy z tego powodu – jak sugerowali już wcześniej niektórzy – ryzyko nowotworów układu chłonnego u osób z tatuażami może być wyższe? Zespół szwedzkich epidemiologów z uniwersytetu w Lundzie oszacował, że wzrost ten może sięgać ok. 21 proc. (takie wnioski znalazły się w publikacji z maja 2024 r. na łamach „Clinical Medicine", czasopisma afiliowanego przy renomowanym „The Lancet").

Prof. Christel Nielsen – autorka i prywatnie posiadaczka kilku tatuaży – uspokoiła jednak, że nie udało się jednoznacznie potwierdzić związku przyczynowego. Zaznaczyła, że w różnych badaniach opisywano przypadki innych nowotworów, np. czerniaka, rozwijających się w obrębie tatuażu. Dlatego apeluje, by osoby rozważające jego wykonanie brały pod uwagę potencjalne ryzyko, które może być wyższe u pacjentów z chorobami autoimmunologicznymi oraz obciążeniem rodzinnym nowotworami. O szkodliwości palenia papierosów i alkoholu wiadomo od kilkudziesięciu lat, a wciąż są dostępne wszędzie. Z tatuażami może być podobnie – jedni okażą się na nie bardziej wrażliwi, inni wcale; medycyna jeszcze długo nie będzie wiedzieć, kto ma najwięcej do stracenia, a kogo nie dotkną żadne konsekwencje.

W duńskich badaniach bliźniąt opublikowanych na początku 2025 r. w „BMC Public Health" wykazano, że duże tatuaże (większe niż dłoń) potrajają ryzyko wystąpienia chłoniaków i podwajają raka skóry. „Układ odpornościowy jest stale czujny, co zwiększa ryzyko proliferacji komórek" – uzasadniała prof. Signe Clemmensen z Uniwersytetu Południowej Danii w Odense. Prof. Paziewskiej to wcale nie dziwi. – *Pigmenty jako ciała obce wywołują uogólniony stan zapalny, a zatem osłabiają immunologię i potencjalnie uruchamiają procesy nowotworowe.*

Prawo w teorii, chaos w praktyce

Dla polskich badaczek takie wyniki nie są zaskoczeniem. – *Tym, którzy szermują argumentem, że historia tatuaży sięga tysięcy lat i ludzkość z tego powodu nie wymarła na raka, przypomnę, że dawniej stosowano barwniki naturalne, pochodzenia zwierzęcego i roślinnego, a dziś są to związki chemiczne, często zawierające metale ciężkie, o bardzo szkodliwym działaniu* – mówi prof. Charuta.

Oczywiście tymczasowy tatuaż z henny nikomu nie zaszkodzi, najprawdopodobniej tatuaż czarny jest bezpieczniejszy niż pigmenty czerwone, niebieskie i zielone (to wciąż wymaga potwierdzenia), ale zdaniem prof. Paziewskiej do listy chemicznych trucizn najwyższy czas dodać te, które aplikujemy pod skórę. – *Nie rozumiem, dlaczego tak wiele osób, które na co dzień dbają o zdrowie, ekologiczne jedzenie, wstrzykuje sobie bez zastanowienia nieznane przemysłowe barwniki.*

Coraz częstsze doniesienia sugerujące korelację między liczbą tatuaży a zwiększonym ryzykiem chłoniaków i czerniaków sprawiły, że w 2022 r. Unia Europejska zaostrzyła regulacje dotyczące pigmentów stosowanych do tatuowania ciał. Nie było to łatwe zadanie, gdyż przeciwnicy ograniczeń podnosili, że korelacja nie oznacza przyczynowości. Uznano jednak, że jeśli sygnały o zaburzeniach w układzie odporności powtarzają się w badaniach na zwierzętach i u ludzi, to nie wolno ich ignorować.

Nowoczesne tusze do tatuażu to skomplikowane koktajle chemiczne. Zawierają nierozpuszczalne pigmenty, rozpuszczalniki, środki wiążące, konserwanty. W wielu barwnikach znajdowano też metale ciężkie: kadm, ołów, arsen, miedź. Substancje te – neurotoksyczne i potencjalnie rakotwórcze – dawały intensywne, trwałe kolory. Problem polega na tym, że pigmenty te często produkowane są na potrzeby przemysłu tekstylnego, farbiarskiego i motoryzacyjnego, a nie medycznego. – *Ich czystość jest wystarczająca dla barwników przemysłowych czy lakierów, ale kompletnie nie dla substancji wstrzykiwanej pod skórę* – podkreśla prof. Paziewska.

Wprowadzone cztery lata temu w Unii Europejskiej regulacje REACH (Regulation, Authorization and Restriction of Chemicals) ograniczyły stosowanie ok. 4 tys. niebezpiecznych substancji w tuszach. Z rynku zniknęły popularne pigmenty Blue 15 i Green 7, bo nie znaleziono dla nich bezpieczniejszych zamienników. Reakcja branży? Najpierw panika, potem wzrost cen. – *Przez pewien czas pracowaliśmy wyłącznie w czerni i szarości, bo nowe tusze były okresowo niedostępne* – wspomina Natalia Bańkowska, a Małgorzata Rumińska dodaje, że podrożały one dwu- i trzykrotnie. Światowa branża wytwórców tuszów jest wąska (do Polski trafiają one w zasadzie wyłącznie z zagranicy), a nowe barwniki nie dawały tak dobrych efektów kolorystycznych jak te poprzednie. – *Na przykład czarny tusz podczas gojenia zmieniał się na szarobrązowy, niebieskozielone nadal są blade i nie tak żywe jak kiedyś* – opowiada pani Natalia. Producenci przyznają, że tworzą teraz pigmenty w oparciu o „inne substancje, które wcześniej nie były używane" – więc skład tych mieszanek to wciąż *terra incognita*.

Jak ostrzegają eksperci, europejskie prawo skupia się na liście składników, a nie na realnym monitoringu ich stosowania. Tu dochodzimy do najbardziej niepokojącego aspektu całej historii. Regulacje istnieją, ale kontrola jest iluzoryczna. W Polsce salony tatuażu nie podlegają systematycznemu nadzorowi sanitarnemu porównywalnemu z gabinetami medycznymi. Klienci rzadko wiedzą, jaki tusz trafia pod ich skórę, a deklaracje producentów bywają jedynym źródłem informacji. Tatuator może mieć na półce certyfikowane butelki dla inspekcji sanitarnej, a pod blatem barwniki z Chin kupione za ułamek ceny na portalach aukcyjnych. – *Możemy mieć w Europie restrykcyjne prawo, ale jeśli nikt go nie egzekwuje, to jest ono martwe* – podsumowuje prof. Paziewska. Jej zdaniem problemem jest też brak edukacji: zarówno tatuatorów, jak i klientów. – *Młodzież ma dostęp do internetu. Przecież informacje na temat szkodliwości mogłaby znaleźć w trzy sekundy* – mówi. Dlaczego nikt ich nie szuka? Bo tatuaż wciąż jest sprzedawany jako bezpieczna usługa estetyczna, a nie decyzja zdrowotna z potencjalnymi konsekwencjami na całe życie.

Co naprawdę pływa w tuszu?

Ludzie chcą kolorów, których zakazała Bruksela, więc zawsze znajdą kogoś, kto im je zaaplikuje – bez pytań i odpowiedzialności. Nie ponoszą jej również instytucje państwa. Kontrole sanepidu odbywają się rokrocznie (w 2024 r., ostatnim ujętym w raporcie o stanie sanitarnym kraju, na 1665 widniejących w ewidencji salonach tatuażu wizytacje odbyły się w 1061 i kary otrzymało 30), ale skupiają się na ocenie stanu higieniczno-sanitarnego. Inspektorzy sprawdzają czystość, sterylność narzędzi, warunki przechowywania tuszów, jednak do nich nie zaglądają i nie analizują ich składu (jak już zaznaczyliśmy, przedstawiana dokumentacja nie musi odpowiadać pigmentom, które tatuatorzy stosują po wyjściu kontrolerów).

eprasa.pl 2a79540d47

Co ciekawe, tatuatorzy z salonów oficjalnie zarejestrowanych sami narzekają na brak nadzoru. Ich działalność figuruje w ewidencji gospodarczej jako „pozostała działalność usługowa, gdzie indziej niesklasyfikowana" (PKD 96.09.Z) – razem ze strzyżeniem zwierząt, dorabianiem kluczy, czyścibutami i wróżkami. Aby otworzyć legalny salon, trzeba zgromadzić walizkę dokumentów, jednak później dla inspektorów ważniejsze jest to, na jakiej wysokości zainstalowano umywalkę niż rodzaj stosowanych barwników. Na pytanie, czy w Narodowym Instytucie Zdrowia Publicznego (pełna nazwa tej instytucji to NIZP PZH-PIB – jest to państwowy instytut badawczy, który w statutowych zadaniach ma m.in. „ocenę biologicznych, chemicznych i fizycznych czynników ryzyka dla zdrowia człowieka") ktokolwiek zajmuje się tatuażami i ich bezpieczeństwem, otrzymaliśmy odpowiedź jednozdaniową: „NIZP PZH-PIB nie wykonuje badań tuszów stosowanych w salonach tatuaży". A zatem nikt tu nie słyszał o atestach, badaniach składu, a co najbardziej zadziwiające – ocenie wpływu na zdrowie (choć zadaniem tej placówki jest również „zabezpieczanie ludności przed chorobami zakaźnymi i działaniami w zakresie prewencji chorób przewlekłych").

Prof. Anna Charuta i prof. Agnieszka Paziewska prowadzą swoje badania bez blasku fleszy, opierając ich finansowanie na środkach z Uniwersytetu w Siedlcach. Współpracują z kilkoma innymi placówkami naukowymi, publikują wyniki w zagranicznych czasopismach, ale ich praca pozostaje niedoceniona. Ich projekt zgłoszony do Narodowego Centrum Nauki przepadł, bo – jak można odnieść wrażenie – w Polsce brakuje szerszego zapotrzebowania na pogłębioną wiedzę o bezpieczeństwie pigmentów stosowanych w tuszach (badaczki zamierzały na hodowlach komórkowych i modelach zwierzęcych sprawdzić, jak cząsteczki tatuażu rozprzestrzeniają się po organizmie, wywołując potencjalnie mutagenne i kancerogenne efekty).

Jednym z zastrzeżeń komisji, która odrzuciła wniosek w konkursie grantowym, było to, że „wybór niektórych pigmentów do badań jest nietrafiony, ponieważ są one wycofane z legalnego użytku" – jakby ktoś nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wygląda np. lato nad polskim morzem: tatuatorzy rozkładają przenośne fotele i stoliki na plaży, deptakach i kempingach, oferując kolorowe tusze całkowicie poza zasięgiem inspekcji sanitarnej.

W salonach tatuażu widać ostatnio mniejszy ruch, ale wcale nie dlatego, że ubywa chętnych do kolorowania swoich ciał. Co prawda Natalia Bańkowska zaobserwowała odwrót od jej usług wśród najmłodszych dziewcząt, które pod dyktando TikToka ulegają dziś modzie na „Clean Girl Aesthetic" albo wolą poddawać swoje ciała innym modyfikacjom z kategorii beauty. – *Nawet 20-latki wstrzykują sobie botoks, co jest w kontrze do tatuażu, choć przecież oba zabiegi są ingerencją* – sumuje. Nadal ma klientki, które piszą do niej przed 18. urodzinami, że pierwszego dnia po osiągnięciu pełnoletności zamierzają przekroczyć próg jej salonu.

Ostrożnie, ale bez paniki

Dla Małgorzaty Rumińskiej odpływ klientów z gabinetów z ugruntowaną pozycją i doświadczeniem wynika paradoksalnie z większej popularności tatuaży, która zaowocowała pojawieniem się na rynku mnóstwa nowych miejsc. – *Część klientów największą wagę przywiązuje dziś do ceny. Wiele przypadkowych osób zostało tatuatorami nawet w prywatnych domach. U nich jakość sprzętu i materiałów to w dużej mierze zagadka.*

Argumenty w rodzaju „to tylko kosmetyka" albo „świadoma decyzja dorosłych" zamykają dyskusję, zanim jeszcze zdąży się na dobre rozpocząć. Mimo niepokojących wstępnych wyników badań temat pozostaje na marginesie, jakby nikogo nie obchodziło, że te upiększenia mogą mieć konsekwencje dla zdrowia. Oczywiście nie należy panikować, ale przydałyby się większa ostrożność, umiar, nadzór i wiedza.

Posiadacze tatuaży powinni traktować je jako obszar wymagający wzmożonej samokontroli, podobnie jak w przypadku licznych znamion barwnikowych – warto się oglądać samemu, czy nie pojawiły się zgrubienia lub nowe pieprzyki, ale też poddawać badaniom dermatoskopowym u dermatologa, zwracając szczególną uwagę na zmiany w obrębie wytatuowanej skóry (mogą być trudniejsze do zauważenia pod warstwą tuszu). Czujność onkologiczna obowiązuje wszystkich i nie ma różnicy między osobami wytatuowanymi a np. palaczami papierosów: powiększenie węzłów chłonnych lub zmiany w morfologii krwi mogą być zapowiedzią zaburzeń w pracy układu odporności.

PAWEŁ WALEWSKI

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

Jedna z sypialni w nowojorskim apartamencie Jeffreya Epsteina

Slavic dolls

Jeffrey Epstein, skazany za przestępstwa seksualne amerykański miliarder, działał globalnie, ale krzywdził lokalnie. Także w Polsce. Wyszukując „słowiańskie laleczki".

KATARZYNA KACZOROWSKA, AGATA SZCZERBIAK

„Spisałem się świetnie. Urocza Polka dla ciebie i gorąca Rosjanka dla mnie". „Znalazłem co najmniej trzy, bardzo dobre, młode, biedne". „Mam dla ciebie kolejną kandydatkę. Polskiego pochodzenia, urodzona w Ameryce. Biegle mówi po polsku". To niektóre cytaty z maili, które Jeffrey Epstein na przestrzeni lat otrzymywał od swoich współpracowników. Analiza setek połączeń przez lotnisko im. F. Chopina w Warszawie, o których wiemy dzięki publikacji Departamentu Sprawiedliwości USA, wskazuje, że Polska była ważnym hubem przerzutowym dla kobiet i dziewczynek transportowanych do Paryża, Nowego Jorku lub na prywatne wyspy miliardera. Ale nie tylko tam. Wszędzie, gdziekolwiek przebywał, Epstein miał sieć współpracowników na dyżurach, którzy gwarantowali stały przepływ kobiet.

To one, dziś w aktach z czarnymi kwadratami zamiast twarzy, opisywane jako *pussy*, *cunt*, są pomniejszane, poniżane, redukowane do swoich organów rozrodczych. Albo traktowane jako przedmioty, które należy poprawiać. Dbać o zęby, kazać im schudnąć, zlecać operacje piersi, korygować rysy twarzy. „Możesz iść do lekarza, żeby trochę skrócić nos, zanim skończysz 23 lata" – sugeruje Epstein anonimowej kobiecie w lipcu 2017 r., dwa lata przed swoją śmiercią. „Ma 19 lat, ale wiszący tyłek. Czy mimo to zaprosić ją na jutrzejszy trening?" – pyta pomocnik Epsteina, ukrywający się za czarnym paskiem. „Dziwny nos, duże cycki, być może obwisłe, ale wygląda, jakby można się było z nią zabawić" – wysłano w lutym 2019 r.

Na południu Polski, ale także w Czechach, na Słowacji, Węgrzech, Litwie, w Bułgarii, ofiary wyszukiwał Daniel Siad, Berber ze szwedzkim, francuskim i algierskim paszportem. Pojawia się w mailach ponad 2 tys. razy; z kilku oficjalnych źródeł wiadomo, że pracował dla Jeffreya Epsteina od późnych lat 2000. do 2019 r. Siad wysyłał zdjęcia kobiet, wiek, wzrost, wymiary. Wiek był ważny, często go komentowano. Im młodsze, tym lepiej.

Polski połów

W czerwcu i lipcu 2009 r. Siad miał odwiedzić Kraków oraz kilka mniejszych miejscowości, przejeżdżając przez Beskidy w stronę Słowacji. „Próbuję się skontaktować z Karin, żeby pokryła moje opłaty w sprawie Słowacji, Czech, Polski i Węgier. Spędzę tam czerwiec i lipiec, szukając w małych wioskach przed letnimi wakacjami. Zrobię ci wspaniałą niespodziankę" – pisał w maju 2009 r. do Epsteina. Dwa miesiące później Epstein skończył odbywanie kary za wykorzystywanie seksualne nieletnich, łącznie 13 miesięcy. Siad starał się, by Epstein pokrył wszystkie koszty podróży, które oszacował na 4 tys. euro. „Czasami muszę zapraszać rodziców na lunch lub kawę (...). Mam już kilka dziewczyn, które na mnie czekają" – tłumaczył. Z akt wynika, że Siad był w Polsce jeszcze co najmniej raz, w 2011 r. „W tym zgiełku czuję się jak rybak. Czasem łowię szybko, a czasem nie mam żadnych ryb" – opisywał swoje zajęcie.

Musiał mieć pomoc polskich współpracowników, bo sam nie mówił po polsku. Oszacowanie całkowitej liczby zaangażowanych w rekrutowanie i transport nie-

© DOJ, BRY PENNEY, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 2a79540d47

letnich modelek jest dziś trudne. Łowił pod pozorem obietnic pracy w modelingu lub w roli hostessy. Marzące o karierze modelek kuszono udziałem w sesjach z prawdziwego zdarzenia. Potem transportowano z Europy Wschodniej najczęściej do Paryża, oficjalnie na tydzień mody lub sesje testowe. Na miejscu okazywało się, że pracy jednak nie ma.

Dlaczego musimy zdjąć staniki

– *Był bardzo czarujący i serdeczny. A potem, gdy go lepiej poznałaś, widać w nim było dziwną energię, zimną i mroczną* – mówi Ebba Karlsson, którą Daniel Siad zaczepił na ulicy w Sztokholmie, proponując zrobienie katalogu kostiumów kąpielowych. Był 1990 r., ona miała 20 lat. – *Nie byłam wtedy zarejestrowana w żadnej agencji modelek, ale chciałam pracować w zawodzie. Moimi idolkami były Linda Evangelista, Cindy Crawford, najlepsze modelki tamtych czasów* – opowiada. Dał jej swoją wizytówkę na nazwisko David Goldenberg. Dziś wiadomo, że Siad operował fałszywymi nazwiskami, co umożliwiało mu skuteczny kamuflaż. Ebba dopiero w lutym 2026 r. dowiedziała się o jego prawdziwej tożsamości, rozpoznając go na jednym ze zdjęć opublikowanych przez Departament Sprawiedliwości USA. Uśmiechnięty, w towarzystwie trzech młodych kobiet. Na innym z cygarem, popija whisky.

Przed wyjazdem do Monako Ebba rozpytała o niego wśród sztokholmskich agencji. Znali Davida Goldenberga. Tak, to niezależny skaut (branżowe określenie pośrednika), kojarzymy go, usłyszała. Kiedy dotarła z Siadem do Monako, okazało się, że żadnej pracy nie ma. Pod pretekstem szukania nowych zleceń przewiózł ją do Cannes. W willi, w której się zatrzymali, Ebba opowiada o tym, że została zgwałcona. Potem wizyta w Paryżu i obietnica pracy dla jednej z największych agencji tego czasu, czyli Elite Model Management. – *Casting wyglądał tak, że musiałyśmy wypełnić formularze, wpisując swoje imiona, wzrost i wagę. Kiedy to zrobiłyśmy, szef agencji Gerard Marie powiedział, że musimy zdjąć staniki i zostawić na sobie tylko bieliznę. Zapytałam: „Dlaczego? Dlaczego musimy zdjąć staniki?". Roześmiał się: „Sprawdzimy, czy nie macie obwisłych cycków". Przeszłyśmy przed nimi, tam i z powrotem, jak na wybiegu. To było upokarzające* – opowiada Ebba.

Tego samego dnia Gerard Marie miał wykorzystać ją seksualnie w swoim gabinecie. – *Trudno się bronić, bo w takich momentach cała siła cię opuszcza* – mówi Ebba. Marie należał wówczas do najbardziej wpływowych postaci w branży modowej. W latach 80. i 90. XX w. kilka kobiet oskarżyło go o gwałt i napaść seksualną. Śledztwa umorzono, a Marie zrezygnował z pracy w Elite w 1999 r. Kiedy kilka lat wcześniej Ebba zagroziła, że zgłosi sprawę policji, usłyszała, że Daniel Siad dobrze zna się z francuską policją. I że ją zabije, jeśli komuś opowie o tym, co działo się w Paryżu.

Ebba Karlsson, jedna z ofiar światowej szajki stręczycieli, poznała „kuriera", który wabił kobiety w Polsce

Kaja Sokoła, była polska modelka, spotkała Epsteina, ale nie padła jego ofiarą

Ebba pamięta, że w apartamencie Gerarda Marie mieszkało kilka dziewcząt. – *Były z Europy Wschodniej, nie mówiły po angielsku, ledwo po francusku. Po 1990 r. do Szwecji przyjeżdżało wielu Polaków i Rosjan, byłam osłuchana z tymi językami, potrafiłam je rozróżnić. Nie mogłam się z nimi porozumieć, a one były bardzo nieśmiałe, strasznie młode, a niektóre wyglądały na chore* – opisuje Ebba.

Do niej mam złe przeczucia

Czy modelkami z apartamentu Gerarda Marie były ściągnięte pod pozorem kariery modelek dziewczyny z Polski? Na pewno to był czas dużego zainteresowania modelkami z naszego kraju. Światowe agencje modelek oszalały na punkcie *slavic dolls*, czyli słowiańskich laleczek, które miały wyróżniać delikatne rysy twarzy, jasna karnacja i blond włosy. *Eastern Block* nazywane też *Slavic* miała wyróżniać pracowitość, silne charaktery widoczne rzekomo w specyficznym wyrazie twarzy i charakterystyczny sposób chodzenia po wybiegu. – *Epsteina też interesowały nastolatki z naszej części Europy z bardzo prostego powodu. Wiedział, że w ludziach, którzy często zmagają się z biedą, silna jest desperacja, by z tej biedy się wyrwać. Decyzje o wysłaniu córki na drugi koniec świata, gdzie mieliby się nią zająć kompletnie obcy ludzie, dawały taką szansę. Bo przecież nie decydowały o tym dziewczyny, ale ich rodzice* – mówi Kaja Sokoła, była polska modelka, nie kryjąc, że tak jak te nastolatki były pod wrażeniem kogoś pracującego dla agencji, tak pod jeszcze większym musieli być ich rodzice. Regułą było, że dziewczyny z Europy Wschodniej i Środkowej, podobnie jak te z Ameryki Południowej, pieniądze zarobione dzięki pracy dla agencji wysyłały do domów.

Kaja Sokoła nie wiedziała, że jej nazwisko pojawia się w jednym z wielu maili Jeffreya Epsteina ujawnionych przez amerykański Departament Sprawiedliwości. Anonimowy rozmówca pisze w nim: ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ „Kaja Sokoła – spotkałem ją dwa razy, ale mam co do niej złe przeczucia...".

Z Epsteinem spotkała się raz. Na kawie. Poznała go przez skauta dla największych agencji modelingowych w USA. Dzięki niemu podpisała kontrakt z agencją DNA, a niedługo potem zaprosił ją na spotkanie z Epsteinem. Miała wtedy prawie 20 lat. Tamte 20 minut pamięta do dzisiaj, choć nie wiążą się z nimi tak dramatyczne zdarzenia, jak ze spotkaniami ze słynnym producentem filmowym Harveyem Weinsteinem, którego Sokoła oskarżyła o gwałt. Może to ostrzeżenie z maila w gruncie rzeczy okazało się tarczą obronną? – *Epstein był w czasie tego spotkania bardzo pewny siebie, taką arogancką pewnością. Zdystansowany, inteligentny, obserwujący. To zresztą charakterystyczne dla mężczyzn z tego świata, którzy potrafią stworzyć wokół siebie aurę wszechwiedzących i wszechmogących. I taka młoda dziewczyna, nastolatka, właściwie dziecko, siedząc naprzeciwko kogoś takiego, myślała: „O matko, ktoś tak wyjątkowy zwrócił na mnie uwagę!"* – opowiada.

Do Nowego Jorku przyjechała krótko po swoich 16. urodzinach. Sama. Miała podpisany kontrakt z agencją NEXT Model Management, jedną z największych i najbardziej znanych tego typu firm na świecie. Wygrała konkurs w Paryżu, do którego zgłoszenie wysłała jej mama z siostrą. – *Taki kontrakt był jak bilet do lepszego świata* – mówi dzisiaj, nie kryjąc, że w 2002 r. nie było globalnej sieci, w której można by sprawdzić ludzi obiecujących sławę, pieniądze i karierę. Dziewczyny jechały w ciemno w wielki świat, nie wiedząc, co tak naprawdę je czeka. – *W Europie spotkania organizowane przez tzw. skautów z agencji z promotorami nie były tak oczywiste w charakterze jak te w Stanach. Tutaj było jasne, że chodzi o wieczory i kolacje z promotorami, na których byli zamożni mężczyźni. Dziewczyny były podstawiane na te kolacje jak do smoka wawelskiego, żeby je zjedli* – mówi.

Zadzwoń, kiedy chcesz! Wojtek

Tych zamożnych mężczyzn, z którymi utrzymywał kontakty Jeffrey Epstein, można wymienić dziś z nazwiska. Na kolacje do jego nowojorskiego apartamentu, domu w Palm Beach na Florydzie czy na karaibskie wyspy zapraszani byli m.in. Andrew Mountbatten-Windsor, były minister pracy i ambasador Wielkiej Brytanii w USA Peter Mandelson, Elon Musk, założyciel grupy Virgin Richard Branson, były prezydent USA Bill Clinton, założyciel Microsoftu Bill Gates. Oczywiście sama wzmianka w korespondencji przestępcy seksualnego nie równa się współwinie, choć świadczy o skali kontaktów tego pierwszego. Ten z kolei miał pewnego rodzaju fiksację na punkcie kontroli. Epstein archiwizował wszystkie swoje wiadomości, maile, dokumenty. Filmował zachodnich przywódców, ambasadorów, prezydentów, premierów, liderów firm technologicznych, którym stręczył młode kobiety i dziewczynki. A potem dokumentował te wizyty, aby byli mu winni przysługi. Zawsze chciał mieć coś na kogoś. Na wszelki wypadek.

Mało jednak prawdopodobne, że do alkowy byli prowadzani zamożni polscy politycy i biznesmeni. A przynajmniej nie ma na to dziś dowodów. W ujawnionych dokumentach przewija się właściwie jedno znane nazwisko: tenisisty Wojciecha Fibaka. W jednym z maili z września 2013 r. Epstein składa gratulacje byłej gwieździe tenisa (powód nie jest znany) i pyta, czy będzie w Paryżu na przełomie września i października. Fibak odpowiada: „Tak, merci. Zadzwoń, kiedy chcesz! Wojtek". W rozmowie z PAP Fibak tłumaczył się tak: „Ten pan odegrał marginalną rolę w moim życiu. Byliśmy sąsiadami w Nowym Jorku. Ledwo się znaliśmy. Miałem apartament blisko niego i spotykaliśmy się czasem przypadkowo w restauracjach czy na ulicy. To była tego rodzaju znajomość. Nie zakolegowaliśmy się. Nie umawialiśmy się. (...). Nie byłem przez niego nigdzie zapraszany". Korespondencja z 2013 r. miała jednak miejsce po tym, jak już Jeffrey Epstein był przestępcą seksualnym skazanym za wykorzystywanie nieletnich w 2008 r.

Inne polskie tropy to przede wszystkim opowieść o dwojgu bliskich współpracowników Epsteina. Zarządcą jego rezydencji w Palm Beach na Florydzie był Janusz Banasiak. Odpowiadał za kalendarz spotkań, sprawował pieczę nad personelem, miał dostęp do kamer, serwerów i kont bankowych Epsteina, znał hasła do sejfów, kody do alarmów. Widywał bardzo młode, często nieletnie dziewczyny wchodzące do rezydencji Epsteina w dobrym humorze i wychodzące z niej – jak zeznawał – „zdezorientowane i smutne". Miał też – jako pierwszy kontakt – organizować transport i zakwaterowanie dla dziewcząt z Polski i Europy Wschodniej. W 2008 r. został objęty ugodą, która chroniła współpracowników Epsteina przed zarzutami.

Upiekło się też Adriannie Mucińskiej-Ross. Do USA przyleciała w 2002 r. jako 19-latka, by pracować dla agencji Elite Models. Szybko stała się jedną z najbliższych współpracowniczek Epsteina i Maxwell. Według Virginii Giuffre, jednej z najbardziej znanych oskarżycielek Epsteina, Polka aktywnie rekrutowała nieletnie dziewczęta. Pod przysięgą Mucińska-Ross powołała się na piątą poprawkę do konstytucji USA (daje m.in. prawo odmowy zeznań, jeśli miałyby obciążyć osobę przesłuchiwaną) aż 342 razy. Jako jedna z czterech osób została objęta specjalnym immunitetem w ramach tajnej umowy podczas procesu w 2008 r., w którym miliarder przyznał się do nakłaniania do prostytucji i wykorzystania jednej nieletniej. Osoby z immunitetem zyskały dożywotnią ochronę przed odpowiedzialnością karną. Mucińska-Ross nigdy nie stanęła przed sądem. I już nie stanie. Przynajmniej w USA.

Czy rozejdzie się po kościach

Polska jest na razie jedynym krajem na świecie, którego władze postanowiły powołać własną komisję prokuratorską do zbadania afery Epsteina. „Podjęliśmy decyzję o powołaniu zespołu analitycznego i być może rozpoczęciu śledztwa w sprawie skandalu związanego z pedofilią w USA. (...) W Polsce nie będziemy udawali, że nic się nie stało" – zapowiedział premier Donald Tusk. Jak mówił, „coraz więcej ekspertów zakłada, że była to przygotowana operacja rosyjskiego KGB", pułapka zastawiona na elity zachodniego świata.

Pytanie, czy do nich należymy, skoro nie pojawiły się żadne informacje potwierdzające, że Epstein zajmował się też zbieraniem haków, wpływów i ingerowaniem w niezawisłość Polski. Pojawiły się za to głosy, że komisja Tuska to przede wszystkim narzędzie polityczne i sposób, by pośrednio uderzyć w Donalda Trumpa (też miał kontakty z Epsteinem), PiS i Karola Nawrockiego. Jednocześnie Donald Tusk dobrze wie, że afera Epsteina to sprawa, która interesuje opinię publiczną w Polsce, a każda wzmianka o polskich tropach klika się jak złoto. I jeszcze długo będzie. – *Znowu zrywamy się do akcji, jeszcze pewnie wystąpimy z trzema nowymi ustawami, które będą podwyższały surowość kar. Natomiast to są działania pozorne. Dlaczego nie uruchamiamy zwykłych kanałów, które powinny dobrze funkcjonować na poziomie*

eprasa.pl 2a79540d47

prokuratury, sądów i tych miejsc, które przeciwdziałają wykorzystaniu kobiet? – pyta prof. Monika Płatek, karnistka z Uniwersytetu Warszawskiego. I dodaje: – *Wiemy, że prokuratorzy nie są wpuszczani do zakonów i w związku z tym nie mają dostępu do kościelnych akt. I teraz nagle wysyłamy prośbę do Stanów Zjednoczonych, żeby nam pokazali ich tajne dokumenty? Jest tutaj daleko posunięty brak konsekwencji.*

Potencjalnie trzy wątki są do szczególnego zbadania. Pierwszy dotyczy wykorzystywania seksualnego dzieci poniżej 15. roku życia, czyli poniżej wieku zgody. Policja i prokuratura mają obowiązek podjąć działania natychmiast, niezależnie od tego, czy ofiara lub jej opiekunowie złożyli formalny wniosek. Później zaczynają się schody. – *Od 15. roku życia dziecko w Polsce nie potrzebuje zgody rodziców do tego, żeby uprawiać seks, i państwo od tego momentu przestaje je chronić* – tłumaczy karnistka. Czyli jeśli nastolatki zgadzały się na wyjazdy i to, co one przyniosły, to figa z makiem, nic nie można zrobić.

Zresztą nie wszystkie nazwiska polskich modelek w aktach Epsteina ocenzurowano, czyli nie uznano ich za ofiary. Wiadomo, że jedną z polskich modelek, które pozostawały w kontakcie z Epsteinem, była Mariana Idźkowska. Od 2014 do 2015 r. Epstein miał opłacać przeloty zagraniczne i pomóc w sfinansowaniu jej studiów. Inna modelka Maja Wiktoria Kruczkowska miała otrzymać bilety lotnicze do i z Paryża na 25 i 26 stycznia 2019 r. Kilka miesięcy później pisała do asystentki Epsteina: „Mam casting, czeka mnie pracowity dzień, ale chętnie zobaczę się z Jeffreyem, skoro wrócił do miasta". Obie zniknęły z mediów społecznościowych albo nie odpowiadają na pytania dziennikarzy. Być może zdjęcia z możnymi tego świata robiły na nich wrażenie, a nagie zdjęcia i obrazy kobiet w pokojach masażu nie budziły takiego wstrętu. Tak też mogło być.

Inny wątek – handel ludźmi. Tu nie jest istotne, ile lat ma ofiara. Została zwabiona, kuszona ofertą pracy, której nie było, doznała krzywdy. Ale pójście tym tropem dalej wymagałoby być może uderzenia w największe agencje modelek, co mogłoby zniszczyć wizerunek branży wartej miliardy dolarów. Czy Polska zajmie się tym na poważnie? Wyroki za handel ludźmi w celach seksualnych są w Polsce niskie, zapadają rzadko. Jednocześnie żyjemy na kontynencie, gdzie handel ludźmi jest branżą bardziej dochodową niż gdzie indziej na świecie – przynosi 100 mln dol. rocznie. Według Eurostatu w 2022 r. liczba ofiar wzrosła o 41 proc. w porównaniu z poprzednim rokiem, a wśród form eksploatacji dominuje wykorzystanie seksualne (41 proc. przypadków).

I jeszcze ta ciągnąca się przez lata stygma. Ebbie zajęło prawie 30 lat, by napisać książkę o tym, co ją spotkało w Cannes i paryskim biurze agenta jednej z największych agencji modelingowych w Europie. Dokładnie tyle wynosi okres przedawnienia tego typu przestępstw we Francji. – *Jeśli zgłoszą się nowe ofiary, będziemy mogli rozpocząć śledztwo w sprawie Daniela Siada na nowo. Możemy pociągnąć go do odpowiedzialności i zreformować branżę modelek. Posprzątać ten bałagan* – mówi Ebba. Bałagan rozrósł się na tyle, że eksperci ONZ, ze względu na skalę i okrucieństwo, zaczynają nazywać aferę Jeffreya Epsteina zbrodnią przeciwko ludzkości.

KATARZYNA KACZOROWSKA
AGATA SZCZERBIAK

REKLAMA

POLITYKA **Zaprenumeruj nasz tygodnik przez** InPost Paczkomat 24/7

- **Gwarantowana dostawa w środę** do wybranego InPost Paczkomat 24/7
- **Darmowa przesyłka** przez cały okres prenumeraty
- **Niższa cena za egzemplarz** niż w punktach sprzedaży

679 zł za rok
Oszczędzasz 150 zł
Tylko ~~16~~ 13 zł za numer

359 zł za pół roku
Oszczędzasz 60 zł
Tylko ~~16~~ 13,80 zł za numer

blik PayU

InPost

Wejdź na **polityka.pl/paczkomat** lub zeskanuj kod QR:

eprasa.pl 2a79540d47

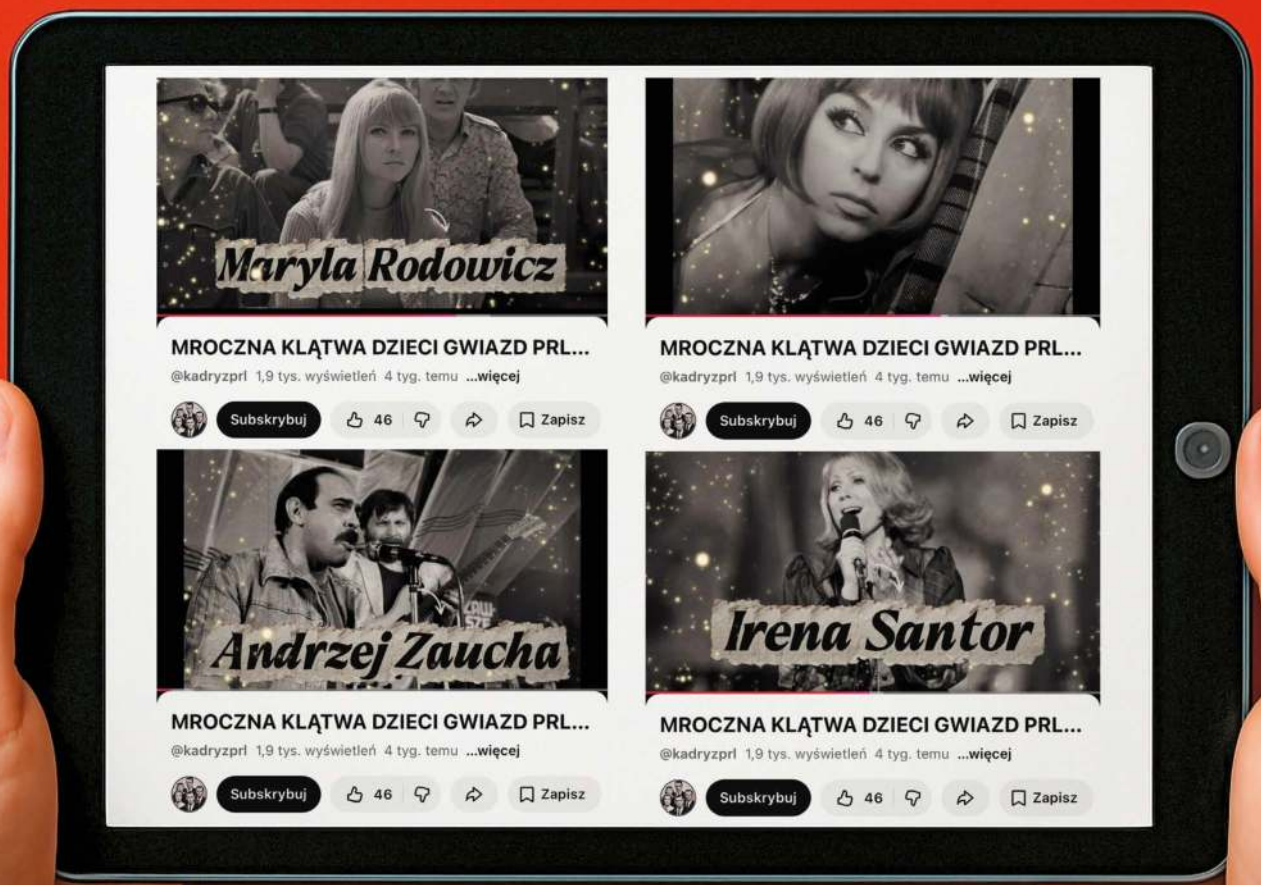

Filmy z matrixa

Na fali peerelowskiej nostalgii sztuczna inteligencja produkuje coraz więcej filmów o gwiazdach tamtego okresu. Halucynuje, insynuuje, obraża. I w zasadzie nie ma jak się przed nią bronić.

JOANNA PODGÓRSKA, MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

O kim mowa, orientujemy się po obrazkach, bo lektor z uporem nazywa go Andrzej Zocze. Chodzi o Andrzeja Zauchę, który – według filmiku – miał zginąć w wypadku samochodowym (w rzeczywistości został zastrzelony przez męża swojej kochanki). Jego syn Marcin miał mieć wówczas 19 lat, a „gigantyczny cień ojca skamieniał". I ten skamieniały cień sprawił, że Marcin źle skończył.

To pierwszy epizod z filmiku „Psychuszka i kraty. Mroczna klątwa dzieci gwiazd PRL" z kanału Kadry z PRL. Lektor czyta dramatycznym głosem, z pauzami w najdziwniejszych miejscach i ze specyficzną wymową: „Co się dzieje, gdy gasną jupitry [tak w oryginale], a w domu zostają dzieci, księżniczki i książęta PRL. Czy dziedziczą tylko talent i sławę, a może też ciężar oczekiwania widma rodziców i pułapkę życia w cieniu giganta". Nie trzeba specjalisty, żeby stwierdzić, że autorem jest sztuczna inteligencja w wersji „po taniości".

Córka, której nie było

Andrzej Zaucha nie miał syna, lecz córkę, a jedyny ślad po Marcinie Zausze można odnaleźć na nagrobku z 1922 r. Dalej nie jest lepiej. Bohdan Smoleń, przedstawiony został jako gwiazda Monty Pythona i ojciec chorego na schizofrenię Tomasza, dla którego był czułym opiekunem.

eprasa.pl 2a79540d47

Bohdan Smoleń miał trzech synów, ale żaden nie nazywał się Tomasz. Jest w tej historii prawdziwy tragizm, bo jeden z nich – Piotr – z nieznanych przyczyn powiesił się w wieku 15 lat. Z opowieścią o córce Ireny Santor, Sylwii, która świadomie odcięła się od życia publicznego i została urzędniczką, jest ten problem, że Irena Santor nie miała dzieci. Podobnie jak Kalina Jędrusik, co nie przeszkodziło AI opisać jej burzliwej relacji z córką Magdaleną Łazarkiewicz, reżyserką i scenarzystką. To ostatnie przypadkiem się zgadza, choć nie nakręciła filmu „Ostatni krzyk"; najbliżej byłby „Ostatni dzwonek". Maryla Rodowicz w tym filmiku jest matką dwóch synów z Andrzejem Dużyńskim: Janusza i Kacpra, o nazwisku... Królik-Ur. Starszy Janusz to ten dobry: opiekun i tarcza. Kacper – zły, wplątany w narkotyki i awantury. Maryla Rodowicz miała wielokrotnie błagać go publicznie, by zawrócił z tej drogi. Nie pomogło. W 2010 r. „nadeszła kulminacja" – Kacper został skazany na dwa i pół roku więzienia za udział w pobiciu i rozboju. A Rodowicz wyznała: „To była najczarniejsza noc w moim życiu". W istocie Maryla Rodowicz ma trójkę dzieci: syna i córkę ze związku z Krzysztofem Jasińskim i najmłodszego – Jędrzeja z Andrzejem Dużyńskim. Nikt z tej trójki nie miał problemów z prawem.

Miał za to Rafał Olbrychski – zdarzały mu się życiowe zakręty. Ale według AI widocznie za mało spektakularne. „Jego życie zaczęły przecinać mroczne ścieżki" – czyta lektor i informuje, że w 2010 r. Rafał pod wpływem narkotyków spowodował wypadek samochodowy, w którym zginęła młoda kobieta, i trafił do więzienia na dwa i pół roku. Jedyny wypadek Rafała Olbrychskiego, o jakim można przeczytać, miał miejsce w Dolomitach – na stoku wjechał w niego rozpędzony narciarz.

– *Oburzenie, ale przede wszystkim bezsilność* – opisuje swoją reakcję Rafał Olbrychski. – *Szokuje bezkarność zapewniana systemowo takim oszustom. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić, jak dochodzić swoich praw. Zdumiewa ilość reklam zamieszczona w tym materiale. Ktoś na kłamstwie i podłości robi pieniądze. Miałem w życiu sporo do czynienia z tabloidami i to nie były przyjemne spotkania. Ale to, co robi sztuczna inteligencja, to kolejny szczebel. Pieniądze przyciągają rzeczy coraz gorsze, na tabloidyzację nakłada się algorytmizacja wrażliwości. Kiedyś wystarczyło powiedzieć, że ktoś był z kimś widziany, potem, że się przespał, a dalej zgwałcił, zamordował. Niedługo, żeby zwiększyć oglądalność, trzeba będzie powiedzieć, że zamordował i zjadł.*

A może ostrzej

W książce dla dzieci „Przygody Nieumiałka i jego przyjaciół" Nikołaja Nosowa znajduje się prorocza scena: oto klientki malarza Pędzelka życzą sobie upiększonych portretów. Zrezygnowany artysta wykonuje więc szablon i produkuje taśmowo obrazki pięknych dziewcząt o wielkich oczach i uroczych małych usteczkach. Tak samo wygląda ewolucja produkcji treści w serwisie YouTube – to, co dwie dekady temu było miejscem autentycznej twórczości, uległo automatyzacji, dziś jest fabrykowaniem emocjonalnego kontentu dla pieniędzy. Przejęcie tej przestrzeni przez farmy AI jest naturalną konsekwencją. Narzędzia sztucznej inteligencji są wykorzystywane na wszystkich etapach procederu.

Scenariusz napisze generator tekstu, taki jak ChatGPT, Claude czy Gemini. Wystarczy wydać proste polecenie – podać zakres tematyczny i emocje, jakie ma wywołać (usłużny robot nawet sam zapyta „Czy chcesz, żeby napisać to ostrzej?"). Jeśli temat został dobrze opisany w dostępnych ogólnie źródłach, treść raczej będzie zgadzała się z prawdą. Jeśli jednak zabraknie jakiejś informacji, AI ją sobie zmyśli – to zjawisko nazywa się halucynacją. To nie błąd, to funkcjonalność – maszyny do pisania zostały skonstruowane po to, żeby posłusznie dostarczać żądanych wyników użytkownikom, a nie służyć prawdzie. Jak u malarza Pędzelka – klient ma być zadowolony.

Gotowy tekst trafia do syntezatora głosu (takiego jak ElevenLabs czy PlayHT). Narracja brzmi jak profesjonalny lektor, co buduje wrażenie autentyczności, jedynie potknięcia w wymowie źle zapisanych czy trudniejszych nazwisk mogą zdradzić robota. Ilustracje można pobrać (zwykle – ukraść) z sieci albo wygenerować. Grok, Midjourney czy DALL·E bez trudu tworzą fotografie stylizowane na archiwalne; niska jakość dawnych zdjęć pozwala zresztą ukryć zaangażowanie maszyny.

Automatyzacji podlega też montaż – aplikacje takie jak CapCut czy Runway same dopasowują obrazy, muzykę i napisy do narracji. Pozostaje tylko wygenerować emocjonalną miniaturę i wrzucić na YouTube. Jeśli ktoś zachęcony powyższą instrukcją postanowił dorobić sobie, tworząc treści, to jeszcze nie koniec przygody. Samo wrzucenie filmu nie wystarczy, trzeba jeszcze przekonać algorytm, że to interesująca treść. Do tego potrzebna jest już farma „użytkowników" – botów. Gdy zostanie wyeksponowany, wtedy przyjdą prawdziwi widzowie skuszeni sensacją.

Wystarczy porównać dwa filmy z kanału „Kiedyś w Polsce". Nostalgiczny materiał o telewizorach z PRL ma 16 tys. wyświetleń. Film o „gwiazdach, które myślały, że są bogami", 245 tys. wyświetleń. Algorytm premiuje to, co wzbudza emocje: oburzenie, ciekawość, plotkę. Sensacja sprzedaje się lepiej niż nostalgia.

Przez pączkowanie

Opisany filmik o dzieciach gwiazd PRL kanału „Kadry z PRL" to wyjątkowy bełkot, gdzie prawie nic się nie zgadza – tak jak w większości ich produkcji. To prawda, że Janusz Gajos potrafił zagrać każdego, przy czym jako sztandarowe postacie, które wykreował, wymienieni zostali Czereśniak z „Czterech pancernych" czy „ikoniczny, złamany idealista Frank Mauer z „Psów". Wszystko to bzdura.

Tego typu kanały pączkują na YouTube, kopiując się wzajemnie. Mają podobną grafikę, podkład muzyczny, tę samą pulę bohaterów. Kanał „Za kulisami" o bodaj największych zasięgach, dochodzących do pół miliona wyświetleń, ma nieco lepszą jakość i bardziej trzyma się faktów, choć nie można powiedzieć, że kurczowo (o czym dalej). Stosuje kilka patentów. Na przykład minimum faktów, maksimum insynuacji, jak w filmiku „Rola przez łóżko, 10 reżyserów PRL, którzy żądali zapłaty w naturze od młodych aktorek". Powtarzają się sformułowania: „otaczał go wianuszek pięknych kobiet", „wabił wizją wielkiej kariery", „same lgnęły do jego alkowy".

Większość bohaterów już nie żyje. Nie mają jak się bronić. A jeśli nawet żyją – na to jest inny patent, zastosowany m.in. w filmiku „Harem władzy, 10 gwiazd PRL, które ciałem płaciły za przychylność". Pełno tu zastrzeżeń typu: „plotka głosiła", „w zawistnym środowisku aktorskim szeptano". Jak Grażyna Szapołowska miałaby się bronić przed stwierdzeniem, że ulica „przykleiła jej łatkę faworyty reżimu" i nie zrobiłaby kariery, gdyby nie przychylność generałów – tych, którzy wyprowadzili czołgi na ulice. A całość ▶

© SHUTTERSTOCK, YOUTUBE.COM/@KADRYZPRL

eprasa.pl 2a79540d47

▶ skwitowana puentą, że to „pikantny, choć nigdy niepotwierdzony rozdział w historii polskiego show-biznesu".

Przyciągać mają szokujące tytuły – mechanizm znany z tabloidów: „Zabiły dla roli" (to o aktorkach, które usunęły ciążę), „Starzy zboczeńcy" (o reżyserach i aktorach, którzy poślubili dużo młodsze kobiety), „Wyrodne matki" (o aktorkach, które rzekomo porzuciły swoje dzieci dla kariery). Lektor jest w tym kanale nieco bardziej naturalny, używa pauz w bardziej stosownych momentach, choć lapsusy językowe nie pozostawiają wątpliwości, że mówi do nas maszyna. Włodzimierz Sokorski, którego chciano określić mianem „czerwonego cara", został „czerwonym karem", a Barbarze Wrzesińskiej przypisano rolę Rejczel w „Weselu". W filmikach kanału „Za kulisami" elementarne fakty w większości się zgadzają, ale otoczka jest obrzydliwa i krzywdząca.

Pierwszy z brzegu przykład – filmik „Wepchnięte na ekran" o „beztalenciach, które zawdzięczają karierę wyłącznie sypialni", bo „mężowie obsadzali je w głównych rolach, choć widzowie zgrzytali zębami". Te „beztalencia" to m.in. Jadwiga Barańska, Iga Cembrzyńska, Zofia Kucówna czy Magdalena Zawadzka. W ich przypadku chociaż nazwiska mężów się zgadzają. Bo Ewę Wiśniewską sztuczna inteligencja wydała za mąż za Janusza Majewskiego, a Andrzejowi Wajdzie kazała porzucić Beatę Tyszkiewicz i poślubić młodziutką Małgorzatę Braunek. Na razie halucynacje AI łatwo zweryfikować. Pytanie tylko, ilu widzom będzie się chciało. A poza tym TO bardzo szybko się uczy.

Brodząc w brei

Koszt produkcji takiego bełkotu jest niewielki. A ile można na tym zarobić? – *Na YouTube liczy się wskaźnik RPM (Revenue Per Mille), czyli przychód na 1000 wyświetleń. Przyjmując średnie RPM na poziomie 6 zł, kanał z 500 tys. wyświetleń miesięcznie powinien generować ok. 3000 zł* – wylicza Joanna „frota" Kurkowska, head of strategic research w Zaiks Lab. Dużą popularnością cieszą się kanały z muzyką generowaną przez AI, zwłaszcza po sukcesie „Antycznego napaleńca" wydawnictwa Kutas Records (więcej na polityka.pl). – *Problem dotyczy także kanałów historycznych, żerujących na nostalgii, treści dla najmłodszych czy uprawiających cyfrową nekromancję i reanimujących zmarłych aktorów i aktorki, aby ci przekazywali coś z zaświatów.*

Ofiarą padają nie tylko zmarłe gwiazdy i ich żyjące rodziny. Kurkowska zwraca uwagę na fakt, że „twórcy" AI zalewający platformy sztuczną breją (tzw. AI slop) odbierają zarobki prawdziwym artystom. Jest to dotkliwe zwłaszcza w przypadku Spotify, gdzie zarobki zależą od podziału miesięcznej puli dochodów platformy. Według prognoz CISAC (zrzeszającej ponad 230 organizacji zbiorowego zarządzania prawami autorskimi z ponad 120 krajów, reprezentujących ponad 4 mln twórców z pięciu głównych dziedzin: muzyka, sztuki audiowizualne, literatura, dramat i sztuki wizualne) do 2028 r. AI może zabrać artystom nawet 27 proc. przychodów (950 mln euro rocznie). – *Serwisy próbują z tym walczyć, ale walka jest bardzo nierówna* – podkreśla Krukowska.

Problemem są nie tylko farmy tworzące AI slop, ale też widmo „syntetycznych słuchaczy", czyli farm botów generujących fałszywe odtworzenia. – *Syntetyczne treści trafiają do syntetycznych odbiorców, a pieniądze wypływają do anonimowych operatorów. Mamy do czynienia z systemowym drenażem. To scenariusz rodem z dystopijnego SF* – zauważa Krukowska.

W sieci spamerów

Ofiary fałszywych narracji publikowanych na YouTube nie są całkiem bezbronne – ale jedynie w teorii. Pierwszy krok to zgłoszenie filmu moderatorom, powołując się na naruszenie wizerunku, podszywanie się czy wprowadzanie w błąd. Platforma ma obowiązek odpowiedzieć, wyjaśnić decyzję i umożliwić odwołanie. W praktyce to proces, który został zautomatyzowany – tu też człowieka zastępują algorytmy, które zwykle nie potrafią rozpoznać problemu, a czasem go zwyczajnie ignorują. Platformie bardziej opłaca się utrzymywać popularne treści, niż je usuwać. Pozostaje droga prawna, ale nie dość, że to proces długotrwały, to praktycznie niemożliwy do przeprowadzenia, gdy osoba odpowiedzialna za wygenerowaną treść pochodzi z zagranicy.

W zeszłym roku śledztwo BBC wykryło „międzynarodową sieć spamerów" tworzących fałszywe treści historyczne o tematyce Holokaustu. Stali za nimi operatorzy m.in. z Pakistanu, którzy nie mieli pojęcia o historii, ale wiedzieli, że najwięcej zarobią na kliknięciach pochodzących z Europy czy ze Stanów Zjednoczonych.

Uporządkowaniem tego chaosu miała zająć się zawetowana przez prezydenta Nawrockiego ustawa wdrażająca unijny Akt o usługach cyfrowych (DSA). Trzeba jednak przyznać, że nie rozwiązywałaby opisywanego problemu. Procedura interwencji organów państwa – w wypadku braku odpowiedniej reakcji platform – miała dotyczyć ściśle określonych, poważnych przestępstw, takich jak terroryzm, mowa nienawiści, oszustwa czy materiałów przedstawiających wykorzystywanie seksualne dzieci. To pokazuje skalę problemu – obecnie platformy nie radzą sobie nawet z usuwaniem jednoznacznie drastycznych materiałów.

DSA miało wymóc większą odpowiedzialność platform, co może przełożyłoby się na poprawę praktyk moderacyjnych również w przypadkach nieobjętych bezpośrednio ustawą. Problemem jest jednak również łatwość, z jaką tworzy się treści za pomocą AI – na miejsce skasowanego filmu szybko wskoczy następny. Potrzeba osobnej regulacji – na razie unijny akt AI wymusza oznaczanie treści generowanych przez sztuczną inteligencję, ale to zdecydowanie za mało. Zwłaszcza że oznaczenie pojawia się także przy zupełnie niewinnych treściach korzystających z wygenerowanego lektora.

– *To co ja mam teraz zrobić?!* – pyta bezradnie Rafał Olbrychski. Brutalna prawda jest taka, że raczej nic.

JOANNA PODGÓRSKA
MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

© YOUTUBE.COM/@KADRYZPRL

eprasa.pl 2a79540d47

Marzenia w pigułce

Granica między lekiem a suplementem diety zanika w gąszczu bliźniaczych nazw i agresywnych reklam. A państwo bezradnie przygląda się, jak marketing zastępuje medycynę.

PAWEŁ WALEWSKI

ILUSTRACJA **MARCIN BONDAROWICZ**

Paweł Iwaszko, farmaceuta i właściciel apteki w Dzierżoniowie, wie to od dawna: do apteki nie przychodzi się dziś po poradę. Przychodzi się z własną diagnozą. Ma więc okazję oglądać z bliska narodową wiarę w cudowne tabletki. Scenariusz jest zawsze podobny: do okienka podchodzi pacjent z miną eksperta, który swoją chorobę rozpoznał między blokiem reklamowym a prognozą pogody. Nie pyta, on żąda. Z gotową receptą w głowie. Zmęczenie? Magnez. Ból głowy? Ibuprom. – *Ileż razy ktoś się go domagał, bo bolała go głowa, a po zmierzeniu w aptece ciśnienia odkrywaliśmy, że problem jest poważniejszy i wymaga innego leczenia niż doraźna tabletka* – mówi Iwaszko, dodając, że akurat ibuprofen (substancja aktywna w popularnych środkach przeciwbólowych) przy nadciśnieniu to zły pomysł, ponieważ obciąża nerki i ciśnienie podnosi. Podobnie jest z preparatami „na cukier". O insulinooporności mówi się dziś wszędzie, ale pacjenci zamiast zgłosić się do lekarza, wolą działać na własną rękę. W końcu w reklamie było powiedziane jasno: „działa". Problem w tym, że organizm nie zawsze chce współpracować z marketingiem.

Prawdziwą furorę – zwłaszcza wśród kobiet w średnim wieku – robi ostatnio Hepaslimin. Reklama obiecuje, że wystarczy „wziąć na wątrobę", by przy okazji zyskać smukłą sylwetkę. – *Choć mowa o suplemencie diety, przekaz jest tak sugestywny, że ludzie traktują go jak pełnoprawny lek* – tłumaczy Iwaszko. Farmaceuta wielokrotnie próbował przekonywać pacjentki, że jeśli mają faktycznie problemy z wątrobą, to lepiej sięgnąć po sprawdzone preparaty lecznicze, zamiast wierzyć, że wyciąg roślinny w minimalnej dawce poprawi jej stan i jeszcze odejmie kilogramów. Bezskutecznie. Bo suplement nie tylko „leczy". On spełnia marzenia.

Żywność, która udaje, że leczy

Przenieśmy się teraz do rozległej drogerii i apteki w jednym, czyli jednej z popularnych sieci w Warszawie. Młody mężczyzna, zamiast szukać ratunku u farmaceuty (w wydzielonej części sklepu, gdzie sprzedawane są leki na receptę), zmierza do półki z preparatami „na wszystko" i chwyta pudełko z napisem Allertec. Pewnie jest przekonany, że dopadła go alergia, ale dopiero w domu, między jednym kichnięciem a drugim odkryje, że zamiast leku przeciwhistaminowego Allertec WZF, kupił samo wapno z witaminą D_3 (też ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ Allertec, ale z dopiskiem Wapno Plus). Podobna nazwa, a jednak suplement, bo zawartość zupełnie inna.

– *To klasyczny błąd w nawigacji farmaceutycznej* – uśmiecha się prof. Jarosław Woroń, kierownik Zakładu Farmakologii Klinicznej Collegium Medicum UJ w Krakowie i porównuje to do historii pewnego prelegenta, który zamiast na sympozjum do Niedzicy, pojechał do Nidzicy, bo pomylił jedną literę przy wpisywaniu do nawigacji. W świecie dzisiejszych aptek jesteśmy jak ten zagubiony podróżnik – otoczeni nazwami, które brzmią znajomo, bo słyszeliśmy je w reklamach, obiecują zdrowie, a w rzeczywistości są jedynie spożywczą przekąską.

Tę brutalną prawdę branża pudruje grubą warstwą obietnic: „usuwa toksyny", „przywraca równowagę", „wzmacnia odporność", „naturalna alternatywa dla leków". Ale suplement diety to nie jest słabszy lek. To żywność, która zawiera różne substancje, zwłaszcza pochodzenia roślinnego. Z punktu widzenia prawa, kupując taki specyfik, nabywamy produkt podlegający tym samym rygorom, co puszka groszku czy paczka herbatników. Dr Oleg Burdzenia, naczelnik Wydziału ds. Produktów z Pogranicza w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, tłumaczy, że o ile wprowadzenie leku na rynek wymaga rygorystycznych badań klinicznych i monitorowania bezpieczeństwa, o tyle suplement wystarczy notyfikować w Głównej Inspekcji Sanitarnej. – *Przypadkowi wytwórcy i dystrybutorzy nie zawsze wiedzą, co wprowadzają na rynek. Mieliśmy telefony od osób, które wcześniej zajmowały się stolarką, a teraz sprowadzają suplementy z Azji i dziwią się, że w ogóle obowiązuje jakieś prawo* – opowiada dr Burdzenia.

Problem polega na tym, że definicja suplementów jest dziurawa jak szwajcarski ser. Zapis o tym, że są to skoncentrowane źródła witamin, składników mineralnych lub innych substancji „wykazujących efekt odżywczy albo inny fizjologiczny" pozwala podciągnąć pod tę kategorię niemal wszystko. Bo co oznacza nigdzie niezdefiniowany „efekt fizjologiczny"? Żadna inspekcja nie może uznać, że jakiś składnik dodany do suplementu nie ma takiego działania. Choć za każdym razem ocena dotyczy konkretnego produktu, to każdy, widząc eleganckie opakowanie w aptece, jest przekonany, że obcuje z medycyną, podczas gdy w rzeczywistości są to preparaty mające zupełnie inne przeznaczenie.

Chleb z suplementem

W Unii Europejskiej rynek suplementów diety rozrósł się do imponującej wartości 45 mld dol., z prognozami wskazującymi na dalszy wzrost do 64 mld w 2030 r. Polska, choć nie zalicza się do liderów pod względem wolumenu sprzedaży – prym wiodą tu Brytyjczycy, Niemcy i Włosi – może pochwalić się najdynamiczniejszym tempem ekspansji w Europie, z rocznym przyrostem na poziomie ok. 10 proc. Wartość naszego krajowego rynku już teraz zbliża się do 8 mld zł. Tym, co go wyróżnia, jest geografia dostępności – podczas gdy we Francji czy Włoszech suplementacja kojarzy się z autorytetem farmaceuty i specjalistycznymi sklepami (które kontrolują 45 proc. europejskiego rynku), nasze suplementy można kupić obok chleba i detergentów w supermarketach, na stacjach benzynowych i w cyfrowej przestrzeni e-commerce, która zagarnęła już ponad 23 proc. sprzedaży (przy czym aż 41 proc. Polaków pada ofiarą lingwistycznej pułapki, mylnie utożsamiając suplementy z lekami).

Gdzie więc kończy się lek, a zaczyna marketing tzw. supli? Firmy opanowały do perfekcji sztukę sugerowania cudów bez używania słowa „leczenie". Granica przebiega tam, gdzie pojawiają się tzw. nazwy parasolowe. To tutaj dzieje się magia, która sprawia, że pacjent może zostać wprowadzony w błąd, kiedy kupuje suplement o nazwie niemal identycznej z lekiem, jaki zna od lat. Prof. Woroń zauważa, że im bardziej czujemy się zagubieni, tym lepiej dla tych, którzy chcą na tym zarobić: – *To jest dokładnie ten sam mechanizm, gdy ludzie klikają na strony łudząco podobne do stron banku i dają się okraść.*

Przykłady można mnożyć: mamy na rynku Acatar Control (lek) i Acatar Complex Zdrowe Zatoki (suplement). Mamy wspomniany Allertec WZF (lek) i Allertec Wapno Plus (suplement). Czy wreszcie Scorbolamid, który w wersji „na gardło" jest ziołową pastylką pozbawioną substancji czynnych znanych z oryginału na przeziębienie. Mamy też szereg opakowań z witaminą B, spośród których większość nie jest zakwalifikowana do leków, bo dawki w nich są zbyt małe, by leczyć. Producent zawsze może się bronić: „Przecież nazwy się różnią, pacjent ma obowiązek czytać skład". Jednak w aptecznym pośpiechu mało kto przelicza dawki i analizuje łacińskie nazwy ekstraktów roślinnych, ufając, że znana marka to gwarancja skuteczności.

Marketing, który wciska złudzenia

Ale czy nie po to są aptekarze, aby tę wiedzę, którą fragmentarycznie przekazują reklamy, weryfikować i legislacyjne wygibasy prostować? – *Niestety fatalny system zmusza nas do uczestnictwa w tej grze pozorów* – przyznaje mgr Iwaszko. Jego zdaniem marże leków na receptę są zbyt niskie, by większość aptek mogła obyć się bez sprzedawania „supli", najlepiej w masowych ilościach. Zresztą zachęcał ich do tego w 2022 r. sam wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski, bo kiedy farmaceuci apelowali o podwyższenie marż aptecznych, odparł im, że przecież na suplementy i leki OTC (sprzedawane bez recept) marż urzędowych nie ma, więc by zwiększyć swoją rentowność, wolno je dowolnie podwyższać, no i sprzedawać, ile się da.

I to widać gołym okiem, bo w aptekach suplementy zajmują główne lady i mogą wypełniać nawet 90 proc. ekspozycji. Sarkastycznie rzecz ujmując, apteka stała się supermarketem, gdzie – jak wykazał dr Burdzenia w badaniu sondażowym przeprowadzonym na potrzeby swojego doktoratu – coraz więcej klientów przychodzi nie po lek na ból głowy czy gardła, tylko po coś „na głowę", „na gardło", „na odporność", „na oczy". – *Odkąd marketing agresywnie zastępuje medycynę, konsumenci przestali odróżniać leczenie od obietnic leczenia* – zauważa. – *Nawet wykształceni pacjenci nie potrafią ocenić, co jest produktem leczniczym, a co kreacją marketingową.*

Rynek wart 8 mld zł rośnie, a wraz z nim narasta dezorientacja. W ofertach sieci aptecznych przybywa tzw. marek własnych, czyli m.in. suplementów wytwarzanych w ich własnych zakładach produkcyjnych. Dzięki temu nie muszą dzielić się zyskiem z hurtowniami ani pośrednikami i mogą zarobić o 60–70 proc. więcej niż na konkurencyjnych markach. Właściciel prywatnej apteki z Wielkopolski zdradza nam szczegóły: – *Płacąc w sieciowej aptece, np. Dr Max lub DOZ, za lek X 30 zł, pacjent jest zachwycony, bo sprzedadzą mu go bez*

eprasa.pl 2a79540d47

marży, a u mnie kosztuje 40 zł. Ale nie wie, że w tej sieciówce pracownicy muszą zrealizować targety sprzedażowe, czyli „dosprzedać" suplementy, które zostały przez tę sieć wyprodukowane za złotówkę, a żąda się za nie 14,99 zł, mamiąc jakąś promocją. Tym sposobem klient zostawi w tamtej aptece 44,99 zł, choć u mnie ostatecznie zapłaciłby mniej, bo nie wyszedłby z reklamówką kolorowych proszków.

„Podczas praktyki w aptece zderzyłam się z wciskaniem niepotrzebnych preparatów i statystykami sprzedaży każdego pracownika zawieszonymi na ścianie" – napisała studentka farmacji w ankiecie, którą na temat postrzegania zawodu farmaceuty przygotowano na wydziałach uniwersytetów medycznych.

Paweł Iwaszko nie ukrywa, że w swojej aptece również sprzedaje suplementy, ale wyłącznie sprawdzonych i znanych marek. Jednak kilka razy w miesiącu odwiedzają go przedstawiciele zupełnie nieznanych wytwórni lub dystrybutorzy wątpliwej jakości produktów, którzy rozwożą je w paczkach w prywatnych autach i mówią wprost: „Sprzedam panu za złotówkę, a pan opchnie po 10 zł". – *Przeganiam takich domokrążców jak najdalej, bo etyka nie pozwala mi nawet wpuścić ich za próg* – wyznaje.

Prawo, które rozkłada ręce

Oczywiście nikt nikogo do zakupu suplementów nie zmusza. Jednak skala zjawiska mówi sama za siebie. Jak przypomina prof. Woroń, dziś już 70–75 proc. pacjentów codziennie sięga po co najmniej jeden suplement diety, a 35 proc. nie poprzestaje na jednym preparacie. Przyjmuje je także blisko 60 proc. chorych na raka w trakcie aktywnego leczenia. – *Z danych naszego uniwersyteckiego ośrodka monitorowania niepożądanych działań leków w Krakowie wynika, że 15 proc. pacjentów trafia do szpitali, najczęściej na oddziały internistyczne, z powodu nieprawidłowo dobranej farmakoterapii. Jednym z istotnych czynników tych powikłań jest łączenie leków z suplementami diety* – ostrzega profesor. Ośrodek działa od 27 lat, ale – jak przyznaje profesor – jego ustalenia pozostają bez echa. Każda próba racjonalizacji stosowania suplementów uderza bowiem w wartość rynku. Czy podmioty czerpiące z tego korzyści – często spółki giełdowe – pozwolą odebrać sobie zysk? – *Możemy jedynie apelować do pacjentów* – rozkłada ręce prof. Woroń.

Ważną rolę w przeciwdziałaniu niebezpiecznym praktykom odgrywa wspomniany Wydział ds. Produktów z Pogranicza w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych. – *Od 2011 r. zgłaszają się do nas po ekspertyzy urzędy państwowe, jak GIS czy GIF, policja, straż graniczna, by móc ocenić, czy wprowadzone na rynek lub przygotowywane do tego preparaty mają właściwą klasyfikację* – mówi kierujący wydziałem dr Burdzenia. Ale to tylko jedno z ogniw systemu, bo sam urząd – bez współpracy z inspekcją sanitarną, a nieraz policją – nie może powstrzymać producentów przed wprowadzeniem na rynek suplementów zawierających substancje kwalifikujące je jako leki (nawet takie, które powinny być dostępne wyłącznie na receptę). Jednym z najnowszych przykładów jest jodek potasu. Ktoś uznał, że w cieniu wojny w Ukrainie i zagrożenia nuklearnego może on stać się sprzedażowym hitem: strach sprzedaje się łatwiej, zwłaszcza gdy preparat mający zablokować wchłanianie radioaktywnego pierwiastka da się zaklasyfikować jako suplement. Tymczasem stosowanie jodku potasu bez medycznych wskazań i kontroli lekarskiej może być niebezpieczne. Nieuzasadniona suplementacja jodu zwiększa ryzyko zaburzeń hormonalnych, może prowadzić zarówno do niedoczynności, jak i nadczynności tarczycy, a także nasilać objawy jej zapalenia. – *Podjęliśmy działania, by ograniczyć ryzyko wprowadzenia takiego produktu na rynek* – twierdzi mój rozmówca. – *Choć nie da się wykluczyć, że mimo to może pojawić się w sprzedaży internetowej.*

Jednym z najbardziej jaskrawych przykładów nadużyć na pograniczu prawa są preparaty do wydłużania rzęs. Wiele z nich zawiera analogi prostaglandyn – dokładnie te same substancje, które występują w kroplach do oczu z bimatoprostem (leku stosowanym w terapii jaskry). To środek ingerujący w fizjologię organizmu – zaburza naturalny cykl wzrostu włosa, wymuszając jego nienaturalne wydłużenie. W kosmetykach nikt nie musi jednak precyzyjnie podawać dawki takiej substancji. A to oznacza realne ryzyko: podrażnienia, przebarwienia powiek i tęczówki, nawet zaburzenia widzenia. Bimatoprost jako lek jest dostępny wyłącznie na receptę i nie może być sprzedawany wysyłkowo. Mimo to jego pochodne wciąż krążą na rynku kosmetycznym, ukryte pod innymi nazwami i sprzedawane bez kontroli. – *Kiedy nie tak dawno prowadziłem prezentację dla młodzieży, jedna z nastolatek bez wahania przyznała, że nadal kupuje taki preparat bez recepty* – mówi dr Burdzenia. Skąd go bierze?

Urzędy muszą respektować prawo unijne, które samo w sobie jest niedoskonałe i pełne luk, na których wyrastają z „suplī" kolejne fortuny. Oto przykład: jeśli najpierw na rynku sprzedawany jest suplement, urzędnicy mogą zablokować pojawienie się leku o identycznej nazwie. – *Ale jeśli było odwrotnie – suplement z podobną nazwą przejdzie, ponieważ w ich nazwy nie wolno nam ingerować* – przyznaje dr Burdzenia. Konsument musi radzić sobie sam wśród pułapek marketingu, ponieważ opakowania zawierają więcej sloganów niż faktów. – *Firmy usuwają informacje wymagane prawem, bo argumentują, że nie ma na nie miejsca, a dodają rozbudowane obietnice* – zauważa mój rozmówca. – *Stąd fałszowanie zdrowia zaczyna się nie na poziomie produktu, ale pomysłu na produkt. Najpierw jest koncepcja: co się sprzeda, jakie emocje wywoła, jakie hasło poniesie się na TikToku i zmieści na opakowaniu.*

A medycyna jest tu tylko dekoracją.

PAWEŁ WALEWSKI

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach

ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 2a79540d47

Patobiznes na patohodowlach

Jeden z wygłodzonych chartów whippetów z hodowli Meradith w Puławach

Kolejne interwencje w patohodowlach, także tych legalnych, pokazują, że nie ma nad tym żadnego nadzoru. A pasja i hobby stały się biznesem budowanym na krzywdzie zwierząt.

AGNIESZKA SOWA

Ciała 16 martwych psów złożone na stercie w garażu jak zużyte szmaty. Obok skrzynki ze starym, zgniłym mięsem, które przerażeni internauci, oglądając zdjęcia z interwencji, początkowo wzięli za szczątki kolejnych psich ofiar. Czy to następne schronisko mordownia? Albo nielegalna hodowla? Skąd. Fundacja dla Szczeniąt Judyta, powiatowa inspekcja weterynaryjna i skierniewicka policja weszły do znanej hodowli Nescaland Katarzyny Przybylskiej, zarejestrowanej w Związku Kynologicznym w Polsce (ZKwP), największej kynologicznej organizacji i jedynej należącej do Międzynarodowej Federacji Kynologicznej FCI.

Odebrali 51 psich szkieletów pokrytych skórą. Bernardyny, które powinny mieć dobrze ponad 60 kg, ważyły zaledwie 28 kg. Nie miały siły iść, więc inspektorzy bez trudu wynosili je na rękach. Jeden z nich to suczka PEEKABOO Nescaland, która na światowej wystawie w 2021 r. jako szczeniak otrzymała tytuł Światowej Nadziei Rasy.

Śmierć z głodu

W Bolimowie, bo tam, w holenderskiej przyczepie campingowej, wyglądającej jak mieszkanie osoby dotkniętej syndromem zbieractwa, mieściła się „hodowla", były też berneńskie psy pasterskie, corgi, labrador, pudle, chow-chow. I dorosła aussie, owczarka australijska o wadze 5,5 kg, która powinna ważyć 18–20. Interweniujący wyciągali psy z plastikowych klatek służących do transportu, tzw. transporterów, dla większości psów zbyt ciasnych,

eprasa.pl 2a79540d47

ustawionych jedne na drugich, w trzech rzędach do góry. Roczny bernardyn, który rósł w takiej klatce, aż przestał się mieścić, miał kompletnie łysą głowę, sierść wytarła się od pocierania o dach kontenerka. I odparzone łapy, bo stał we własnych odchodach. Psy miały zaniki mięśniowe. Były wypuszczane z klatek raz na tydzień. Już przybierają na wadze. Nie były chore, tylko niedożywione. Te z garażu najprawdopodobniej umarły z głodu.

Nie minął tydzień i gruchnęła wiadomość o zagłodzonych chartach whippetach. Znowu hodowla ZKwP – Meradith Agnieszki Nakoniecznej z Puław. W przypadku patohodowli Katarzyny Przybylskiej sygnał o fatalnych warunkach dostała fundacja. Tym razem to sama „hodowczyni" zwróciła się do oddziału ZKwP w Radomiu z prośbą o pomoc i zabranie części psów. Charciarze z okolicznych województw skrzyknęli się: przyjadą, zabiorą psy i znajdą im domy adopcyjne, ale radomski oddział zdecydował się zawiadomić powiatową inspekcję weterynarii. Hodowczyni chciała zatrzymać 10 psów, powiatowy lekarz weterynarii zostawił jej cztery.

– *To skandaliczna decyzja* – mówi Małgorzata Szmurło, lekarka weterynarii, członkini ZKwP od 50 lat, hodowczyni i przewodnicząca Klubu Charta Polskiego, która razem z siostrą, też lekarką weterynarii, odtworzyły i doprowadziły do rejestracji tę rasę. Od wielu lat siostry Szmurło prowadzą fundację Wzajemnie Pomocni, przychodnię i przytulisko, gdzie leczą zwierzęta w potrzebie. Nie tylko psy. – *Wszystkie cztery charty zostawione w hodowli Meradith są w wieku reprodukcyjnym, więc pani szybko sobie odtworzy stado* – mówi Małgorzata Szmurło. Kilka dni temu radomski oddział ZKwP powierzył im opiekę nad pięcioma najsłabszymi whippetami z hodowli Meradith, które miały być poddane eutanazji. Jedna suczka wciąż leje się przez ręce, jest karmiona dożylnie i łyżeczką, specjalnymi odżywkami.

Także z głodu umarły trzy boksery, dwa dorosłe i jeden szczeniak, w nielegalnej hodowli pod Kielcami. Ich opiekun był członkiem ZKwP, dwa psy miały rodowody, jednak nie zarejestrował hodowli, a psy nie miały uprawnień hodowlanych. „Jedenaście pozostałych jeszcze żyło. Siedem szczeniąt i cztery dorosłe to skóra i kości, drżące, zgaszone, jakby już dawno pogodziły się z tym, że nikt po nie nie przyjdzie. Nie mają mięśni, żyły na zewnątrz w mróz i śnieg", tak Fundacja dla Szczeniąt Judyta opisywała, co zastali podczas interwencji. Ale to nie wszystko. Szybko okazało się, że zwierzęta były rażone paralizatorem. I że Paweł Ć. miał założoną niebieską kartę, znęcał się także nad żoną i dzieckiem. Zatrzymano go, ale sąd nie zgodził się na areszt. Dopiero gdy zaczął grozić żonie, aresztowano go ponownie na dwa miesiące.

Burek i kocurek

– *Większość naszych interwencji to pseudohodowle, kompletnie nielegalne* – mówi Marta Włosek z lubelskiej fundacji Ex Lege. – *Jak ta Adama P. z gminy Poniatowa, który na masową skalę produkował i szkolił psy w typie owczarków niemieckich i belgijskich, sprzedając je m.in. do służb mundurowych*. Odebrali mu 64 psy, z małych klatek ustawionych jedna na drugiej.

Do tego interwencje w hodowlach legalnych należących do tzw. stowarzyszeń burka i kocurka, nawet niewpisanych do KRS, tylko rejestrowanych u starosty, jakich tysiące powstało w wyniku nowelizacji ustawy o ochronie zwierząt z 2012 r., która zezwoliła na rozmnażanie psów i kotów tylko hodowcom zrzeszonym w organizacjach kynologicznych lub felinologicznych. Jak stowarzyszenie Domi, które za siedzibę stowarzyszenia podaje giełdę w Słomczynie i w ten sposób omija zakaz sprzedaży szczeniąt na targowiskach, bo w siedzibie sprzedawać można.

Fundacja dla Szczeniąt Judyta zlikwidowała pseudohodowlę w Jędrzejowie: 104 psy: 86 jamników i 18 owczarków collie. Wszystkie miały polskie paszporty. Trafiały najczęściej do Niemiec.

Można wymieniać w nieskończoność. Tak wiele pseudohodowli jest likwidowanych co roku (a jeszcze więcej dalej funkcjonuje, bo nikt nie zawiadomił służb albo organizacji), że nie robi to już wrażenia. Co innego patohodowle w Związku Kynologicznym w Polsce.

– *Latami wierzyliśmy, że tylko oni gwarantują prawdziwą rasowość i standardy* – mówi Katarzyna Śliwa-Łobacz z fundacji Mondo Cane. Podobnie ci, którzy kupowali psy z rodowodem, nie dla papierka, tylko by mieć pewność, że pochodzą z etycznej hodowli.

Wszyscy wiedzieli?

Tych standardów zabrakło. O fatalnych warunkach w hodowli chartów Meradith od dawna wiedziało bardzo wielu członków ZKwP. – *To już trzecia „wyprzedaż garażowa", jaką ta pani urządza* – skomentował jeden z działaczy.

Już 13 lat temu pojawiły się zarzuty, ale kontrola ZKwP „nie potwierdziła ▶

© FUNDACJA KAMISIE

REKLAMA

eprasa.pl 2a79540d47

▶ oskarżeń". Komisja zastała 30 dorosłych, 14 weteranów i 12 szczeniąt, więc zasugerowała, że psów jest trochę za dużo, by opiekowała się nimi jedna osoba i Agnieszka Nakonieczna zgodziła się oddać do adopcji 10 weteranów. Rok później interwencja w hodowli skończyła się prokuratorskim zarzutem o znęcanie się nad zwierzętami. W sieci są nagrania z interwencji pokazujące charty pozamykane po kilka w małej klatce, klatki ustawione piętrowo jedna na drugiej, w ciemnym pomieszczeniu.

– *Sytuacja w tej hodowli była zła od wielu lat i parę razy została zatuszowana z niewiadomych dla mnie powodów także przez prominentnych działaczy związkowych* – mówi Małgorzata Szmurło.

„Myślałam, że już dawno ZKwP zrobił z nią porządek, a teraz się okazało, że ona w dalszym ciągu latami była członkiem związku i hodowcą" – napisała na FB Aleksandra Dobrut.

Przybylska, z hodowli Nescaland, co chwilę przenosiła się do innego oddziału. Z Warszawy do Piaseczna, potem do Łodzi, by wreszcie wylądować w Gdyni (do której miała 400 km). W Gdyni nie miała zarejestrowanych miotów (a kontrole hodowli ZKwP przeprowadza przy okazji przeglądu miotu). Za to w Piasecznie w ciągu 15 miesięcy aż 10. Wszystkie przeglądy miotów robiła przewodnicząca oddziałowej komisji hodowlanej Bożena Kowalska-Malitka, która wezwana na dywanik do Zarządu Głównego przyznała, że odbywały się poza hodowlą. Tylko dwa razy pojechała do Bolimowa, ale oglądała szczeniaki przy bramie, nie weszła na teren hodowli. Została zawieszona w funkcji przewodniczącej komisji hodowlanej.

Kontrole zapowiedziane i nie

Agnieszka Nakonieczna, ta od zagłodzonych whippetów, też od kilku lat nie miała rejestrowanych na siebie miotów, bo trudno byłoby jej sprzedać szczeniaki pod swoim przydomkiem. A na sygnały władze ZKwP nie reagowały, więc u niej kontroli też nie było.

Ale gdy już sprawa wybuchła, Zarząd Główny nakazał oddziałom kontrolować hodowle. Oddział w Chojnicach posłuchał i przedstawiciele komisji hodowlanej pojechali do hodowli dobermanów Jakuba Narlochy, członka zarządu oddziału. Stwierdzili poważne nieprawidłowości. Na nieogrodzonej posesji pod drewnianą dziurawą wiatą dwa jamniki.

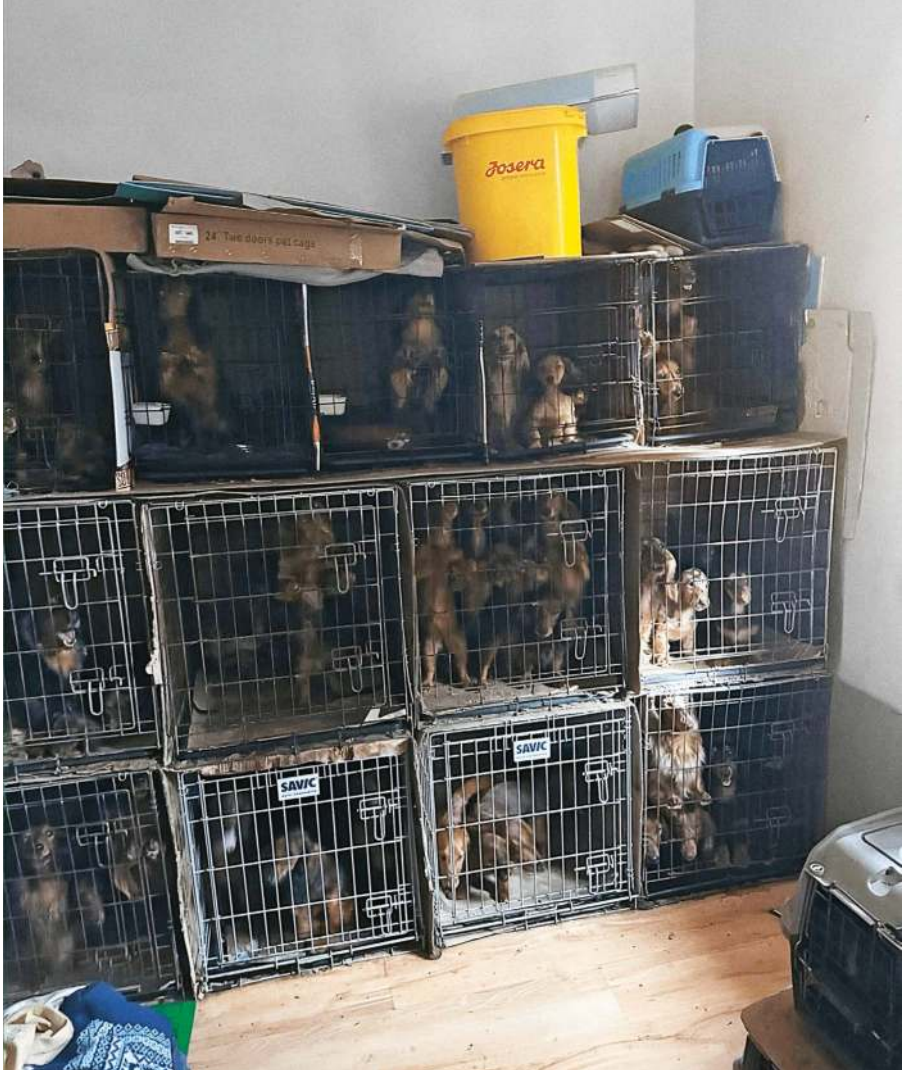

Jędrzejów, Fundacja dla Szczeniąt Judyta zlikwidowała tu pseudohodowlę 104 psów

W blaszanym garażu bez okien psy zamiast bud miały plastikowe kontenery z kocami, ale hodowca wyprowadził stamtąd tylko samca dobermana i wyraźnie zmarzniętego pinczera miniaturowego oraz szczeniaka dobermana i nie pozwolił komisji zajrzeć do środka. Komisja zawnioskowała do władz centralnych o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, podjęcie pilnych działań w zakresie ochrony i realnej pomocy zwierzętom oraz o przeprowadzenie kontroli przez organ nadrzędny lub inne uprawnione instytucje z uwagi na konflikt interesów (hodowca jest członkiem władz oddziału). Konflikt faktycznie był, członkowie komisji, którzy brali udział w kontroli, zostali usunięci z komisji hodowlanej. Marta Lichnerowicz, hodowczyni z oddziału Sopot, niepełniąca żadnej funkcji w ZKwP, która była na miejscu, bo dowiedziała się, że jest tam pinczer miniaturowy, a to „jej" rasa, skontaktowała się z zaprzyjaźnioną fundacją. Organizacja złożyła zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa umyślnego znęcania się nad zwierzętami.

– *W 2011 r. podjęliśmy decyzję o kontrolach w miejscach hodowli, ale te kontrole były zapowiedziane* – mówi Piotr Kłosiński, prezes Polskiego Porozumienia Kynologicznego, który z ZKwP odszedł kilkanaście lat temu i założył inną organizację. – *Wypadały podejrzanie pozytywnie, więc po dwóch latach zaczęliśmy robić kontrole niezapowiedziane.*

W ciągu dwóch lat odsiali w ten sposób ok. 10 proc. członków. Ponad tysiąc hodowli nie spełniało standardów albo odmówiło kontroli.

Margines czy norma

Skandale w hodowlach ZKwP wywołały powszechne oburzenie wśród psiarzy. Hodowcy pasjonaci czują się skrzywdzeni. „Jakby mi podcięto skrzydła", napisała Adrianna Żukowska. Innym wstyd, że są „w jednym worku z kanaliami, oprawcami i handlarami".

eprasa.pl 2a79540d47

„Moja hodowla nosi moje nazwisko, nie mogę sobie pozwolić na to, aby 25 lat pracy z psami, nauki i zaangażowania było kojarzone z przyzwoleniem na bestialstwo. Dlatego przez najbliższe sześć miesięcy nie będziemy brać udziału w żadnych płatnych wydarzeniach Związku, w szczególności wystawach i zawodach. Nie będzie planowanego miotu. Nie dołożę ani złotówki do budżetu organizacji, która od dawna jest dla mnie przede wszystkim źródłem wstydu i zażenowania", napisała na FB Marta Lichnerowicz. Ma pinczery miniaturowe, w domu teraz 21 psów, z czego 5 fundacyjnych, bo od lat, jak mówi, „zbiera odpady pohodowlane, by nie trafiły do rozmnażalni", a wśród tych 16, które są jej, hodowlane ma dwa – sukę i reproduktora. Reszta to głównie weterany lub ubezpłodnione psy, które jej zdaniem nie są na tyle wybitne, aby ich rozmnażanie miało sens. Jak mówi: w hodowli chodzi o postęp hodowlany, a nie o powoływanie miotów.

Rozgoryczenie tym większe, że brak stanowczej reakcji władz ZKwP: „gdzie są decyzje odnośnie zawieszeń, wykluczeń? Z nazwiskami, podaniem przyczyn", pytają. Nie ma też dyskusji nad tym, co trzeba zmienić, by wykluczać nieetycznych hodowców, zanim zamęczą i zagłodzą swoje psy.

„Dość milczenia" postuluje Aleksandra Demczyszyn, hodowczyni owczarków amerykańskich miniaturowych. „Bo milczenie oznacza współudział. A tolerowanie patologii podcina wiarygodność całego środowiska". Tylko czy to są pojedyncze patologie? – *Przeraża mnie to, co dopiero teraz do mnie dotarło, że te przypadki nie są marginesem, tylko elementem krajobrazu* – mówi Marta Lichnerowicz.

Bo można wszystko. Mieć 50, 60, 80 psów. Bez pracowników. Bez infrastruktury. I nadal być „szanowanym hodowcą". System na to pozwala.

Przemysłowo czy amatorsko

Naiwnością jest sądzić, że stowarzyszenia zrzeszające hodowców będą się same kontrolować i narzucać wysokie standardy. Potrzeba nadzoru państwa. – *Hodowla zwierząt towarzyszących w Polsce jest traktowana tak, jakby to było tylko zajęcie ludzi, którzy to robią z pasji i miłości do psów* – mówi Małgorzata Szmurło. – *Może kiedyś tak było, ale już nie jest. W związku z tym trzeba uregulować liczbę psów, miotów, wielkość wybiegów, warunki utrzymania i przewożenia.*

Bo dziś można trzymać 55 dużych perskich kotów w kawalerce na 41 m kw. i jeżeli nie są zagłodzone i chore, nie ma powodów, by je właścicielowi odebrać. Tak zdecydowała policja i powiatowa inspekcja weterynaryjna podczas interwencji w legnickiej hodowli zarejestrowanej w Ogólnopolskim Stowarzyszeniu Psa i Kota „Rodowodowy Pupil". Policję wezwali lokatorzy, nie mogąc wytrzymać panującego w kamienicy smrodu.

W Sejmie jest projekt ustawy „o działalności stowarzyszeń felinologicznych i kynologicznych oraz organizacji hodowli kotów i psów rasowych" posłów Polska 2050. A w Parlamencie Europejskim pierwsza próba uregulowania minimalnych norm dotyczących hodowli, warunków życia i obchodzenia się z kotami i psami.

Polski projekt proponuje, by maksymalnie w hodowli mogło być 20 zwierząt. Są hodowcy, którzy uważają, że to za dużo. „Hodowla mająca kilka miotów w miesiącu nie jest hodowlą, to produkcja żywych istot, a psy to nie linia produkcyjna, suki to nie inkubatory, szczenięta to nie towar" – pisze Aleksandra Demczyszyn.

– *Pracujący zawodowo człowiek nie jest w stanie mieć więcej niż 2–3 mioty rocznie* – mówi Marta Lichnerowicz. – *A jeżeli nie pracuje, to znaczy, że utrzymuje się z psów, a to jest niedopuszczalne.*

„Podobno hodowla psów to hobby – no chyba nie w ZKwP – tam są hodowle, gdzie jeden człowiek ma kilkanaście albo kilkadziesiąt ras i ponad 50 psów. Hobby? Nie, sposób na kasę", napisała Katarzyna Śliwa-Łobacz, prezeska organizacji Mondo Cane, ta sama, która przez lata broniła ZKwP.

Dwa lata temu ZKwP usunęło ze statutu określenie „amatorska hodowla". Bo kojarzyło się z amatorszczyzną. – *To przesuwa akcent na stronę komercji, co dla mnie jest nie do zaakceptowania* – mówi Szmurło. – *Więcej hodowców niż kiedyś traktuje to zarobkowo.* Kłosiński twierdzi, że ponad 80 proc. hodowców ma niewięcej niż trzy psy hodowlane. W PPK największa hodowla to 30 psów. – *Problem polega na tym, że ci pozostali to ludzie, którzy w ZKwP od lat grają pierwsze skrzypce, orbitują wokół władz, prowadzą wykłady, mają ponad setkę psów różnych ras* – mówi Małgorzata Szmurło.

Mamy poważne zobowiązania etyczne wobec zwierząt towarzyszących – czy nam się to podoba, czy nie. A jest też ogromny problem z bezdomnością tych zwierząt. Żeby się z tym uporać, potrzeba także poważnego ograniczenia populacji zwierząt rasowych.

Handel psami i kotami w całej Unii jest wart 1,3 mld euro rocznie.

AGNIESZKA SOWA

PS Autorka od 28 lat należy do ZKwP i ma zarejestrowaną hodowlę dogów niemieckich. Woli jednak termin „rodzina". Jest z nią już szóste pokolenie.

© FUNDACJA DLA SZCZENIĄT JUDYTA

REKLAMA

eprasa.pl 2a79540d47

Wsparcie zamiast kontroli

Polska jest jednym z 10 krajów Europy, w których nadal obowiązują przepisy o ubezwłasnowolnieniu. Wkrótce ma się to jednak zmienić: rząd pracuje nad projektem ustawy o wspieranym podejmowaniu decyzji; w marcu ma on trafić do Sejmu. Co zmieni nowe prawo?

FILIP ZAGOŃCZYK

Katarzyna mieszka w dużym mieście w centralnej Polsce. Na co dzień opiekuje się bratem ze znacznym stopniem niepełnosprawności intelektualnej, który dodatkowo nie chodzi. Przez lata opiekowała się nim matka. Rodzina namawiała ją do załatwienia w sądzie ubezwłasnowolnienia. – *Było to konieczne. Brat otrzymuje rentę socjalną, którą lata temu przynosił do domu listonosz. Zdarzało się, że był problem z jej odbiorem, bo bez ubezwłasnowolnienia powinien robić to osobiście, a nie był w stanie. Podobnie było z listami na poczcie* – tłumaczy Katarzyna.

Kiedy procedura ubezwłasnowolnienia została uruchomiona, do brata Katarzyny przyszli biegli sądowi, żeby ocenić jego stan. Potem przed sądem odbyła się rozprawa, w wyniku której został ubezwłasnowolniony. Przez lata życie toczyło się ustalonym trybem, ale opiekująca się niepełnosprawnym synem matka stawała się coraz starsza i słabsza. Przyszedł moment, kiedy sama trafiła do szpitala i chciała przekazać opiekę Katarzynie. Wtedy zaczęły się schody.

– *Okazało się, że brat nie ma ważnego dowodu osobistego* – wspomina. – *Pojechałam do urzędu, żeby załatwić tę sprawę, ale okazało się, że nie mam takich uprawnień, bo formalnie jeszcze nie jestem opiekunem. Kiedy brat się źle poczuł i zawiadomiła mnie o tym sąsiadka, bo mama już była w szpitalu z własnymi problemami, zadzwoniłam do sądu z pytaniem, co robić. Poinformowali mnie, że karetkę może przecież wezwać każdy. Oczywiście nie zwlekałam i udzieliłam bratu pomocy, ale jego opiekunem stałam się dopiero, gdy schorowana już matka wysłała odpowiedni wniosek do sądu* – opowiada. Katarzyna dodaje, że reprezentowanie w naszym kraju osoby ubezwłasnowolnionej nie jest proste. Procedury nie są powszechnie znane, trzeba mieć sporo cierpliwości. Sąd zobowiązał ją np. do założenia bratu konta w banku. Niby prosta rzecz, ale okazało się, że musiała odwiedzić kilka placówek, ponieważ każda kolejna odmawiała otworzenia rachunku osobie ubezwłasnowolnionej. Gdy w końcu konto udało się otworzyć, sąd pozwolił Katarzynie na pobieranie pieniędzy, ale tylko raz w miesiącu. Nie wydano jej nawet karty do konta brata. Od sędziego usłyszała tylko: gdyby pani nie starczało, proszę napisać do nas wniosek, zmienimy kwotę.

Jednocześnie kobieta co roku jest zobowiązana do wysyłania sprawozdania ze sprawowanej opieki. Musi informować sąd, na co przeznacza pieniądze, jaki jest stan zdrowia brata i czy ma on odpowiednie warunki do mieszkania. Kiedy jednak sama potrzebowała pomocy i poprosiła w gminie, żeby ktoś pomógł w opiece nad bratem przez tydzień (o tzw. opiece wytchnieniowej pisaliśmy w POLITYCE 21/25), od urzędnika usłyszała, że taką sprawę należy załatwiać z rocznym wyprzedzeniem, a poza tym jego zdaniem brat nadaje się do ZOL, bo przyjmuje leki. Prowadząc tego typu codzienną walkę, Katarzyna martwi się o przyszłość brata, kiedy jej zabraknie. – *Na państwo nie mam co liczyć* – uważa. – *Pozostają chyba tylko ośrodki prywatne, ale te są bardzo drogie.*

Instytucja ubezwłasnowolnienia uregulowana jest w Kodeksie cywilnym. Może być stosowana wobec osoby, która z powodu choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego lub innych zaburzeń, w szczególności alkoholizmu i narkomanii, nie jest w stanie kierować swoim postępowaniem. Istnieją dwa rodzaje ubezwłasnowolnienia: częściowe i pełne. Jeżeli osoba zostanie ubezwłasnowolniona, sąd ustanawia dla niej opiekuna, który podejmuje wszelkie decyzje i w jej imieniu wykonuje czynności prawne. Sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie Sylwia Urbańska podkreśla, że ubezwłasnowolnienie to decyzja bardzo poważna i nigdy nie jest podejmowana przez sąd pochopnie czy automatycznie.

– *Sędzia orzekający w sprawie ma zawsze obowiązek powołać biegłych psychiatrów*

© MLV/AI

eprasa.pl 2a79540d47

i psychologów, a także spotkać się z osobą, której dotyczy wniosek o ubezwłasnowolnienie, żeby ocenić jej stan. Nie jesteśmy od przybijania pieczątek – podkreśla. I tłumaczy: – *Osoba całkowicie ubezwłasnowolniona traci zdolność do podejmowania czynności prawnych. Nie podpisze samodzielnie umowy, a gdyby ją zawarła, będzie ona nieważna, nie otworzy konta w banku. To poważna ingerencja w jej życie, dlatego w postępowaniu zawsze uczestniczy prokurator, żeby ocenić, czy ubezwłasnowolnienie to jedyny i najlepszy sposób zabezpieczenia interesów takiej osoby. Najczęściej stosujemy je wobec osób, które np. po wypadkach są w stanie wegetatywnym, albo wówczas, gdy mamy do czynienia z demencją czy chorobą psychiczną. Bywa, że orzeka się je także wobec osób uzależnionych, które nie podejmują leczenia i trwonią majątek.*

Ubezwłasnowolnienie częściowe od pełnego różni się tym, że osoba nim objęta zachowuje częściową zdolność do czynności prawnych – może np. zrobić zakupy w sklepie. Jakakolwiek poważniejsza umowa, gdyby taka osoba ją podpisała, będzie wywoływać skutki prawne, jeśli zostanie potwierdzona przez ustanowionego przez sąd kuratora. Oba rodzaje ubezwłasnowolnienia mogą zostać uchylone, jeśli stan zdrowia objętej nim osoby się poprawi.

Sędzia Urbańska wspomina, że orzekała kiedyś w sprawie o uchylenie ubezwłasnowolnienia osobie chorej na schizofrenię, która podjęła leczenie i jej stan zdrowia poprawił się na tyle, że mogła w pełni uczestniczyć w życiu społecznym. Dopytywana o zagrożenia związane z ubezwłasnowolnieniem tłumaczy, że sędzia każdorazowo wnikliwie bada sprawę. Nie jest zatem np. możliwe, żeby rodzina, chcąc przejąć czyjś majątek, złożyła do sądu wniosek o ubezwłasnowolnienie i otrzymała je z automatu. Jeżeli sąd dopatrzy się działania w złej wierze, może ukarać grzywną osoby wnioskujące o ubezwłasnowolnienie. Poza tym należy pamiętać, że ta procedura to ostateczność i poważne ograniczenie praw osoby potrzebującej pomocy. Skala? Przykładowo do warszawskiego sądu okręgowego w ub.r. wpłynęło 551 tego typu spraw (do tego doliczyć trzeba także wcześniejsze sprawy, które nie zostały zakończone).

90 proc. przypadków kończy się ubezwłasnowolnieniem pełnym, w którego efekcie osoba ubezwłasnowolniona traci całkowicie zdolność do czynności prawnych i jest zależna od opiekuna. Takie rozwiązanie jest jednak niezgodne z art. 12 Konwencji o prawach osób z niepełnosprawnościami, którą Polska ratyfikowała już w 2012 r. Organizacje działające na rzecz praw seniorów i osób z niepełnosprawnością intelektualną lub psychiczną od dawna domagają się zmiany przepisów i wprowadzenia tzw. wspieranego podejmowania decyzji. Teraz jest na to szansa. Przygotowywany przez Ministerstwo Sprawiedliwości projekt został przyjęty przez Komitet Stały Rady Ministrów; w marcu ma trafić do Sejmu.

Wspierane podejmowanie decyzji to rewolucyjna zmiana. Dotychczas osoby ubezwłasnowolnione traciły zdolność do czynności prawnych, a opiekuna wybierał im sąd opiekuńczy. Nowe rozwiązanie ma być zgodne z Konwencją o prawach osób z niepełnosprawnościami, która we wspomnianym art. 12 mówi, że osoby takie są podmiotem prawa. Mogą zawierać umowy, posiadać konto w banku i decydować o swoich sprawach.

Dr Monika Wiszyńska-Rakowska, pełnomocniczka RPO ds. praw osób z niepełnosprawnościami, wyjaśnia, że w nowo projektowanych przepisach obowiązywać będą cztery modele wsparcia. Pierwszy to tzw. asysta prawna, w ramach której wybrana przez nas zaufana osoba ułatwi zorientowanie się w umowach, przepisach prawa itd. Drugi to ustanawiany przez sąd kurator wspierający, który ma nam pomóc w wyborze najlepszego rozwiązania. Kolejnym jest kurator reprezentujący, ustanawiany przez sąd, gdy osoba nie jest w stanie samodzielnie podejmować określonych decyzji. Co istotne, decyzje kuratora będą musiały być zgodne z dotychczasowymi zwyczajami i zachowaniami osoby reprezentowanej. – *Jeżeli przykładowo zawsze kupujemy ten sam model telefonu, to kierując się tą przesłanką, kurator nie powinien samodzielnie zmieniać tej decyzji* – tłumaczy dr Wiszyńska-Rakowska.

Czwartym sposobem wsparcia zapisanym w projekcie jest pełnomocnik rejestrowany, wybierany na wypadek utraty możliwości samodzielnego kierowania swoimi sprawami. Jego działania zaczną się wtedy, kiedy osoba wspierana ze względu na stan zdrowia – np. z powodu utraty pamięci czy konsekwencji poważnego wypadku – utraci zdolność samodzielnego podejmowania decyzji. Co ważne, taka osoba ustanawiana będzie na pięć lat, a jej działania będą podlegały kontroli sądowej. Ma to wykluczyć ewentualne próby nieuczciwego postępowania wobec osoby potrzebującej wsparcia.

Dr Wiszyńska-Rakowska podkreśla, że różne formy wspieranego podejmowania decyzji funkcjonują już w wielu krajach Europy, w tym w Niemczech, Austrii i Czechach. – *Przepisy wprowadzające te rewolucyjne zmiany są już prawie gotowe i wkrótce mogą być procedowane w parlamencie* – mówi dr Michał Peno, dyrektor Departamentu Prawa Cywilnego i Gospodarczego w Ministerstwie Sprawiedliwości. Ale, jak podkreśla, za zmianą prawa musi pójść też zmiana myślenia i mówienia o osobach potrzebujących wsparcia.

– *Żyjemy coraz dłużej i każdy z nas prędzej czy później znajdzie się w sytuacji, w której będzie potrzebował pomocy. Nie możemy wykluczać nikogo. Musimy szukać rozwiązań, które w największym stopniu odpowiadają indywidualnym potrzebom osoby wspieranej. Dlatego tworzymy cztery sposoby wsparcia: asystę prawną, kuratora wspierającego, kuratora reprezentującego i pełnomocnika rejestrowanego. Wierzę, że dzięki nowemu prawu osoby z niepełnosprawnościami, seniorzy i inni potrzebujący pomocy poczują, że są traktowani bardziej podmiotowo, a ich prawo do samodzielnego życia jest szanowane* – dodaje.

O ile zatem ustawy nie przekreśli swoim wetem Karol Nawrocki, przekonamy się, czy polskie sądy, ale i my wszyscy jako społeczeństwo dojrzeliśmy do tego, żeby pozwolić decydować o sobie tym, którym dotychczas odbierano taką możliwość w imię czasami opacznie rozumianej opieki i bezpieczeństwa. ■

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**

eprasa.pl 2a79540d47

Przepychanki przy

Obrońców gotówki nie brakuje, ale nikt nie chce płacić za wygodny do niej dostęp. Gdy banki i właściciele bankomatów się kłócą, a państwowe instytucje nie reagują, przegranymi są zdezorientowani konsumenci.

CEZARY KOWANDA

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS

epresa.pl 2a79540d47

bankomacie

Od ubiegłego czwartku próbujących wypłacić pieniądze z bankomatów Euronet przy użyciu BLIK-a wita propozycja czterech kwot transakcji. Do wyboru jest wypłata 50, 100, 150 lub 200 zł. Urządzenie informuje, że więcej niż 200 zł po wpisaniu kodu BLIK-a nie można otrzymać. Tym razem to nie jednodniowy „strajk" bankomatów, jak 18 czerwca 2024 r., gdy korzystający z sieci Euronet mogli jednorazowo wypłacić właśnie tylko 200 zł. Teraz takie ograniczenie dla korzystających z BLIK-a zostało wprowadzone, jak zapowiada Euronet, do odwołania. Kłopot jest poważny, bo amerykański Euronet zarządza największą siecią bankomatów w Polsce. Ma ich ok. 7,5 tys. i kontroluje ponad jedną trzecią rynku. 200-złotowy limit to spore utrudnienie, skoro – jak pokazują dane BLIK-a – średnia wysokość transakcji w bankomacie w ubiegłym roku wyniosła ponad 700 zł.

Limit wprowadzony przez Euronet dotyczy pojedynczej operacji. Można zatem wciąż wypłacić BLIK-iem więcej pieniędzy, ale w ramach odrębnych transakcji. To jednak nie tylko spore utrudnienie, lecz często też wyższe koszty. Przejrzystość utrudnia fakt, że każdy bank ma własną taryfę opłat dla korzystających z BLIK-a. Jeszcze kilka lat temu standardem były bezpłatne wypłaty niezależnie od bankomatu i kwoty, ale to już przeszłość. W najgorszej sytuacji znaleźli się ostatnio klienci ING i mBanku. ING oferuje w przypadku większości kont zaledwie jedną wypłatę BLIK-iem miesięcznie bez prowizji w sieci Euronet. Z kolei mBank do tej pory pozwalał na wypłaty BLIK-iem za darmo tylko od kwoty 300 zł wzwyż. Teraz taka operacja stała się niewykonalna, więc nie ma możliwości ominięcia prowizji.

Konflikt Euronetu i BLIK-a to nie pierwszy przykład absurdów, jakie panują na naszym rynku bankomatowym. Za każdą wypłatę przez klienta jego bank płaci określoną kwotę operatorowi bankomatu. Te stawki są ustalane przez organizacje płatnicze (amerykańskie Visa i Mastercard) oraz przez Polski Standard Płatności zarządzający BLIK-iem. Niezależni od banków operatorzy bankomatów (to głównie Euronet i ITCard z maszynami o nazwie Planet Cash) od dawna narzekają, że opłaty te są za niskie i nie pokrywają ich coraz większych kosztów. Długo takie stawki wynosiły 1,20–1,30 zł za pojedynczą wypłatę, bez względu na jej wysokość. Bankom zatem opłaca się, gdy ich klienci do bankomatów chodzą rzadko, za to jednorazowo wypłacają od razu większe kwoty. Właściciele bankomatów mają zupełnie inny cel: skłonić konsumentów, aby korzystali z ich maszyn jak najczęściej, za to jednorazowo wypłacali jak najniższe kwoty.

Niedawno Visa i Mastercard nieco się ugięły i wprowadziły nowe zasady rozliczeń. Teraz prowizja dla operatorów bankomatów składa się z części stałej (1,20 zł) oraz zmiennej, wynoszącej 0,17 lub 0,18 proc. transakcji. W praktyce oznacza to, że przy wypłacie przez klienta tysiąca złotych operator bankomatu dostaje od banku ok. 3 zł. Zdaniem Euronetu to wciąż za mało, ale lepiej niż dotąd, więc korzystający z kart płatniczych Visa

Euronet i reszta

Liczba bankomatów (tys., stan na koniec III kw. 2025 r.)

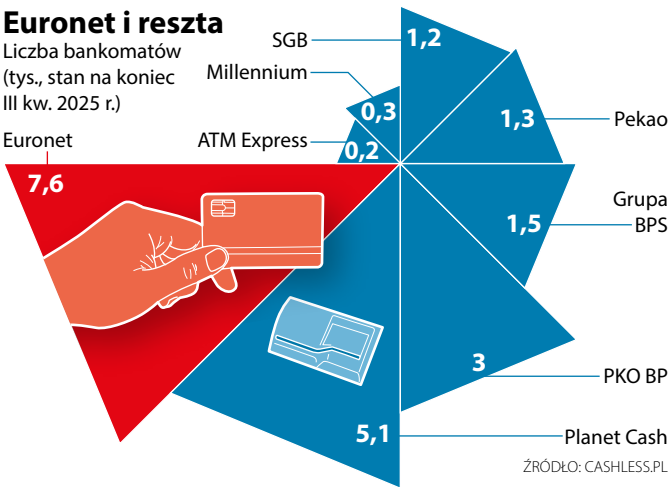

ŹRÓDŁO: CASHLESS.PL

INFOGRAFIKA: LECH MAZURCZYK

czy Mastercard mogą jednorazowo wypłacić do 800 zł. Dlaczego zatem używający BLIK-a są od niedawna gorzej traktowani? Bo BLIK, inaczej niż Visa i Mastercard, swojej stawki rozliczeniowej nie zmienił i utrzymał ją na poziomie 1,20 zł za transakcję.

Blik to w rzeczywistości wspólny projekt sześciu dużych banków działających w Polsce: PKO BP, mBanku, Millennium, ING, Aliora i Santandera, który wkrótce zmieni nazwę na Erste (Hiszpanie sprzedali działalność w naszym kraju Austriakom). W 2015 r. stworzyły niezależny od organizacji Visa i Mastercard lokalny system płatności. Promują go na różne sposoby, m.in. wprowadzając bardziej korzystne dla klientów prowizje za transakcje w bankomatach z użyciem BLIK-a niż kart. – *Po ostatnich zmianach stawek rozliczeniowych bankom szczególnie zależy, by ich klienci wypłacali pieniądze z bankomatów właśnie BLIK-iem, a nie kartami, bo wówczas ponoszą mniejsze koszty. Z kolei dla operatorów bankomatów przychody z wypłat BLIK-iem są niższe niż z operacji kartami. To dlatego Euronet chce ostatnimi decyzjami zniechęcić do BLIK-a i zachęcić do używania kart* – tłumaczy Jacek Uryniuk, redaktor naczelny portalu cashless.pl.

Zderzenie Euronetu z BLIK-iem to konfrontacja dwóch graczy, którzy znajdują się w zupełnie różnej sytuacji. Euronet od dawna skarży się na swoją sytuację w Polsce, a według nieoficjalnych informacji zastanawia się nad opuszczeniem naszego kraju. Nie wiadomo tylko, kto chciałby od niego kupić taką liczbę urządzeń, skoro sam Euronet narzeka na ich rentowność. I powoli, ale sukcesywnie zmniejsza liczbę dostępnych maszyn. Tymczasem BLIK rośnie w siłę i bywa nazywany pierwszym polskim jednorożcem. To określenie nadawane młodym firmom technologicznym (jeszcze przed debiutem giełdowym), które są wyceniane na przynajmniej miliard euro czy dolarów. Niektórzy określają BLIK-a nawet mianem podwójnego jednorożca, czyli spółki wartej ponad 2 mld euro. Być może wkrótce przekonamy się, czy to prawda. Na rynku finansowym nie brakuje spekulacji dotyczących rychłego wejścia BLIK-a na warszawską giełdę. ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ **Skąd taki sukces? BLIK w szybkim tempie zdobywa użytkowników dzięki swojej prostocie, wygodzie i szybkości działania.** Zdominował polski handel internetowy, liczba wszystkich transakcji w tym systemie doszła w ubiegłym roku do niemal 3 mld, wyjątkowym hitem okazały się przelewy na telefon (2 mln dziennie), coraz popularniejsze są też transakcje zbliżeniowe w sklepach. W 2025 r. z BLIK-a korzystało ponad 20 mln użytkowników. Jego przedstawiciele publicznie ubolewają wprawdzie z powodu decyzji Euronetu, ale nie zamierzają iść na kompromis. Co prawda liczba wypłat BLIK-iem z bankomatów sięgnęła w ubiegłym roku 68 mln (rośnie w tempie kilkunastu procent rocznie), ale takie transakcje nie są dla tego systemu kluczowe. Poza tym Polski Standard Płatności przekonuje, że na naszym rynku jest wciąż ok. 12 tys. bankomatów akceptujących wypłaty przy użyciu kodów BLIK-a, w których nie ma tak uciążliwych zasad, jakie właśnie wprowadził Euronet.

Ten z kolei próbuje od dłuższego czasu ratować swój biznes na różne sposoby, co wzbudza kontrowersje. Po interwencji Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów musiał zmienić menu bankomatów, w którym wyróżniona była opcja umożliwiająca jednoczesną wypłatę gotówki i sprawdzenie salda. Wielu klientów nie miało świadomości, że ta druga funkcja jest odpłatna, i wpadali w pułapkę. W czerwcu 2024 r., na jeden dzień, Euronet obniżył limit wypłat do 200 zł, by zaprotestować przeciw niesprawiedliwemu jego zdaniem systemowi rozliczeń. Kontrowersje były tak duże, że rynkowi bankomatów zaczął się przyglądać UOKiK. Na razie jednak nie przedstawił żadnych wniosków. Euronet jako alternatywę dla wyższych stawek proponuje możliwość stosowania w Polsce tzw. surcharge, czyli dodatkowej opłaty ponoszonej przez klienta, który akceptuje ją na ekranie maszyny.

To rozwiązanie stosowane w wielu krajach, z którym stykamy się często jako turyści. Bankomat informuje klienta, że wypłata pieniędzy obarczona jest dodatkową prowizją, która zostanie ściągnięta z jego konta. W Polsce zgodę na stosowanie takiej opłaty musiałyby wydać organizacje Visa i Mastercard. Nie robią tego, bo negatywnie o surcharge wypowiada się Narodowy Bank Polski. Z jednej strony broni on pod kierownictwem Adama Glapińskiego gotówki, ale równocześnie nie chce wspomóc operatorów bankomatów, którzy zapewniają przecież dostęp do niej. – *Surcharge to bardzo trudny temat, bo kto wydałby na niego oficjalną zgodę, ten zaraz byłby atakowany jako odpowiedzialny za wzrost kosztów ponoszonych przez klientów. Nikt przecież nie chce być kozłem ofiarnym, więc surcharge w Polsce nie wprowadzono i raczej szybko się to nie stanie* – przewiduje Jacek Uryniuk z cashless.pl.

Efekt tego klinczu jest jeden: liczba bankomatów w naszym kraju powoli, ale systematycznie spada. W 2017 r. było ich ponad 23 tys., w 2023 r. – 22 tys., a w trzecim kwartale ubiegłego roku (to najświeższe dostępne dane) – już tylko 20,5 tys. Dzieje się tak, mimo że Polacy nadal są zainteresowani korzystaniem z takich urządzeń. Co prawda płatności bezgotówkowe rosną w siłę, ale przecież do trzymania papierowych pieniędzy w domu na wypadek zagrożenia zachęcają nawet rządzący. Rozesłany ostatnio do wszystkich domów Poradnik Bezpieczeństwa radzi, aby mieć zapas gotówki, i to w różnych nominałach. W ostatnich latach liczba wypłat z bankomatów sięgała ok. 500 mln rocznie. A z powodu inflacji kwota wyjmowanych pieniędzy jest coraz większa: w 2023 i 2024 r. wynosiła nieco ponad 400 mld zł rocznie, a w ubiegłym roku prawdopodobnie wyraźnie przekroczyła ten poziom.

Na naszym rynku bankomatów dominują urządzenia dwóch niezależnych operatorów: Euronetu i ITCard (łącznie to 12,5 tys. maszyn), którzy jednak nie mają żadnej motywacji, by rozwijać swoje sieci. Wśród banków większą liczbę bankomatów mają PKO BP (3 tys.) oraz Pekao (1,3 tys.) i dwie grupy banków spółdzielczych. Część instytucji finansowych, jak Santander, w ostatnich latach zrezygnowała z prowadzenia własnych sieci maszyn albo znacznie je ograniczyła (przykładowo Millennium). To mało lukratywny biznes, więc najlepiej jego koszty przerzucić na kogoś innego, a samemu robić wszystko, żeby klienci chodzili do bankomatów jak najrzadziej.

Doszliśmy zatem do absurdalnej sytuacji, w której z jednej strony front obrońców gotówki jest głośny i liczny, ale równocześnie nie ma żadnego sensownego rozwiązania, które zagwarantowałoby stabilny dostęp do bankomatów na przejrzystych zasadach. Teoretycznie klienci nie powinni w ogóle przejmować się regułami skomplikowanych rozliczeń między operatorami maszyn, bankami i organizacjami płatniczymi. W praktyce znaleźli się w oku tego cyklonu, bo przecież banki właśnie na nich starają się przerzucić wszelkie dodatkowe koszty – mimo rekordowych wyników, jakie ostatnio notują. Zysk tego sektora w 2025 r. wyniósł 49 mld zł – o ponad 20 proc. więcej niż w znakomitym 2024 r.

Wszystko wskazuje na to, że w tym konflikcie nikt łatwo nie ustąpi. To zła informacja dla klientów, bo jeśli chcą uniknąć prowizji, muszą jeszcze dokładniej niż dotąd sprawdzać tabele opłat swoich instytucji finansowych. Trzeba tak dobierać kwotę i miejsce wypłaty, żeby zmieścić się w limitach ustalanych zarówno przez banki, jak i operatorów bankomatów. Kto nie zwraca na to uwagi, ten za dostęp do gotówki musi płacić coraz więcej.

Jednak banki w swojej pogoni za zyskami też powinny mieć się na baczności. Publiczne spory, jak ten pomiędzy BLIK-iem a Euronetem, mogą zaktywizować polityków, którzy – zwłaszcza przed wyborami – spróbują przypodobać się elektoratowi. Łatwo można sobie wyobrazić ustawę, w której zostałyby zapisane minimalne zasady bezprowizyjnych wypłat z bankomatów: np. każdy klient każdego banku miałby prawo do trzech takich transakcji miesięcznie w dowolnym urządzeniu i na dowolną kwotę. Tego typu projekt szybko przeszedłby przez parlament i nawet prezydent ochoczo by go podpisał. Być może państwowa interwencja jest niezbędna, skoro banki i właściciele bankomatów sami nie potrafią się porozumieć, a na ich sporach cierpimy wszyscy.

CEZARY KOWANDA

Bankomatów ubywa, pieniędzy przybywa

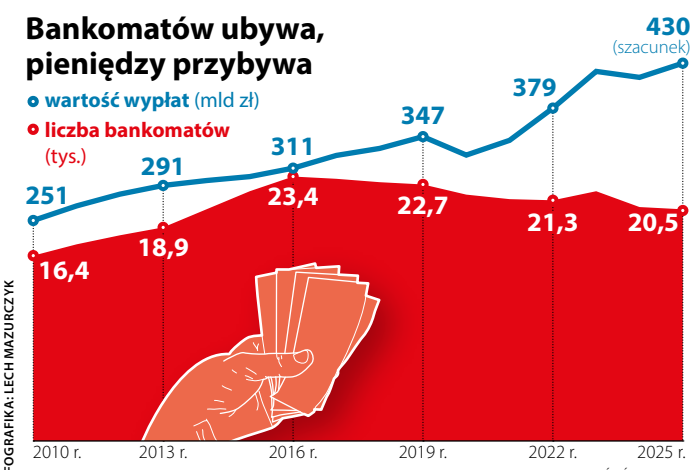

ŹRÓDŁO: NBP

INFOGRAFIKA: LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 2a79540d47

Gawkowski kontra GAFA

Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski chce, żeby amerykańskie big techy płaciły podatek cyfrowy od zysków w naszym kraju. Nawet jeśli miałoby się to nie spodobać Donaldowi Trumpowi.

Gawkowski żąda kasy – mem zamieszczony w mediach społecznościowych Lewicy

ADAM GRZESZAK

Projekt ustawy nosi tajemniczy tytuł „o podatku rekompensującym od niektórych usług", jednak wszyscy mówią krótko: podatek cyfrowy. Minister Krzysztof Gawkowski używa też określenia „podatek równościowy" i zapewnia jednocześnie, że „nie jest podatkiem antyamerykańskim". Mają być nim obciążone podmioty osiągające w ciągu roku minimum 1 mld euro obrotu, z czego w Polsce przynajmniej 25 mln zł, bez względu na ich rezydencję podatkową lub siedzibę. W praktyce oznacza to, że na celowniku znajdą się amerykańskie big techy, zwane popularnie GAFA lub GAFAM, czyli Google (Alphabet), Amazon, Facebook (Meta), Apple i Microsoft. Gawkowski deklaruje, że nie tylko one, bo są przecież inne, np. właściciele podbijających polski rynek chińskich platform e-handlu Temu, Shein czy AliExpress.

Przedmiotem opodatkowania będzie oferowanie reklamy ukierunkowanej, tzn. wyświetlanie reklam dostosowanych do konkretnego użytkownika platform społecznościowych i pośredniczących w sprzedaży towarów lub usług. Więc także sprzedaży treści cyfrowych, w tym wideo, audio, gier lub tekstów tworzonych przez użytkowników.

Wyłączeni z podatku będą operatorzy usług e-płatności, dostawcy usług komunikacyjnych, sklepy z aplikacjami czy grami, a także banki i inne regulowane instytucje finansowe. Wyłączenie dotyczyć ma też platform streamingowych VOD, które już są obciążone specjalnym podatkiem (1,5 proc. od przychodu z opłat od użytkowników lub z reklam) zasilającym Polski Instytut Sztuki Filmowej. Stawka podatku cyfrowego ma wynosić 3 proc. przychodów uzyskanych w Polsce.

Ministerstwo Cyfryzacji spodziewa się z tego tytułu 1,7 mld zł w pierwszym roku, 2 mld zł w drugim i trzecim oraz 3 mld zł w kolejnych latach. W ciągu 10 lat kasa państwa ma się wzbogacić o ponad 31,5 mld zł. Pierwotnie projekt zakładał, że pieniądze te zostaną przeznaczone na cyfryzację i wsparcie polskich mediów cyfrowych. Na to jednak nie zgodził się resort finansów, więc trafią do budżetu.

„Podatek cyfrowy to nie kara. To sprawiedliwość. Polskie firmy płacą uczciwe podatki w Polsce. Dlaczego globalne korporacje miałyby być ponad zasadami?" ▶

© AN

eprasa.pl 2a79540d47

▶ – deklaruje minister Gawkowski, przekonując, że cyfrowi giganci od lat mają w Polsce prawdziwe eldorado. Zarabiają miliardy, a zostawiają grosze. Potwierdza to prezes holdingu Wirtualna Polska Jacek Świderski. WP Holding w 2024 r. zapłacił 55,5 mln zł podatku CIT. „To więcej niż Google Poland i Facebook Poland razem wzięte, mimo że ich łączne przychody przekraczają nasze trzykrotnie" – tłumaczył Świderski w rozmowie z money.pl.

Lewica świętuje

Minister cyfryzacji i wicepremier z ramienia Nowej Lewicy ma poczucie politycznego sukcesu: projekt ustawy, który powstawał pod jego kierunkiem, trafia do wykazu prac legislacyjnych rządu. „Z ministrem Domańskim jesteśmy tak umówieni, że prace nad ustawą o podatku cyfrowym trwają w Ministerstwie Cyfryzacji, a potem zaczną się konsultacje. Premier dał mi zielone światło, żebym nad tym pracował" – zapewniał z dumą latem 2025 r., bo sukcesem było nie tylko zielone światło, ale i to, że zajmował się tym on, a nie minister finansów, odpowiedzialny za politykę podatkową.

To początek wyboistej drogi legislacyjnej, ale Lewica już świętuje, bo podatek cyfrowy to jedna z jej sztandarowych obietnic wyborczych. „We Francji, Hiszpanii, Włoszech czy Wielkiej Brytanii podatek cyfrowy już działa. Dlaczego Polska miałaby być gorsza? Czas na równe reguły gry. Czas, by pieniądze zarabiane w Polsce pracowały dla Polski. Projekt ustawy ministra Krzysztofa Gawkowskiego jest już w wykazie prac legislacyjnych" – radośnie zakomunikowała Lewica w social mediach. Jednak w dostępnym w sieci wykazie prac rządu ustawy o podatku cyfrowym na razie brak.

Wpisy na Facebooku i Instagramie Lewicy ozdobiono dość nieporadnie zrobionym memem (nie skorzystano z AI), przeróbką obrazu Johna Krimmela „Wiejscy politycy" (patrz s. 47): oto Gawkowski, siedzący w towarzystwie Elona Muska (X), Jeffa Bezosa (Amazon) i Marka Zuckerberga (Meta), wymownym gestem wyciągniętej ręki każe im płacić „na polskie technologie". Nawet jeśli plan wprowadzenia podatku cyfrowego się powiedzie, na razie nic nie wskazuje na to, żeby pieniądze poszły właśnie na nie.

To już drugie podejście Lewicy do podatku cyfrowego. W 2021 r. poseł Adrian Zandberg w imieniu klubu złożył poselski projekt ustawy „o podatku od niektórych usług cyfrowych i Funduszu Technologii Cyfrowych". Prawo i Sprawiedliwość szybko odesłało projekt do sejmowej zamrażarki, choć projektodawcy upominali się potem, zgłaszając interpelację. Pytali, czy to prawda, że rząd na forum międzynarodowym opowiada się za odrębnym podatkiem dla cyfrowych gigantów. A jeśli tak, to dlaczego nie chce pochylić się nad ich projektem? Ówczesny wiceminister finansów Artur Soboń wyjaśnił m.in., że „praca nad krajowym podatkiem cyfrowym naraziłaby Polskę na szwank na arenie międzynarodowej oraz prawdopodobnie wpłynęłaby negatywnie na prace międzynarodowe zmierzające do opodatkowania cyfrowych gigantów".

Instrukcja Marco Rubio

Obawy rządu PiS, by nie zadzierać z big techami, nieobce są też premierowi Donaldowi Tuskowi. Dlatego pytany rok temu o podatek cyfrowy uśmiechał się dwuznacznie: „Na razie w rządzie nie ma pracy nad takim projektem, ale premier Gawkowski przygotowuje ewentualne projekty". A że w lutym 2025 r. Google i Microsoft zapowiedziały wielomiliardowe inwestycje w Polsce, jednocześnie tłumaczył: „Potrzebujemy tych inwestycji, dobrej współpracy, jeśli chodzi o różne aspekty: od energetyki, po militarną, na każdym praktycznie polu. Więc zgodnie z panującą dzisiaj modą mogę powiedzieć: zobaczymy".

A było na co patrzeć, bo zaczynała się właśnie druga kadencja Donalda Trumpa. W połowie lutego ub.r. prezydent Stanów Zjednoczonych „w celu obrony amerykańskich firm i innowatorów przed zagranicznymi wymuszeniami" podpisał ostrzegawcze memorandum. „Podatek od usług cyfrowych pozwala rządom innych państw pobierać podatki od amerykańskich firm po prostu dlatego, że działają one na rynkach zagranicznych, nawet jeśli firmy te generalnie nie podlegają w żaden inny sposób jurysdykcji zagranicznej. Prezydent Trump nie pozwoli, aby rządy innych państw przywłaszczały sobie amerykańską bazę podatkową dla własnych korzyści" – czytamy wyjaśnienie na stronie Białego Domu. Na niektóre kraje to ostrzeżenie podziałało, bo Kanada zawiesiła prace nad wprowadzeniem podatku DST (Digital Services Tax).

W ten sposób prezydent USA spłacał długi wobec szefów big techów za sowite poparcie finansowe w kampanii. Ci zaś towarzyszyli mu na inauguracji i urabiali go podczas regularnych spotkań w Mar-a-Lago. Nie bez sukcesów, bo cztery firmy (Meta, Tesla, Alphabet i Amazon) w 2025 r. uniknęły 51 mld dol. podatków dzięki trumpowskiej ustawie One Big Beautiful Bill.

Sekretarz stanu Marco Rubio nakazał też amerykańskim dyplomatom przeprowadzenie skoordynowanego ataku na wprowadzane właśnie unijne rozporządzenie Akt o Usługach Cyfrowych (DSA), a Trump zapowiedział konsekwencje wobec „krajów, które atakują nasze niesamowite amerykańskie firmy technologiczne", bo „podatki cyfrowe, przepisy dotyczące usług cyfrowych i regulacje dotyczące rynków cyfrowych mają na celu szkodzenie amerykańskiej technologii lub jej dyskryminację".

Tom Rose, ambasador USA w Polsce, zapowiedź podatku cyfrowego skomentował wpisem na platformie X: „To niezbyt mądre! Autodestrukcyjny podatek, który zaszkodzi tylko Polsce i jej relacjom z USA. Prezydent Trump również odpowie odwetem, jak i powinien zrobić. Odwołajcie podatek, aby uniknąć konsekwencji!".

Aby uniknąć amerykańskich konsekwencji, kilka tygodni temu prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę dostosowującą polskie przepisy do znienawidzonego przez Trumpa DSA. Ustawę zwiększającą bezpieczeństwo i eliminującą nielegalne treści w sieci Nawrocki skrytykował, używając argumentów z instrukcji Rubio mówiących o „orwellowskiej moderacji treści" i jej wpływie na „prawo do wolności słowa obywateli i przedsiębiorstw". Pytany o opinie na temat podatku cyfrowego odmawia na razie odpowiedzi, bo nie zna treści ustawy. „Dla mnie przy podejmowaniu decyzji jedyną przesłanką jest dobro państwa polskiego" – zapewnia, nie kryjąc jednak sceptycyzmu.

Biznes ma wątpliwości

W Polsce projekt podatku cyfrowego przyjęto z mieszanymi uczuciami. Cieszą się organizacje pozarządowe monitorujące świat cyfrowy i walczące o prawa obywatelskie w cyberprzestrzeni. „Polska nie może sobie pozwolić na dalsze subsydiowanie globalnych firm technologicznych kosztem własnych obywateli i przedsiębiorców" – czytamy w liście otwartym fundacji Panoptykon i czterech innych organizacji.

eprasa.pl 2a79540d47

Big techy stały się globalnym oligopolem i szachują świat być może skuteczniej niż prezydent Trump.

Biznes przyjął zapowiedź podatku bez szczególnej radości. Organizacje branżowe, nawet te skupiające polskie firmy, które miałyby odnieść korzyści, mają spore wątpliwości. „Intencja wyrównania zasad opodatkowania podmiotów działających na polskim rynku jest zrozumiała i zasadna. Jednocześnie zaproponowany model niesie istotne ryzyka dla rozwoju krajowej gospodarki cyfrowej" – ostrzega Izba Gospodarki Elektronicznej.

Związek Polska Cyfrowa, skupiający duże międzynarodowe firmy, także z grupy big techów, jest oczywiście przeciw. „Rekomendujemy, by Polska zrezygnowała z dalszych prac nad podatkiem cyfrowym i zamiast tego wspierała globalne, skoordynowane rozwiązania wypracowywane w ramach OECD, które gwarantują przejrzystość i stabilność systemu podatkowego" – przekonuje prezes Michał Kanownik.

Ekonomiczni eksperci też mają wątpliwości. „Podatki sektorowe nie są neutralne, przyczyniają się do wzrostu cen konkretnych usług. Uderzają najczęściej w »nielubiane« grupy i w ten sposób mają wypracowywać polityczny kapitał" – czytamy w komunikacie balcerowiczowskiego think tanku Forum Obywatelskiego Rozwoju.

Ekonomiści widzą w podatku cyfrowym rodzaj nowego podatku bankowego, czyli daninę, która ma obciążać niewyobrażalnie bogatych i nielubianych władców świata, a która łatwo zostanie przez nich przerzucona na klientów, stając się czymś w rodzaju akcyzy.

Bój o suwerenność cyfrową

Potwierdza to doświadczenie lidera w walce o suwerenność cyfrową – Francji, która już pięć lat temu wprowadziła podatek od usług cyfrowych, popularnie zwany tam „podatkiem GAFA". Obejmuje on szeroki zakres działalności, w tym reklamę internetową, marketing danych osobowych i usługi pośrednictwa na platformach handlowych. Poza Amerykanami musi go płacić też m.in. francuska spółka Criteo (reklama displayowa) czy norweska grupa Adevinta (właściciel Leboncoin, jednego z największych serwisów ogłoszeniowych w Europie). Już w chwili jego wejścia w życie Amazon oficjalnie poinformował, że w związku z tym musi podnieść opłaty.

Eksperci często powtarzają radę: poczekajmy, aż sprawa podatku cyfrowego zostanie rozstrzygnięta na poziomie unijnym lub międzynarodowym. Grupy G20 i OECD prowadzą negocjacje w sprawie opodatkowania międzynarodowych firm, także cyfrowych, które często trudno precyzyjnie zlokalizować. Projekt „Inkluzywnych Ram G20/OECD" wprowadza dwa rozwiązania. W pierwszym największe i najbardziej zyskowne grupy kapitałowe płaciłyby podatek w miejscach, gdzie ich produkty lub usługi są konsumowane. Szacuje się, że reforma obejmie ponad 125 mld dol. zysków, które zostaną przypisane do poszczególnych państw. Drugi pomysł zakłada płacenie uzgodnionej globalnej minimalnej stawki podatku dochodowego od osób prawnych (15 proc.).

Do porozumienia OECD/G20 przystąpiło 140 krajów i sprawa ugrzęzła, bo uzyskanie zgody wszystkich państw, zwłaszcza USA, jest dziś trudne do wyobrażenia. W marcu 2018 r. Komisja Europejska zaproponowała własne przepisy mające na celu zapewnienie sprawiedliwego opodatkowania działalności cyfrowej w UE, ale ze względu na prace nad Ramami G20/OECD przygotowania wstrzymano. To skłoniło kilka państw do wprowadzenia podatku cyfrowego na własną rękę. Zrobiły to Francja, Austria, Włochy, Hiszpania i Węgry (z rekordową stawką 7,5 proc.). Także Niemcy przygotowują swój podatek cyfrowy, taki w każdym razie zamiar jest zapisany w agendzie SPD.

Tymczasem big techy uciekają z podatkami do Irlandii, bo tam są najkorzystniejsze przepisy. W 2024 r. 58 proc. wartości dodanej PKB Irlandii stanowiły wpływy podatkowe międzynarodowych korporacji, w tym big techów.

Ale ważniejsze jest to, że big techy stały się globalnym oligopolem i szachują świat być może skuteczniej niż prezydent Trump. Alphabet (Google) i Meta (Facebook) kontrolują dziś ponad połowę wszystkich wydatków na reklamę cyfrową na świecie. Wraz z Amazonem w 2025 r. odpowiadały za 56 proc. światowych wydatków na reklamę, do 2027 r. udział może dojść do 60 proc. Oczywiście chodzi o świat z wyłączeniem Chin, które mają własny izolowany ekosystem internetowy, mimo że chińskie firmy walczą na światowym e-rynku.

Dziś uwaga big techów jest skoncentrowana na budowaniu wielkich centrów danych, by kontrolować globalny rynek AI. Szykuje się więc kolejne uzależnienie. Co więc w tej sytuacji będzie z polskim podatkiem cyfrowym i naszą suwerennością cyfrową? Analitycy POLITYKI Insight przewidują, że ustawa nie trafi szybko do Sejmu, co tylko przyspieszyłoby prezydenckie weto. Spodziewają się raczej bardzo wolnego procedowania, by Gawkowski nacieszył się sukcesem, a Tusk nie miał kłopotów z Nawrockim i Trumpem.

ADAM GRZESZAK

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

Stawiam na Trumpa

Czy Polymarket wykończy profesjonalne sondażownie? Uczestnicy tego rynku przewidywań mogą obstawiać przyszłe wydarzenia na całym świecie. I ryzykując pieniądze, mylą się rzadziej niż ośrodki badania opinii.

MARIUSZ ZAWADZKI

O godz. 10 wieczorem 2 stycznia niejaki Burdensome Mix, czyli Kłopotliwa Mieszanka, postawił 32 537 dol. na portalu polymarket.com. Jego anonimowi użytkownicy mogą obstawiać odpowiedzi na takie pytania, jak np.: „Czy do końca czerwca Rosja i Ukraina zawrą rozejm?” albo: „Czy Taylor Swift zajdzie w ciążę w 2026 r.?”. Pytanie, na które postawił pieniądze Kłopotliwa Mieszanka, brzmiało: „Czy Nicolas Maduro straci władzę w Wenezueli przed 1 lutego 2026 r.?”.

eprasa.pl 2a79540d47

Bar w Waszyngtonie. Polymarket jako jedyny przewidział, że Donald Trump wygra z Kamalą Harris, wbrew prognozom najważniejszych mediów i ośrodków badań opinii.

Pytania na Polymarkecie zgłaszają użytkownicy, ale muszą być zaakceptowane przez portal. Możliwe są tylko dwie odpowiedzi: „tak" lub „nie". Każda z opcji ma cenę zakupu między zero a sto centów, co intuicyjnie można utożsamiać z prawdopodobieństwem zdarzenia, które za daną opcją stoi. Jeśli zdarzenie jest prawie pewne, cena to blisko 100 centów, a jeśli prawie niemożliwe, cena zbliża się do zera. W tym przypadku „tak" kosztowało tylko osiem centów, bo obalenie, rezygnacja lub śmierć prezydenta Maduro w ciągu następnych 29 dni wydawały się mało realne. Jego kadencja miała upłynąć dopiero w 2031 r. Ale niecałe trzy godziny po obstawieniu zakładu amerykańscy komandosi wylądowali na dachu pałacu prezydenckiego w Caracas, porwali Maduro i zapakowali go do samolotu do Nowego Jorku.

Kiedy pytanie z rynku przewidywań jest rozstrzygnięte, prawidłowa odpowiedź jest automatycznie wyceniana na 100 centów (jako zdarzenie pewne), a błędna – na zero centów. Ponieważ Kłopotliwa Mieszanka kupił swoje opcje po 8 centów, a w chwili zamknięcia pytania były warte 100 centów, jego zainwestowane 32 537 dol. pomnożyło się i w ciągu kilku godzin zarobił ok. 400 tys. dol. (gdyby Amerykanie nie porwali Maduro, to 1 lutego tuż po północy opcje Kłopotliwej Mieszanki stałyby się bezwartościowe).

Ceny opcji „tak" i „nie" nie są sztywno ustalone, zmieniają się zależnie od bieżącej sytuacji i zainteresowania graczy. Co więcej, każdy może swoje opcje w dowolnym momencie sprzedać, nie trzeba ich trzymać aż do rozstrzygnięcia pytania. Rynek jest otwarty przez 24 godziny na dobę.

Niedługo po północy 3 stycznia, gdy w mediach pojawiły się pierwsze doniesienia o jakiejś zadymie w Caracas, opcja „tak" skoczyła do 50 centów. Gdyby Kłopotliwa Mieszanka nie wytrzymał psychicznie, mógłby sprzedać swoje opcje „tak" z mniejszym zyskiem (dostałby wtedy po 50 centów za opcję). Ale wytrzymał. O godz. 4.21 rano Trump wrzucił do netu zdjęcie z porwanym Maduro – już w amerykańskim samolocie – i cena opcji „tak" skoczyła do 100 centów.

Wygrana Kłopotliwej Mieszanki wywołała podejrzenia graniczące z pewnością, że informacja o planowanym porwaniu Maduro wyciekła z otoczenia Trumpa, amerykańskiej armii lub wywiadu. Albo gracz sam należał do wąskiego grona wtajemniczonych, albo miał w tym gronie wspólnika, który dał mu cynk. Kilka dni później Trump ogłosił, że „sprawca przecieku został zidentyfikowany i aresztowany".

Porwanie Maduro wywołało jeszcze drugą, niezwiązaną z przeciekiem, aferę na Polymarkecie. Można tam było obstawiać również pytanie: „Czy do 31 stycznia Stany Zjednoczone dokonają inwazji na Wenezuelę?". Portal uznał, że wydarzenia z nocy 3 stycznia nie spełniają definicji „inwazji", dlatego prawidłowa odpowiedź brzmi „nie". W mediach pojawiły się doniesienia, że „gracze są oburzeni, bo stracili pieniądze po kontrowersyjnej decyzji portalu". Ale takie stawianie sprawy dowodzi, że autorzy tych doniesień nie rozumieją, czym jest Polymarket.

To nie jest zwykły zakład bukmacherski, w którym ludzie obstawiają przeciwko zakładowi. Polymarket jest jedynie pośrednikiem w zakładach między graczami. Żeby Kłopotliwa Mieszanka mógł kupić opcję „tak" za 8 centów, musiał zajść jeden z dwóch przypadków: albo inny gracz, który już posiadał opcję „tak", wystawił ją na sprzedaż za 8 centów, albo jakiś gracz – nazwijmy go Bezproblemowym Monolitem – chciał kupić za 92 centy opcję „nie". W tym drugim przypadku Kłopotliwa Mieszanka oraz Bezproblemowy Monolit razem składają się na jednego dolara, który jest przez Polymarket przechowywany do czasu rozstrzygnięcia pytania. A potem w całości przekazany temu, kto miał rację.

Portal nie dostaje ani centa, jest tylko arbitrem w zakładzie między Kłopotliwą Mieszanką i Bezproblemowym Monolitem. Po rozstrzygnięciu pytania wszystkie pieniądze od użytkowników, którzy się mylili, są przekazywane użytkownikom, którzy mieli rację. Zatem Polymarket, decydując o interpretacji słowa „inwazja", nie miał nic do zyskania ani do stracenia.

W odróżnieniu od polityków w Waszyngtonie, dla których interpretacja wydarzeń z Caracas ma – a przynajmniej powinna mieć! – kluczowe znaczenie. Zgodnie z konstytucją USA tylko Kongres decyduje o wojnie. Ale administracja Trumpa ogłosiła, że akcja komandosów to nie był „akt wojny" ani „inwazja", tylko „operacja zatrzymania osoby podejrzanej o przemyt narkotyków" (czyli prezydenta Maduro). Na posiedzeniu komisji kongresowej, na którym składał wyjaśnienia sekretarz stanu Marco Rubio, senator Rand Paul zapytał: „Wyobraźmy sobie, że jakiś kraj wysyła komandosów, którzy porywają naszego prezydenta z Białego Domu. Czy my, Amerykanie, uznalibyśmy, że nie jesteśmy w stanie wojny z tym krajem?". Senator Paul jest wybitnym specjalistą w demaskowaniu hipokryzji obu amerykańskich partii, dlatego ma w Waszyngtonie opinię wyjątkowego dziwaka.

Polymarket nic nie zarabia. Nie pobiera nawet prowizji za pośrednictwo w zakładach między użytkownikami. Jest napędzany pieniędzmi inwestorów, którzy przekazali mu jak dotąd 10 mld dol. Idzie drogą Ubera, który długo generował straty, ale była to świadoma strategia rozwoju. Inwestorzy ładowali w niego miliardy, ale nie pobierano wysokich prowizji od kierowców i pasażerów, bo celem było zdobycie popularności, złowienie milionów klientów i wykończenie konkurencji. Dopiero w 2023 r., po kilkunastu latach istnienia i przepaleniu ponad 30 mld dol., Uber zaczął przynosić zyski. Ale za to solidne – rzędu 10 mld rocznie. Analogia z Uberem jest szczególnie trafna, bo podobnie jak Polymarket działał początkowo na grząskim gruncie prawnym. Żeby jeździć jako taksówkarz, trzeba było najczęściej mieć licencję, zdać jakiś egzamin. Oczywiście Uber twierdził, że jego kierowcy nie są taksówkarzami. Sam Uber nie jest rzekomo firmą transportową, tylko platformą, na której prywatni kierowcy kontaktują się z ludźmi akurat potrzebującymi podwózki.

Podobnie jest z hazardem – w Europie trzeba mieć licencję, żeby przyjmować zakłady hazardowe, w USA jest to dozwolone dopiero od 2018 r. i też potrzebna jest licencja. Ale Polymarket twierdzi, że nie organizuje gier hazardowych, tylko pośredniczy w kontraktach, które prywatne osoby zawierają między sobą. Ale jest także czymś więcej: nowym, ważnym źródłem wiedzy o świecie, często lepszym niż media, analitycy czy ośrodki badań opinii publicznej.

Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w USA wszystkie sondaże zapowiadały, że wynik wisi na włosku. W kluczowych stanach, takich jak Pensylwania czy Michigan, Donald Trump i Kamala Harris mieli rzekomo równe poparcie. Ale na Polymarkecie opcja „Trump" oscylowała wokół 60–70 centów. Inaczej mówiąc, gracze uważali Trumpa za zdecydowanego faworyta, wbrew temu, co mówiły najważniejsze media i ośrodki badań opinii. ▶

© ALEX WONG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2a79540d47

▶ Zwolennicy Polymarketu uważają, że wyraża on „mądrość tłumu", która dotąd nie miała miejsca, żeby się zamanifestować. I to nie jest przypadkowy tłum. Gracze ryzykują własne pieniądze. W wyniku swoich decyzji ponoszą konsekwencje finansowe, dlatego te decyzje są, statystycznie rzecz biorąc, lepiej przemyślane.

Dla odmiany ci, którzy wypowiadają się w telewizji, piszą w internecie albo odpowiadają na pytania ankieterów, nic nie ryzykują. Mogą bajdurzyć, co im ślina na język przyniesie, bez żadnych konsekwencji. Dziennikarze i eksperci prawie nigdy nie są rozliczani, bo artykuł czy analiza żyją jeden, najwyżej kilka dni, potem są zapominane. Z punktu widzenia dziennikarza najbezpieczniej zgadzać się z opinią redaktora naczelnego. Dlatego media często wpadają w pułapkę „myślenia stadnego".

W sondażach jesienią 2024 r. był szczegół, który „stado" zlekceważyło. Otóż kiedy ankieterzy dzwonili do wyborców, większość odmawiała udziału w badaniu. Żeby zebrać sondaż od tysiąca osób, ankieterzy musieli wykonać kilkadziesiąt tysięcy telefonów. Kto odmawiał? Oczywiście częściej zwolennicy Trumpa, z natury antysystemowi i ślepo posłuszni swojemu kandydatowi, który nieustannie powtarzał, że ośrodki badań „oszukują" i „sprzyjają liberałom". Niektórzy wydzwonieni, nawet jeśli zgadzali się wziąć udział w ankiecie, to wstydzili się przyznać, że zagłosują na Trumpa. Tym sposobem próba wyborców nie była reprezentatywna. Teoretycznie to zjawisko było ośrodkom badań znane i brały poprawkę, publikując sondaże, ale – jak się okazało – niewystarczającą. Trump dość pewnie wygrał we wszystkich stanach, w których rzekomo jego zwycięstwo wisiało na włosku.

Kilka dni przed wyborami pewien Francuz, który na Polymarkecie obrał pseudonim Théo, postawił na Trumpa kilkadziesiąt milionów dolarów, również na jego zwycięstwa w poszczególnych stanach. Zarobił łącznie 80 mln dol. Dziś wiemy, że nie był ryzykantem, tylko wytrawnym – choć amatorskim – obserwatorem Ameryki. Zanim postawił pieniądze, zamówił w amerykańskim ośrodku badań YouGov prywatny sondaż. Poprosił, żeby w stanie Michigan ankieterzy zadali ludziom pytanie: „Na kogo zamierzają głosować twoi sąsiedzi?". Odpowiedź „Na Trumpa" padała znacznie częściej niż w przypadku standardowego pytania „Na kogo ty zamierzasz głosować?". Théo uznał, że pytanie o sąsiadów lepiej mierzy preferencje wyborców, bo pytany nie musi zdradzać własnych preferencji przed obcą osobą (ankieterem), co często bywa niezręczne.

O ogromnej wygranej Théo – i o samym Polymarkecie – zrobiło się głośno w amerykańskich mediach. Skutki popularności odczuł założyciel portalu, 25-letni wtedy Shayne Coplan. Tydzień po wyborach, 13 listopada o godz. 6 rano, do jego mieszkania na Manhattanie wparowało ośmiu agentów FBI, którzy skonfiskowali jego telefony, tablety i komputery. Przeciwko Polymarketowi, który działał bez licencji, wszczęto śledztwo. Mimo to Coplan był dobrej myśli. Dziennikarzom „New York Magazine" mówił: „Ludziom podoba się Polymarket. Nikogo nie oszukujemy, to, co zrobiliśmy, jest pożyteczne i solidne. Jestem optymistą".

I nie pomylił się! Po zaprzysiężeniu Trumpa koło fortuny się odwróciło: śledztwo zostało umorzone, „oficjalnym doradcą" Polymarketu został Donald Trump jr, syn prezydenta, który dodatkowo zainwestował w portal kilkadziesiąt milionów dolarów (dokładnej kwoty nie ujawniono). I nie była to decyzja czysto korupcyjno-biznesowa; Trump naprawdę lubi Polymarket, bo zapowiadał jego wyraźne zwycięstwo wbrew mediom głównego nurtu.

Co zabawne, Trump jr został też doradcą i inwestorem w Kalshi, który jest głównym konkurentem Polymarketu. Jest to podobny rynek predykcyjny, tylko że od początku w 100 proc. legalny, tzn. Kalshi aplikowało do rządu federalnego o licencję. Oba rynki są już partnerami dużych mediów: Polymarket związał się z „Wall Street Journal", a Kalshi z CNN i CNBC. Ceny opcji na rynkach predykcyjnych są pokazywane i omawiane podobnie jak ceny akcji na Wall Street. Tym sposobem Polymarket i Kalshi stały się oficjalnym, legalnym i popularnym w Ameryce źródłem informacji.

Dla odmiany w Europie pozostają nielegalne. Ale np. Francuzi penalizują tylko „organizatorów nielegalnego hazardu", a nie „hazardzistów". Dlatego Theo najprawdopodobniej zatrzymał wygraną, pomniejszoną o francuski podatek. W Polsce zostałby potraktowany dużo gorzej, bo nasze państwo pilnuje monopolu na hazard, udzieliło licencji tylko kilku zakładom bukmacherskim i ściga również „hazardzistów" grających w zakładach bez licencji. Polscy gracze na Polymarkecie, jeśli zostaną przyłapani, nie tylko stracą całą wygraną, ale mogą jeszcze zostać ukarani grzywnami idącymi w dziesiątki tysięcy złotych.

Krytycy rynków przewidywań ostrzegają, że mogą one być nawet zachętą do zbrodni. Kiedy w zeszłym roku wybuchły pożary lasów w Kalifornii, na Polymarkecie pojawiło się pytanie: „Czy pożar dotrze do Santa Monica do niedzieli?". Można sobie wyobrazić, że ktoś stawia milion na opcję „tak" i potem sam podpala las niedaleko Santa Monica. Zawsze będą też gracze, którzy obstawiają na podstawie nielegalnie zdobytych informacji, tak jak w przypadku Wenezueli. Tyle że z punktu widzenia Polymarketu legalność czy nielegalność informacji nie mają znaczenia. Tak czy inaczej jest to wartościowa informacja, tzn. powiększa wiedzę o świecie u wszystkich, którzy obserwują rynek przewidywań.

Niektórzy przestrzegają przed manipulacjami. Wyobraźmy sobie np., że w wyborach 2028 r. wiceprezydent J.D. Vance mierzy się z radykalną kandydatką Demokratów Alexandrią Ocasio-Cortez, która zapowiada „zerwanie relacji z brutalnymi dyktatorami Arabii Saudyjskiej". Tydzień przed wyborami opcja „Vance" na Polymarkecie i Kalshi nagle skacze do 80 centów. Wprawdzie sondaże nie potwierdzają takiego skoku popularności kandydata Republikanów, ale prognozy rynków predykcyjnych zaraz raportują CNN i CNBC. Trąbią o tym wszystkie media. Czy naprawdę J.D. Vance ma 80 proc. szans na wygraną, a sondażownie znowu się mylą? A może to saudyjski gigantyczny fundusz państwowy PIF stworzył kilkadziesiąt anonimowych kont na Polymarket i Kalshi i postawił kilkaset milionów, żeby wpłynąć na amerykańskich wyborców?

Są też obiekcje natury bardziej ogólnej. Czy naprawdę chcemy żyć w świecie, w którym milionerzy i miliarderzy mogą robić pieniądze z niczego, obracając na giełdzie coraz bardziej abstrakcyjnymi papierami, takimi jak kontrakty futures? Wykorzystując boty AI, które kilka razy na sekundę sprzedają i kupują waluty? Albo nawet nie handlują już samymi walutami, tylko „prognozami kursów walut"? To już się dzieje na Polymarket... Może jednak świat, w którym zarabia się pieniądze za realne produkty i realne usługi – za sprzedaż dobrych samochodów albo za wynalazki, które zmieniają na lepsze życie milionów ludzi – jest bardziej racjonalny, sprawiedliwy i bezpieczny?

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 2a79540d47

Wiedza do Życia

Sto lat temu „Wiedza i Życie” powstała z przekonania, że między światem nauki a codziennym doświadczeniem ludzi nie powinno być przepaści, że wiedza nie jest luksusem dla nielicznych, lecz narzędziem orientacji w rzeczywistości. Przez dekady miesięcznik pomagał Polkom i Polakom oswajać nowoczesność – od pierwszych wykrywaczy metali i mostów wiszących, przez bioinżynierię i komputery, aż po rewolucję cyfrową. Był przewodnikiem po świecie, który nieustannie przyspieszał i nie ma zamiaru przestać.

Gdy w 2020 r. przejęliśmy wydawanie najstarszego w Polsce (a zarazem jednego z najstarszych na świecie) popularnonaukowego pisma, było dla nas jasne, że jego misja pozostaje aktualna jak nigdy wcześniej. W czasach, gdy prawdy, półprawdy i kłamstwa krążą w tym samym obiegu informacyjnym, rzetelna popularyzacja nauki staje się nie tylko edukacją, lecz także formą społecznej odpowiedzialności i odporności.

Dziś „Wiedza i Życie” obchodzi swoje stulecie – jako pismo wyjątkowe, z historią splecioną z dziejami kraju, i wciąż potrzebne. Gratulujemy całemu zespołowi i życzymy kolejnych 100 lat! Niech dalej trzyma się mocno i – jak od wieku – rozjaśnia ludziom w głowach, zanim rzeczywistość zaczną nam wyjaśniać algorytmy, influencerzy albo politycy.

Numer 3/2026

KUP TERAZ

Już w sprzedaży w punktach z prasą

eprasa.pl 2a79540d47

Unia zbrojna

Guru niemieckich konserwatystów Hans-Werner Sinn wzywa kraje unijne, aby połączyły swe armie i poddały je wspólnemu dowództwu. Przekonuje, że to nie utopia, a konieczność.

ADAM KRZEMIŃSKI

Polska jest jednym z sześciu tzw. państw ramowych Eurokorpusu (sił szybkiego reagowania). Na fot.: **wspólne ćwiczenia w Drawsku Pomorskim.**

Europa się skrzykuje. Kanclerz Friedrich Merz na niedawnej Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa podtrzymał zapowiedź budowy największej armii w Europie jako fundamentu kontynentalnej obrony. Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen domaga się unijnych gwarancji wzajemnego bezpieczeństwa wzorowanych na tych natowskich. Prezydent Francji Emmanuel Macron zapowiada system europejskiego odstraszania nuklearnego oparty na francuskich bombach.

Niemiecki tygodnik „Der Spiegel" zilustrował to wszystko okładką, na której piątka rycerzy i rycerek wokół von der Leyen (nikt znad Wisły!) woła: „Donald, już dosyć tego!". Nawet zatwardziali suwereniści, dotychczasowi sojusznicy Donalda Trumpa w rozbijaniu Unii Europejskiej, czują się już niepewnie w wyścigu narodowych egoizmów z udziałem supermocarstw. Prawica ceni siłę, ale przecież nie z pozycji europejskiego zawalidrogi.

Nawet Alice Weidel, szefowa Alternatywy dla Niemiec, obrusza się na uwagę Trumpa o tchórzliwych Niemcach w Afganistanie i wytyka mu złamanie obietnicy wyborczej, że nie będzie ingerować w sprawy wewnętrzne innych krajów. Dla AfD przymilanie się Trumpowi czy Władimirowi Putinowi stało się kłopotliwe, bo aż 44 proc. jej sympatyków obawia się rosyjskiego ataku na Niemcy. Wygląda na to, że prawica nie jest już taka pewna korzyści z „twórczego chaosu" Trumpa.

Tradycyjni zaś konserwatyści coraz głośniej wzywają do jednoczenia Europy. Spośród całego wachlarza projektów dla Europy opublikowanych ostatnio w Niemczech chyba najdalej wychylił się ceniony i u nas monachijski ekonomista Hans-Werner Sinn. Swoją najnowszą książkę zatytułował demonstracyjnie „Trump, Putin und die Vereinigten Staaten von Europa" (Trump, Putin i Stany Zjednoczone Europy).

Zaprzepaszczone szanse

To widmo krąży po Europie dłużej niż „Manifest komunistyczny". Już w 1776 r., dokładnie 250 lat temu, George Washington pisał do markiza de la Fayette w Paryżu: „Zasialiśmy ziarno wolności i jedności, które z czasem zakiełkuje na całym świecie. Pewnego dnia na wzór Stanów Zjednoczonych powstaną Stany Zjednoczone Europy". Jednak przez kolejne stulecia w podzielonej Europie o dominację walczyły cesarstwa i państwa narodowe. A federacje – z wyjątkiem szwajcarskiej – rozpadały się lub były niszczone.

Sinn dobrze zna pokrętne dzieje Unii Europejskiej. Wprowadzenie euro krytykował za to, że eurowalucie nie towarzyszyła rzeczywista unia polityczna i fiskalna. I teraz wobec realnego rosyjskiego zagrożenia nalega na nadrabianie zapóźnień i łączenie rozdrobnionych – ale w sumie o wiele większych niż rosyjskie – zasobów gospodarczych i ludzkich Europy. Nie usprawiedliwia przy tym ani aneksji Krymu w 2014 r., ani rosyjskiego najazdu na Ukrainę w 2022 r., choć podziela pogląd wielu „rozumiejących Putina", że można było tego uniknąć, gdyby Zachód nie próbował „oderwać" Ukrainy od Rosji.

Teraz, argumentuje Sinn, Europa we własnym interesie musi wspierać Ukrainę, zbroić się i jednoczyć, jeśli nie chce zostać oko w oko z Rosją wzmocnioną po ewentualnym zajęciu Ukrainy i z coraz bardziej obojętną Ameryką, której prezydent o powiązaniach gospodarczych mówi językiem jawnej grabieży. A skoro *pax americana* dobiega końca, to w Europie powstaje próżnia bezpieczeństwa, którą z czasem wypełni Rosja – o ile zależne dziś od amerykańskiego uzbrojenia, logistyki i dalekiego wywiadu państwa europejskie nie zapewnią sobie własnych zdolności strategicznych.

Wojna w Ukrainie pokazała kluczową rolę nowoczesnej broni konwencjonalnej. Same drony, rozpoznanie satelitarne, precyzyjne uderzenia dalekiego zasięgu czy nawet jądrowy straszak nie wygrywają wojny. Ostatecznie liczy się kontrola terytorium, a więc wojska lądowe, transport, logistyka i trwałe zdolności klasycznego przemysłu zbrojeniowego. Bo przecież kręgosłupem każdej armii pozostają pojazdy z silnikami spalinowymi.

Zatem zbrojenia wymagają utrzymania klasycznego przemysłu motoryzacyjnego, petrochemii i paliw kopalnych. I dlatego Sinn, zdecydowany konserwatysta, nie ma zrozumienia dla gospodarki opartej

eprasa.pl 2a79540d47

© EUROCORPS

głównie na usługach i wyrafinowanej polityki klimatycznej.

Autor pisze wprost, że jeśli Europa chce w sprawach bezpieczeństwa działać szybko i przekonująco, to powinna jak najszybciej połączyć swoje armie i poddać je wspólnemu dowództwu. Ta federacja obronna powinna być otwarta dla wszystkich europejskich krajów NATO i UE. Jednak ze względu na zróżnicowany stosunek państw unijnych do wojny w Ukrainie potrzebny jest silny inicjatywny „rdzeń".

Armia parlamentarna

Sinn wyobraża sobie, że taką inicjatywę mogłaby podjąć „koalicja chętnych" pomocy Ukrainie: Francja, kraje skandynawskie i bałtyckie, Polska, Czechy, Holandia, Niemcy... Europejska federacja obronna byłaby zintegrowana z NATO i UE. Jej tworzenie – podobnie jak unia walutowa, traktat z Schengen czy pakt stabilności euro wspierający finansowo Grecję i inne kraje – nie wymagałoby akceptacji wszystkich państw.

Państwa członkowskie federacji obronnej zachowałyby swoje krajowe i lokalne siły policyjne. Jednak całą broń, sprzęt wojskowy oraz żołnierzy – w liczbie proporcjonalnej do wielkości kraju – przekazałyby euroarmii legitymizowanej przez specjalnie w tym celu utworzony zarząd odpowiedzialny wyłącznie za bezpieczeństwo zewnętrzne Europy. Dwuizbowy parlament wybierałby prezydenta będącego cywilnym zwierzchnikiem tych zjednoczonych sił zbrojnych. Prezydent mógłby działać szybko, ale musiałby z miejsca dostawać zgodę parlamentu. Byłaby to więc armia parlamentarna, demokratycznie zorganizowana, zdolna do działania, a zarazem zakorzeniona w systemie federalnym.

W tym układzie problemem byłaby oczywiście francuska broń atomowa, która wraz z jej obsługą musiałaby się znaleźć w gestii nowej federacji. Czy to realne? Macron już w 2018 r. proponował europejskie współfinansowanie *force de frappe*, na co Angela Merkel nie zareagowała. Mimo obecnych wizji wspólnego odstraszania nuklearnego trudno sobie wyobrazić, żeby Francja była gotowa przekazać europejskiej federacji swoje „narodowe patrymonium", jak inni swoje furażerki. Ale w tym punkcie Sinn jest zdania, że Francję trzeba po prostu przekupić.

Niemiecki ekonomista uważa, że taką federację obronną można stworzyć w ciągu kilku lat. Decyzję o unii walutowej podjęto w 1988 r., traktat z Maastricht podpisano w 1991 r., a fizyczne euro wprowadzono w 1999 r. Organizacyjnie to możliwe, ale warunkiem jest polityczna wola. Niewykluczone – kusi Sinn – że stworzenie, jak sam to nazywa, Związku Europejskiego ułatwiłoby reintegrację z kontynentem Wielkiej Brytanii, a nawet integrację Szwajcarii.

A gdzież te tytułowe Stany Zjednoczone Europy? Droga do nich prowadzi właśnie przez federację wojskową – odpowiada w posłowiu Sinn. Na razie Europie potrzebny jest choćby tymczasowy pokój, by zbudować skuteczne zdolności odstraszania (Rosji). Czas się obudzić, pisze Niemiec. Związek Europejski nie będzie jeszcze Stanami Zjednoczonymi Europy, ale stabilne dowództwo nad euroarmią pomoże utrzymać rosyjskiego niedźwiedzia w ryzach.

Europejska federacja obronna to nie pożerający wszystko Lewiatan. Europa państw narodowych długo jeszcze będzie zasadą naczelną. Jednak pozostawienie spraw militarnych państwom narodowym grozi katastrofą – kończy Sinn. Obrona zachodniej i środkowej Europy jest dobrem publicznym, z którego korzysta wiele państw, zatem powinna być wspólnym zadaniem.

A co z Rosją? Nikt w Europie nie chce jej powalić, co zresztą wobec mocarstwa nuklearnego jest niemożliwe. Europa będzie dostarczać Ukrainie pieniądze i broń niezależnie od tego, czy euroarmia powstanie. Jednak jej istnienie może spowodować, że Rosja przestanie przeć łakomie na Zachód.

Polacy i federaści

Esej Sinna czytany przez polskie okulary ma wiele klasycznych „zachodnioeuropejskich" uproszczeń i luk w ocenie tutejszej części Europy. Jednak dla naszych suwerenistów powinien być godny uwagi także dlatego, że przecież sam Jarosław Kaczyński wielokrotnie w przeszłości wypowiadał się za utworzeniem armii europejskiej.

W 2010 r. prezes Prawa i Sprawiedliwości mówił niemieckiemu tygodnikowi „Welt am Sonntag", że „Unia musi zdobyć się na stworzenie wspólnej armii i zadanie to nie może być nieustannie odkładane". Powtarzał to też w kraju „Gościowi Niedzielnemu" w 2011 r.: „Jesteśmy za Europą, która będzie posiadała własne silne i sprawne siły zbrojne podlegające prezydentowi Unii Europejskiej. Dawałoby to Unii rzeczywistą pozycję światowego mocarstwa".

Dziś Kaczyński pewnie próbowałby tych słów się wyprzeć, ale inni – także zdeklarowani europejscy konserwatyści – coraz częściej mówią o wspólnej euroarmii. ■

eprasa.pl 2a79540d47

Mediolańska katedra, jeden z największych kościołów świata

Na kolano przed Milano!

Dzięki zimowym igrzyskom tłumy kibiców poznały, co to Mediolan – najnowocześniejsze z włoskich miast. I najbardziej niewłoskie.

PIOTR PODEMSKI

Przy okazji zimowych igrzysk olimpijskich Włosi znów udowodnili, że są mistrzami spektaklu. Co prawda wielu krytyków orzekło, że podczas ceremonii otwarcia Mariah Carey sprofanowała włoski przebój „Volare", ale za magiczne uznano wykonanie hymnu narodowego „Bracia Włosi" przez rodzimą gwiazdę Laurę Pausini oraz zakończoną dobrą wróżbą dla sportowców (Vincerò! – „Zwyciężę!") arię z opery „Turandot" Pucciniego w interpretacji Andrei Bocellego.

Głównym hasłem imprezy, rozgrywanej również w alpejskim kurorcie Cortina d'Ampezzo, była „harmonia" stanowiąca odniesienie do polifonicznej historii i kultury Włoch – „kraju tysiąca dzwonnic", jak określiła go w swym przemówieniu premier Giorgia Meloni.

Jedną z najsłynniejszych włoskich „dzwonnic" jest zaś niewątpliwie katedra w Mediolanie, mieście o rodowodzie rzymskim (Mediolanum), z ugruntowaną świadomością wieków własnej państwowości (wolna republika kupiecka opierająca się cesarzom i papieżom, a potem księstwo Viscontich i Sforzów). A nad wszystkim góruje z najwyższej iglicy katedry słynna Madonnina, złoty posąg Matki Boskiej, opiewana w znanej piosence w dialekcie lombardzkim jako ta, która „rządzi Mediolanem", a „u jej stóp przeżywa się życie". I igrzyska.

Witajcie na Północy!

Współczesny Mediolan kojarzy się jednak pozostałym Włochom, zwłaszcza tym z południa, podobnie jak Polakom Warszawa, a Amerykanom – Nowy Jork. W kultowej włoskiej komedii „Witajcie na Północy" przybysze z Neapolu są święcie przekonani, że krajobraz miejski, jaki ukazuje się ich oczom, to surrealistyczna wizja propagandowa nowoczesności.

Taksówkę prowadzi kobieta („w Mediolanie kobiety czasem całują się ze sobą"), która każe im zapiąć pasy, „z tyłu też, bo tak nakazuje kodeks drogowy". Wszyscy bez wyjątku kierujący typowo włoskimi *motorini* mają na głowach kaski, co wzbudza szydercze pytania południowców o to, czy może zakładają je także, jeżdżąc na rowerach. I w tym momencie ich oczom ukazuje się rodzina cyklistów z dziećmi, a jakże, z kaskami na właściwym miejscu.

Kiedy jeszcze na chodnikach widać, w równych parach, trzymających się za ręce uczniów w szkolnych mundurkach, a mieszkanka Mediolanu sprząta trawnik po swoim psie – Neapolitańczycy wybuchają zgodnie gromkim śmiechem, wykrzykując do tubylców, że pokazówki trzeba chociaż umieć urządzać przekonująco (i nie należy przesadzać).

Mieszkańcy Mediolanu mają bowiem w reszcie kraju opinię najdoskonalszych wcieleń północnowłoskich *polentoni*, „zjadaczy polenty", czyli bladych i mdłych jak włoska wersja mamałygi nudziarzy, którym brak za grosz właściwej Włochom fantazji i uroku w sztuce bycia, zabawie, aktorstwie, tańcu, kuchni i... alkowie. „Kocham cię, ale za pięć minut mam *meeting*, więc streszczajmy się!" – mówi do partnerki stereotypowy mediolański kochanek.

Równie wyrafinowanie brzmi opis najbardziej tradycyjnego dania o wymawianej nieco z niemiecka nazwie *cassœula*:

eprasa.pl 2a79540d47

to kapusta z tłustą wkładką mięsną w postaci m.in. świńskich nóżek, uszu i ryja (podawana najczęściej z polentą). Nieakceptowalna dla współczesnych Mediolańczyków, jako stałych bywalców siłowni i wielbicieli wegańskiego slow foodu w nurcie bio, dieta ich przodków związana była z podalpejskim klimatem, kojarzonym przez innych Włochów z przejmującym zimnem i wieczną mgłą.

Powiedzenie „czas to pieniądz" traktowane jest tu – zdaniem kpiarzy – całkowicie dosłownie. Zabiegany autochton (*Milanese imbruttito*) posługuje się swoistym slangiem, Milanglish, wtrącając ciągle angielskie słówka, takie jak *briefing*, *call*, *conf* czy *office*. Jako jedyny możliwy termin załatwiania spraw uznaje *Asap*, a największym fetyszem jest słowo *efficienza* (wydajność). Słowem – zdaniem reszty Włochów – Mediolańczycy może i potrafią pracować, ale nie potrafią żyć!

Do roboty!

Dość bezpieczne stwierdzenie, że na Mediolanie wyzłośliwia się cały kraj, ma jednak również swoje lustrzane odbicie. Mediolańczycy bywają bezlitośni wobec przybyszów spoza wielkiego miasta, którzy nie ogarniają korporacyjnej rzeczywistości lombardzkiej metropolii. Jak można pić kawę przez 20 minut? – bulwersuje się prawdziwy *imbruttito*. Odrazę potrafili tu budzić gastarbeiterzy z dalekiego południa, np. Sycylii. Słynne stały się tabliczki na bramach kamienic: „Nie wynajmujemy południowcom".

Przybyszom odróżniającym się od Mediolańczyków nie tylko strojem, ale i akcentem czy manierami, nieraz zdarzyło się usłyszeć bezczelne: „Do roboty, brudasie!" (*Va' a laurà, terrùn*). Na miano *pirla*, lekko rzucanego przez Włochów z północy określenia męskiej części ciała, łatwo zarobić nawet za to, że nie posiada się nadmorskiej willi w Ligurii. Południowcy będą z kolei kpić, że największe atrakcje turystyczne Mediolanu to Bovisa (upadła dzielnica przemysłowa) i Idroscalo (sztuczne jezioro nazywane czasem „mediolańskim morzem").

Prawda jednak jest taka, że dzisiejsza stolica Lombardii odgrywała i odgrywa fundamentalną rolę w życiu Italii. To tutaj cesarz Konstantyn wydał słynny edykt tolerancyjny kładący kres prześladowaniom chrześcijan w Imperium Rzymskim. Już w średniowieczu Mediolan stał się heroldem włoskiej wolności, prowadząc wojska niezależnych miast do zwycięskiej bitwy z Niemcami pod Legnano (1176 r.). To przy mediolańskim Kościele Santa Maria delle Grazie można zobaczyć „Ostatnią wieczerzę" Leonarda da Vinci.

Wyliczać można dalej. Teatro alla Scala pozostaje niedoścignionym wzorem dla całej światowej opery. To w Mediolanie zaczęła się i skończyła (powieszeniem za nogi trupa Mussoliniego na nieistniejącej dziś stacji benzynowej przy Piazzale Loreto) historia włoskiego faszyzmu. To tu urodził się i umarł (w prywatnym szpitalu z widokiem na zbudowane przez jego własną firmę osiedle) największy we Włoszech polityczny magik (czy hochsztapler?) Silvio Berlusconi.

Mediolan jest też bez dwóch zdań centrum włoskiego życia gospodarczego. Elitarny, prywatny uniwersytet Bocconi kształci najlepszych ekonomistów w kraju, którzy wprawiają następnie w ruch mediolańską giełdę. Przed jej gmachem – jako przykład włoskiej przewrotności – stoi słynna rzeźba Maurizio Cattelana: dłoń z wyprostowanym środkowym palcem, wyraz społecznej pogardy wobec rekinów finansjery po kryzysie w 2008 r.

Osobną gałąź mediolańskiego biznesu stanowi słynny Czworobok Mody wokół Via Montenapoleone (Armani, Dolce & Gabbana, Prada i Versace). Poza tymi arbitrami elegancji punktem odniesienia dla mediolańskich menedżerów pozostaje zmarły w 2018 r. Sergio Marchionne, dawny dyrektor generalny Fiata, Ferrari i Chryslera, który zasłynął m.in. tym, że ubierał się wyłącznie w czarne swetry, gdyż – jak tłumaczył – szkoda mu było czasu na wybieranie stroju. Prawdziwie mediolańska *efficienza*!

Pociąg do Rzymu

Ta trzymilionowa metropolia, według krytyków zatłoczona znerwicowanymi pracoholikami, znajduje się w czołówce miast o najwyższej w kraju jakości życia, według raportu dziennika biznesowego „Il Sole 24 Ore". Respondenci doceniają wysokie dochody i dostępność miejsc pracy, ale także ofertę kulturalną, skarżąc się na wysokie ceny nieruchomości, problemy środowiskowe (smog!), a przede wszystkim – na rosnącą przestępczość.

Współczesny Mediolan – jak i inne wielkie miasta Europy Zachodniej – podlega bowiem głębokim zmianom. Z jednej strony powstają ekologiczne budynki – jak słynny, tonący w zieleni Pionowy Las w dzielnicy Porta Nuova. Z drugiej – nowe pokolenia odrzucają, jak określono to na polskim gruncie, „kulturę zap...dolu".

Słynny bard Lucio Dalla już kilka dekad temu widział to kosmopolityczne miasto jako „bliskie Europie, co się śmieje i bawi, a kiedy płacze, to na poważnie, zadaje pytania po niemiecku, a odpowiada po sycylijsku". Dziś głosem młodych Mediolańczyków są raczej popularni raperzy Mahmood i Ghali (wystąpił na ceremonii otwarcia igrzysk) – pierwszy pochodzenia egipskiego, a drugi tunezyjskiego.

Najlepiej bodaj w gust swego pokolenia trafił jednak Dargen D'Amico, gdy w 2022 r. wykonał na festiwalu w San Remo piosenkę z apelem do ziomków: „Pieprz to wszystko i tańcz!", dodając: „Jutro nie pracuję i śpię cały dzień".

Nie zmienia to faktu, że Neapolitańczycy i Rzymianie nadal dworują sobie w mediach społecznościowych: „Mediolan jest piękny..., kiedy wyjeżdżasz" czy „Najpiękniejsze, co można zobaczyć w Mediolanie, to pociąg odjeżdżający do Rzymu". Tymczasem – jak zauważano już wiek temu w popularnej piosence o Madonninie – południowcy w swych rzewnych pieśniach „zawodzą, że z dala od Neapolu nie da się żyć, a potem... przyjeżdżają do Mediolanu!".

Jeśli bowiem liczba ludności lombardzkiej metropolii przez ostatnie sto lat się podwoiła, to przede wszystkim za sprawą masowej imigracji – kiedyś z włoskiego południa, a dziś dodatkowo z Afryki i Azji (cudzoziemcy to obecnie ok. 20 proc. mieszkańców, najwyższy odsetek we Włoszech).

Jednak w oczach polskiego turysty czegoś tu będzie brakowało. Kursujące po centrum pomarańczowe tramwaje z drewnianymi ławkami pochodzą z czasów Mussoliniego i w Warszawie już dawno zostałyby zapewne wymienione na nowy tabor ze środków unijnych.

Miasto może być czyste i funkcjonalne w porównaniu z Neapolem czy Rzymem, ale daleko mu do Skandynawii. Można by zatem narzekać, że Mediolan – nie oferując w pełni zdobyczy cywilizacyjnych europejskiej północy – nie pozwala też doświadczyć tak docenianej przez Polaków typowej włoskiej żywiołowości. Dobrze przynajmniej, że nasi przywieźli stamtąd medale.

Podsumowanie igrzysk na s. 88.

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

TOMASZ TARGAŃSKI

Fizyka buntu

Czy rewolucje mają twarde prawa? Czy można je wyrazić w formie eleganckiego matematycznego wzoru? Wielu naukowców twierdzi, że tak.

Rewolucje i powstania zawsze postrzegano jako terytorium rządzone przez chaos, gdzie o losach narodów decydują niemierzalne czynniki, jak charyzma liderów, legitymacja władzy czy nastroje społeczne. I o ile tłumaczyły one, dlaczego ludzie wychodzą na ulice, o tyle same w sobie nie dawały twardych informacji pozwalających przewidzieć, czy rewolucja dojrzewa i kiedy może wybuchnąć. Na szczęście ostatnimi laty kilku naukowców podjęło ryzyko opisania parametrów rewolucji.

Ze wsi do miast

Aby spośród chaosu wyłoniło się jakieś prawo, trzeba przyjąć możliwie najszerszą perspektywę i szukać czynników w skali makro. Właśnie tą drogą poszedł Mark R. Beissinger, politolog

eprasa.pl 2a79540d47

„Wolność wiodąca lud na barykady", obraz Eugène'a Delacroix budzi dziś emocje co najwyżej w paryskim Luwrze

© TERENCE WAELAND/ALAMY/BE&W

z uniwersytetu w Princeton, który w książce „The Revolutionary City" stawia tezę, że w zurbanizowanym społeczeństwie rewolucja może dojść do skutku wyłącznie w mieście.

Na podstawie analizy 343 „rewolucyjnych epizodów" na całym świecie w latach 1900–2014 buduje frapującą teorię. Zauważa, że wraz z masowymi migracjami (w 1900 r. w miastach mieszkało zaledwie 13 proc. ludności świata – dziś jest to ponad 54 proc.) rewolucja stała się zjawiskiem ściśle związanym z przestrzenią miejską. Wraz z urbanizacją zmienił się też jej charakter. Dawniej bunty rodziły się przede wszystkim na wsi, w bezpiecznej odległości od centrum władzy. Również przez dużą część XX w. były to ruchy quasipartyzanckie, a ich strategią było odbijanie z rąk rządowych kolejnych prowincji. W tym scenariuszu zbrojny atak na stolicę stanowił już tylko *coup de grâce*. Jednak wraz z globalną urbanizacją doszło do swoistego przekształcenia agrarnego buntu w miejską rewolucję obywatelską. Inaczej niż sto lat temu dziś do antyrządowych buntów najczęściej dochodzi wśród ludzi o średnich lub nieco niższych niż średnie dochodach, a powodem nie jest skrajna bieda, lecz brak perspektyw na przyszłość.

Z wyliczeń Beissingera wynika również, że w miejskiej scenerii rośnie prawdopodobieństwo zwycięstwa rewolucji. Na początku XX w. tylko co czwarte wystąpienie społeczne kończyło się obaleniem dotychczasowego rządu. W 2014 r. „wskaźnik sukcesu" uległ podwojeniu, sięgając 48 proc. Dlaczego miasto miałoby tak sprzyjać społecznym wybuchom? Poza oczywistymi czynnikami, jak duża gęstość zaludnienia czy wielość różnorodnych sieci i hierarchii społecznych, do głosu dochodzi jeszcze jeden element: to właśnie w miastach – zwłaszcza w stolicach – „gęstość" państwa w każdej jego formie jest największa. To tu znajduje się jego ośrodek nerwowy (reprezentowany przez centra komunikacji i agendy rządowe). Jest to również miejsce, gdzie siła sprawcza państwa – tzw. resorty siłowe – jest największa. Poza tym w mieście państwo widzi najwięcej.

I tu rodzi się pewien paradoks. Uczestnicy protestów są narażeni na szybki odwet, ale i rząd musi liczyć się z błyskawiczną reakcją na swoje posunięcia. A rozwój technologii cyfrowych przyspiesza te procesy, umożliwiając koordynację działań w czasie rzeczywistym i natychmiastowe nagłaśnianie aktów brutalności władzy. Żadna ze stron nie ma „poduszki bezpieczeństwa", jaką dawniej zapewniała odległość dzieląca obie strony sporu. Ten dystans pozwalał obniżyć temperaturę konfliktu i dawał czas na naprawienie popełnionych błędów.

Kolejną cegiełkę do teorii o mieście jako „rewolucyjnym szybkowarze" dołożyli autorzy badania opublikowanego w 2018 r. na łamach „Scientific Reports". Zespół naukowców pod kierownictwem Laurenta Bonnasse-Gahota wykorzystał zamieszki we Francji w 2005 r., aby stworzyć model rozprzestrzeniania się buntu. Okazało się, że kluczową rolę odgrywa bliskość stacji metra i węzłów komunikacyjnych.

Szukając analogii w świecie natury, Beissinger porównuje miejskie rewolucje z huraganami. Także one sprawiają wrażenie, jakby były przypadkowe, ale w rzeczywistości mają określoną strukturę. Powstają jako niewielkie zaburzenia pogodowe nad oceanem. O tym, czy uformują się w huragan, decyduje nieskończenie wiele czynników – większość tych zaburzeń nigdy nie dociera do lądu bądź są rozrywane przez wiatr jeszcze nad oceanem. Z jednej strony jest to więc proces dynamiczny, trudny do przewidzenia, ale z drugiej istnieją pewne wzorce, które da się opisać. Podobnie rewolucje – są zdarzeniami ustrukturyzowanymi, lecz to, czy się rozwiną, zależy od niezliczonych chaotycznych interakcji między ludźmi.

Uniwersalna stała?

Jeśli przyjmiemy, że rewolucje nie są splotem zbiegów okoliczności, lecz procesem o określonej strukturze, a społeczeństwo w stanie wrzenia zachowuje się jak układ fizyczny, trzeba zapytać, gdzie znajduje się punkt krytyczny. W fizyce przejście fazowe – np. zmiana wody w parę – następuje po osiągnięciu określonej temperatury.

Badania opublikowane w 2011 r. sugerują, że w przypadku rewolucji takim „punktem wrzenia" jest mobilizacja 3,5 proc. ludności. Autorki – Erica Chenoweth i Maria Stephan – poddały analizie ponad 300 konfliktów wewnętrznych i masowych ruchów społecznych w latach 1900–2006. Szukając odpowiedzi na pytanie o „punkt wrzenia", zestawiały dane dotyczące PKB, stopnia cenzury, typu reżimu oraz polaryzacji etnicznej i religijnej. Okazało się, że żadne ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ warunki strukturalne – od biedy po brutalność represji – nie przesądzają, czy rewolucja zakończy się sukcesem czy porażką. Kluczowa jest strategia. Wyniki pokazały, że ruchy niestosujące przemocy mają dwukrotnie większą szansę na sukces i zmianę rządu niż zbrojne rewolucje. Głównym powodem jest „niższy próg wejścia": mniejsze prawdopodobieństwo utraty życia czyni uczestnictwo w ruchu bardziej atrakcyjnym dla „zwykłych ludzi".

Pisząc o zaangażowaniu 3,5 proc. ludności, autorki nie miały na myśli pojedynczego wydarzenia (np. wielkiego marszu), lecz stałą aktywność, czynny udział przez dłuższy czas. Dlaczego akurat 3,5 proc.? Bo im więcej osób odmawia posłuszeństwa, tym słabsza staje się władza. To również moment, w którym opór staje się zbyt kosztowny, by państwo mogło go zdusić. „Zasada 3,5 proc." zrobiła wielką karierę i zaczęła pełnić funkcję uniwersalnej stałej. Czas jednak pokazał, że bardziej niż twardym prawem jest ona co najwyżej wskazówką. Seria antyrządowych protestów w Bahrajnie w 2011 r. spełniała te warunki (ruch był pokojowy, a w szczytowym punkcie na ulice wyszło prawie 6 proc. ludności kraju), jednak zakończyła się niepowodzeniem.

Badania Chenoweth bez wątpienia zazębiają się z wnioskami Beissingera – tylko w dużej metropolii możliwa jest mobilizacja 3,5 proc. populacji. Jeśliby więc poważnie potraktować koncepcję fizyki społecznej, której powstanie na początku XIX w. postulował historyk francuski Claude-Henri de Saint-Simon, te twarde parametry mogłyby wejść w skład „wzoru na rewolucję".

W 2019 r. Chenoweth w jeszcze większym stopniu zapuściła się na terytorium nauk ścisłych. W publikacji na łamach „Nature Human Behaviour" zaproponowała pojęcie „pędu społecznego" (ang. *social momentum*). Jak twierdzi, jedno z podstawowych praw fizyki (pęd = masa x prędkość) można zastosować do analizy ruchów społecznych. W tym układzie „masą" jest liczba osób biorących aktywny udział w wydarzeniach, „prędkością" zaś koncentracja protestów w czasie.

Chenoweth postawiła tezę, że nawet ruchy o niskiej „masie", ale dysponujące wysoką „prędkością", mogą uzyskać „pęd" potrzebny do wywołania zmian społecznych. Działa tu prosta, niemal mechaniczna zasada: ustrój polityczny poddany codziennym, wielokrotnym uderzeniom traci sprężystość i pęka wskutek zmęczenia materiału. Jest to model bardziej dynamiczny niż sztywny „próg 3,5 proc."; znacznie lepiej oddający charakter rewolucji, które nie są jednorazowym wydarzeniem, lecz długotrwałym procesem, gdzie kluczową rolę odgrywają przepływy ludzi i cykle mobilizacji.

Punkt krytyczny

Jeśli Chenoweth przewiduje, kiedy może nastąpić „punkt wrzenia", a Beissinger mówi, gdzie woda wykipi, to badania Marco Lagiego z New England Complex Systems Institute (NECSI) starały się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w ogóle zaczyna wrzeć. Jego zespół w 2011 r. przeanalizował arabską wiosnę ludów, szukając przyczyn wybuchu nie w ideologiach, lecz w twardych danych ekonomicznych, traktując społeczeństwo jak układ fizyczny reagujący na bodźce zewnętrzne.

Szukając wskaźnika, który byłby możliwie najszerszy, czyli znajdował zastosowanie do wszystkich krajów, autorzy zwrócili się ku cenom żywności. Skonstruowali model oparty na indeksie FAO (agendy ONZ ds. wyżywienia i rolnictwa), który monitoruje globalne zmiany cen koszyka podstawowych produktów spożywczych. Analizując jego wahania na przestrzeni kilku dekad i zestawiając je z wybuchami niezadowolenia społecznego, odkryli uderzającą korelację. Zaburzenia nie pojawiały się losowo, lecz wtedy, kiedy indeks FAO gwałtownie szybował w górę. „Punktem wrzenia" była zaś bariera 210 pkt. Wtedy prawdopodobieństwo wybuchu zamieszek na tle politycznym gwałtownie rosło.

Model Lagiego spotkał się z krytyką, ponieważ brał pod uwagę globalne ceny surowców, które nie zawsze przekładają się bezpośrednio na lokalne ceny w sklepach. Inni zauważali, że niepokoje społeczne mogą same w sobie destabilizować rynki, co prowadzi do wzrostu cen, tworząc błędne koło. Mimo wszystko badanie pozostaje jedną z nielicznych prób szerokiej kwantyfikacji społecznego gniewu. Pokazało, że istnieją obiektywne warunki progowe, po których przekroczeniu nawet pozornie najstabilniejsze autorytaryzmy mogą runąć.

Zamieszki na przedmieściach Paryża po zastrzeleniu nastolatka przez policjanta, czerwiec 2025 r.

Ceny żywności nie wyjaśniają jednak innej osobliwości rewolucji: dlaczego jedne wybuchają z powodu pojedynczego, pozornie „błahego" incydentu (jak samospalenie ulicznego sprzedawcy w Tunezji), a inne mimo wielkiej skali opresji nigdy nie dochodzą do skutku? W sposób pośredni odpowiedź na to pytanie starali się znaleźć Jan Korbel, Shlomo Havlin i Stefan Thurner, związani z wiedeńskim Complexity Science Hub. W artykule na łamach „Nature Communications" nie odwoływali się wprost do rewolucji, lecz zaproponowali, by spojrzeć na wielkie procesy społeczne jak na przejścia fazowe mieszanego rzędu.

Tłumaczą w nim, że nagła zmiana makroskopowa (np. upadek rządu) jest zwykle poprzedzona długotrwałymi, niewidocznymi gołym okiem zmianami na poziomie mikroskopowym. Mogą to być napięcia wewnątrz hierarchii władzy albo niepozorne zmiany nastrojów społecznych. Właśnie takie mikroskopijne procesy o charakterze kaskadowym stopniowo podmywają fundamenty systemu. Wówczas pozornie nieistotne wydarzenie – jak samospalenie ulicznego handlarza – uruchamia potężną reakcję łańcuchową.

Wszystko to nie oznacza, że rewolucje rządzą się twardymi prawami. Procesy urbanizacyjne, indeksy cen żywności albo pęd społeczny to bez wątpienia pomocne prognostyki, ale społeczeństwo nie jest układem fizycznym. Mimo ogromnego postępu analizy danych ilościowych ludzka psychika, kody kulturowe i nieprzewidywalność jednostkowych wyborów to elementy, których nie da się wtłoczyć w żadne równanie. Na zunifikowaną teorię rewolucji przyjdzie nam więc chyba jeszcze poczekać.

TOMASZ TARGAŃSKI

© MOHAMMED BADRA/EPA/PAP

eprasa.pl 2a79540d47

Wykopaliska na stanowisku Canhasan w środkowej Turcji odsłoniły jedną z najstarszych ulic świata.
Poniżej: w trakcie prac znaleziono lustro z wypolerowanego obsydianu sprzed 8,5 tys. lat.

Po drugiej stronie lustra

Od Narcyza pochylonego nad taflą jeziora po selfie – historia zwierciadeł to opowieść o tym, jak obraz przejmował władzę nad naszymi wyobrażeniami o samych sobie.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Narcyz, syn nimfy i boga rzeki, był tak urodziwy, że wszyscy zakochiwali się w nim od pierwszego wejrzenia. On sam jednak pozostawał obojętny. Niestety, gdy odrzucona nimfa Echo zanikła z rozpaczy, ziściła się przepowiednia wróżbity Tejrezjasza. Młodzieniec zakochał się bez pamięci w wizerunku własnej twarzy odbitym w tafli jeziora. Za każdym razem, gdy wkładał rękę do wody, obraz znikał. W końcu Narcyz zamienił się w patrzący w toń kwiat. Ten grecki mit znamy jako opowieść o próżności, ale dotyczy także relacji między ja a obrazem. Otwiera też dzieje lustra i naszego uwikłania w los Narcyza. Odbicia rządzą nami coraz silniej.

Przedmiot magiczny

W końcu 2025 r. na stanowisku Canhasan tureccy archeolodzy natrafili na liczące 8,5 tys. lat lustro z wypolerowanego obsydianu, zaledwie 500 lat młodsze od najstarszych okazów ze słynnego Çatalhöyük. We wczesnoneolitycznych osadach środkowej Turcji znaleziono

dotychczas 56 tych przedmiotów, co potwierdza, że wytwarzanie najstarszych kamiennych zwierciadeł było anatolijską innowacją, zakorzenioną w lokalnej tradycji i wiedzy technologicznej.

Na podstawie badań półfabrykatów znalezionych w warsztacie kamieniarskim w Tepecik Çiftlik w Kapadocji archeolożka Alice Vinet doszła do wniosku, że proces produkcji miał co najmniej osiem etapów, z których każdy wymagał specjalistycznej wiedzy i umiejętności. Jednak funkcja owych luster nadal pozostaje tajemnicą. Mogły służyć do przeglądania się albo zwiększania zasięgu poświaty ognia (jak – przypuszczalnie – w przypadku metalicznych zwierciadeł stosowanych na latarni na Faros), ale też jako przedmioty symboliczne, związane z tożsamością, statusem, duchowością, rytuałami czy magią. Obecność obsydianowych luster w grobach i depozytach ofiarnych sugeruje, że miały znaczenie nie tylko użytkowe. W końcu zwierciadło było obiektem tajemniczym – zdawało się więzić zamglone i zniekształcone odbicie w dziwnym świecie po drugiej stronie.

W starożytnym Egipcie lustra z brązu lub stopów miedzi miały formę okrągłych tarczek z uchwytami w kształcie lotosu, papirusu, postaci kobiecych, co już wskazywało na ich związek ze sferą kobiecą: urodą, zmysłowością i płodnością. I to zarówno w sensie kosmetycznym, jak i symbolicznym, ponieważ lustro było atrybutem bogini Hathor, patronki miłości, muzyki i rodziny. Dlatego poza ▶

© FACEBOOK, CANHASAN ARCHAEOLOGICAL EXCAVATION TEAM

eprasa.pl 2a79540d47

▶ praktyczną funkcją grało też rolę amuletu, który zabrany do grobu miał gwarantować zmarłemu odzyskanie twarzy w zaświatach i cielesne przyjemności.

W Chinach lustra z brązu nie miały rączek, jednak na rewersach były bogato zdobione i opatrzone inskrypcjami odwołującymi się do długowieczności, porządku świata, harmonii i cykli czasu, co podkreślało ich prestiżową i magiczną funkcję. W Grecji i Rzymie poza zwykłymi lustrami pojawiają się znacznie bardziej intymne, zamykane niczym puderniczki lusterka kasetkowe. Ale i ich pokrywki zdobią motywy związane z urodą, miłością i płodnością, co czyni z nich luksusowy gadżet talizman.

W I w. n.e. Rzymianie wymyślili lustra szklane – cienkie płytki ze szkła z metalową warstwą ołowiu lub cyny od spodu – ale i w nich obraz był jeszcze ciemny, zniekształcony i niestabilny. Przełom nastąpił w renesansie.

Symbol statusu

W średniowieczu na wyspie Murano na lagunie weneckiej powrócono do antycznych technik produkcji luster z cienkiego szkła z metalicznym podkładem. Rewolucją było wynalezienie ok. 1507 r. amalgamatu cyny i rtęci. Na cienką taflę szkła (*cristallo*) nanoszono od spodniej strony warstwę cyny, a następnie zalewano ją rtęcią, tworząc jednolite metaliczne tło. Po raz pierwszy w historii odbicie w dużych taflach stało się względnie jasne, stabilne i powtarzalne. To miało konsekwencje poznawcze, bo dawało iluzję większej kontroli nad wizerunkiem.

Zmiana technologiczna i myśl humanistyczna, stawiająca w centrum człowieka i jego ciało, doprowadziły do narodzin nowej wizualnej tożsamości. Stąd moda na pozowane, a tym samym na coraz bardziej oddające podobieństwo portrety i autoportrety. Artyści, patrząc w lustro, mogli zarządzać czyimś i swoim wizerunkiem, wybierając kąt, światło, gest czy wyraz twarzy, która stała się znakiem rozpoznawczym. Oczywiście dotyczyło to elit, bo zarówno portrety, jak i lustra weneckie były bardzo drogie. W dodatku produkcja zwierciadeł była niebezpieczna, bo w amalgamacie używano silnie toksycznej rtęci. Za jakość odbicia twarzy bogaczy bezimienni szklarze płacili własnym zdrowiem, a nawet życiem.

Technologia produkcji weneckich zwierciadeł była strzeżonym sekretem przez ponad półtora wieku, bo tylko ona umożliwiła wytwarzanie wielkich tafli. W 1665 r. francuski minister Jean-Baptiste Colbert ukradł know-how, ściągając mistrzów z Murano do Francji i zatrudniając ich w manufakturze królewskiej. To oni przygotowali wielkopłaszczyznowe lustra, które trafiły do La Galerie des Glaces w Wersalu (1678–84). Dla Ludwika XIV komnata lustrzana była nie tylko symbolem próżności, statusu i bogactwa, lecz także elementem władzy – 357 luster odbijało z każdej strony postacie króla i dworzan, zmuszając wszystkich do nieustannej wzajemnej obserwacji.

Pionier fotografii Louis Daguerre w 1839 r. opracował technikę nazwaną dagerotypem

Posiadanie zwierciadeł w domach stanowiło przywilej aż do 1835 r., gdy Justus von Liebig opracował metodę srebrzenia szkła. Bezpieczne tanie i masowo produkowane lustra stały się popularnym elementem wyposażenia i zaczęły służyć codziennej autokontroli. Błyskawicznie jednak oglądanie się przestało być tylko prywatnym doświadczeniem, ponieważ lustra pojawiły się w windach, hotelowych holach i witrynach sklepów. Każdy przechodzień mógł się przy nich zatrzymać i poprawić swój wygląd, przygotowując się na spojrzenia innych.

Ludzie nie zdążyli jeszcze przyzwyczaić się do wszechobecnego własnego wizerunku, gdy pojawiły się dwa kolejne wynalazki związane z wizualnością – fotografia i kino.

Około 1826 r. Nicéphore Niépce wykonał pierwszą fotografię metodą heliograficzną („Widok z okna w Le Gras"), a w 1839 r. Louis-Jacques-Mandé Daguerre wynalazł technikę pozwalającą uzyskać obraz na posrebrzanej płytce miedzianej, pokrytej jodkiem srebra i wywoływanej oparami rtęci – nazwaną dagerotypem. Masowo powielane wizerunki zaczęły krążyć w formie odbitek i trafiać do albumów, kolekcji i na karty wizytowe. Jednak decydującą zmianę przyniosło kino, gdy utrwalone na taśmie filmowej postaci stały się ruchome.

Gwiazdy kina, których wizerunki zamieszczały magazyny ilustrowane, jak „Photoplay" w Stanach Zjednoczonych czy „Ciné-Miroir" we Francji, szybko przestały być jedynie obiektami podziwu. Stały się wzorcami normalności, „właściwych" proporcji, sposobu uśmiechu, makijażu, zachowania, a nawet starzenia. Ich twarze podpowiadały, jak powinno się wyglądać, by zasłużyć na widzialność. Wkrótce potem telewizja z pięknymi prezenterami i modelami obydwu płci tylko wzmocniła ten mechanizm. Co prawda rewolucja '68 próbowała zerwać z tymi wyśrubowanymi normami piękna, ale zmieniła kierunek tylko na chwilę – jedne wzorce zastąpiły drugie. W rezultacie Narcyz końca XX w. nie pochodził już tylko z wyższych warstw społecznych i nie był zapatrzony w siebie, lecz starał się podporządkować własną twarz zewnętrznym normom – co rewolucja cyfrowa z początków XXI w. umożliwiła w stopniu dotychczas niespotykanym.

Odbicie tożsamości

Smartfon – technicznie będący hybrydą lustra, kina i widowni – stał się najdoskonalszym jak dotąd lustrem w dziejach. Nie tylko wyraźnym, ale też umożliwiającym natychmiastową korektę dzięki filtrom i upiększającym aplikacjom. Powstałe dzięki niemu zdjęcia i filmiki przestały dokumentować rzeczywistość, a zaczęły ją kreować, tak samo jak wcześniej robił to malarz portrecista, rzeźbiarz czy XIX-wieczny fotograf. Ekran cyfrowy stał się narzędziem produkcji wyidealizowanego wizerunku, a w przypadku wielu użytkowników – punktem odniesienia dla własnego samopoczucia i samooceny. W młodości dotyczy to mankamentów urody, a z wiekiem – przemożnego lęku przed jej utratą. Zwykłe lustro, które pokazuje, jak naprawdę wyglądamy, nie wzmacnia naszej samowiedzy, tylko osłabia poczucie własnej wartości.

eprasa.pl 2a79540d47

Galeria Lustrzana w Wersalu powstała w latach 1678–84. Tutaj każdy mógł obserwować innych i być przez nich obserwowany.

Nauka już jakiś czas temu postanowiła sprawdzić, czy ta zależność między tożsamością a odbiciem jest czymś typowo ludzkim. W 1970 r. psycholog Gordon G. Gallup jr zaproponował klasyczną wersję testu lustra – umieszczając znaczniki na twarzach szympansów. Jeśli zwierzęta ich dotykały, patrząc w swoje odbicia, badacz uznawał, że rozpoznawały w nich siebie. Z czasem się okazało, że test zdawały nie tylko niektóre naczelne, radziły sobie z nim też delfiny, słonie, świnie oraz sroki. Ten ostatni przypadek dowiódł, że konkretna architektura mózgu nie jest konieczna do rozpoznawania swego odbicia.

Jeszcze większe zamieszanie wywołały prowadzone sześć lat temu badania zespołu Masanoriego Kohdy nad rybkami z gatunku *Labroides dimidiatus* (wargatek sanitarnik), które w kontrolowanych warunkach reagowały na znak na ciele – zgodnie z protokołem testu. Badacze doszli do wniosku, że nie należy tego interpretować jako samoświadomości rybek, lecz jako zdolność użycia obrazu jako narzędzia do rozwiązania konkretnego zadania.

Słabością testu lustra okazało się błędne założenie, że portret wizualny jest w świecie podstawowym nośnikiem tożsamości. Większość żywych istot nie jest wzrokowcami, dlatego dla psa podstawowym „lustrem" pozostaje zapach, dla ptaka – głos i reakcja stada, a dla innych zwierząt – czucie własnego ciała w ruchu (propriocepcja) albo sieć relacji społecznych. Fakt, że pies oblewa test lustra, nie oznacza, że nie ma poczucia własnego ja i nie odróżnia siebie od innych, tylko że nie przypisuje szczególnego znaczenia obrazowi. A zatem ten test nie mierzy tego, czy istota wie, kim jest, lecz czy potrafi zinterpretować obraz jako przedstawienie własnego ciała. Tym samym eksperyment z lustrem mówi nam więcej o nas samych niż o zwierzętach. Potwierdza, że nasza kultura właśnie w wyglądzie szuka potwierdzenia istnienia. Z tym że za nim zawsze ktoś stał: bóg, demon, norma społeczna, algorytm.

Na początku XX w. socjolog Charles Horton Cooley opisywał ten mechanizm jako „jaźń odzwierciedlaną" (*looking-glass self*) – tworzenie obrazu siebie ze spojrzeń innych. Jego zdaniem najstarszym lustrem wcale nie była tafla wody, lecz odbicie w oczach innych. Przecież Narcyz nie musiał wiedzieć, jak wygląda, wystarczyły mu powszechny podziw i miłość. To one go określały i wpływały na jego poczucie wartości. Człowiek, patrząc w lustro, też chciał zobaczyć, jak widzą go inni, i w tym sensie od początku było ono narzędziem relacji z otoczeniem.

Mechanizm odwrócony

Choć dziś traktujemy lustra jako przedmiot codziennego użytku, kultura nigdy do końca im nie zaufała. W literaturze, baśniach i filmach pozostają przedmiotem granicznym. U Lewisa Carrolla – portalem. Alicja przechodzi na jego drugą stronę, gdzie logika świata ulega odwróceniu, a znane reguły tracą moc. W wielu opowieściach odbicie w lustrze spogląda na osobę patrzącą z opóźnieniem, uśmiecha się nie w porę, zdradzając obecność innego porządku. Ten sam niepokój obecny jest w popkulturze. Duchy i demony wychodzą z telewizorów, jak w filmie „The Ring", zamieszkują ekrany, monitory i kamery; obrazy zaczynają żyć własnym życiem, obserwować, śledzić i odpowiadać. To powrót do starego przeświadczenia, że po drugiej stronie obrazu może być ktoś, coś lub jakaś inna – zazwyczaj zła – intencja.

Podobny lęk od początku wzbudzały portrety fotograficzne, postrzegane jako „zatrzymanie życia". Modne w XIX w. wizerunki pośmiertne były próbą oswojenia nowej mocy obrazu i jego zdolności do przechowywania obecności po śmierci. W kulturach tradycyjnych ten niepokój wyrażano wprost – Indianie Hopi i Lakota obawiali się, że fotografia odbiera sportretowanym część siły życiowej i zakłóca porządek po śmierci, Aborygeni w Australii zaś uważali, że wizerunek osoby zmarłej nie powinien krążyć w świecie żywych, bo utrudnia jej przejście do Czasu Snu. Nie był to prosty lęk przed technologią, lecz przekonanie, że obraz działa i że nie jest niewinnym odbiciem.

Literatura zamieniła ten niepokój w metaforę. W „Portrecie Doriana Graya" Oscara Wilde'a obraz przejmuje na siebie to, czego nie widać na twarzy bohatera – Dorian pozostaje piękny i młody, podczas gdy jego portret, ukryty przed cudzym wzrokiem, stopniowo się deformuje. Wilde pokazuje, że wizerunek może oddzielić wygląd od doświadczenia i odpowiedzialności – stać się tarczą chroniącą przed prawdą o sobie. To fantazja o życiu bez ceny, podtrzymywana pod warunkiem że ktoś inny lub coś innego zapłaci ją za nas. W tym sensie Dorian Gray jest nowoczesnym Narcyzem, nie tyle zapatrzonym w siebie, ile w swój obraz.

Dziś ten mechanizm uległ odwróceniu. Nie boimy się już, że obraz coś nam zabierze – raczej sami oddajemy mu coraz więcej. Chowamy zmęczenie, wiek, lęk i niepewność, wypuszczając w świat gładkie, dopracowane twarze. To nie doświadczenie, lecz jego estetyczna reprezentacja krąży w obiegu, dostosowana do norm, algorytmów i oczekiwań. Narcyz nie pochyla się już nad taflą wody ani nad lustrem, lecz nad ekranem.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© GEORGE EASTMAN MUSEUM/PL.WIKIPEDIA.ORG, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

Trzepak, podwórko, ławeczka pod blokiem – strategiczne miejsca, w których dorastało całe pokolenie milenialsów.
Po prawej: **bohaterowie „Beverly Hills 90210". Młodzi tamtych czasów chcieli być jak oni.**

Szalone lata 90.

Końcówka ubiegłego wieku szybko doczekała się renesansu. Moda, popkultura czy przemysł próbują wykorzystać ten trend. Ale skąd w ogóle wziął się sentyment za tamtymi czasami? I za czym tak naprawdę tęsknimy?

MALWINA DZIEDZIC, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Dla milenialsów (urodzonych gdzieś między początkiem lat 80. a połową 90.) to nostalgiczna podróż w czasy dzieciństwa spędzanego ze swoją bandą na trzepakach, podwórkach i ławeczkach pod blokiem. Dla zetek (urodzonych mniej więcej między 1995 a 2012 r.) – inspiracja; końcówka starego świata, bez smartfonów i rozszalałego konsumpcjonizmu. Kontrastowe, pachnące Zachodem, szeleszczące kreszem lata 90. przeżywają właśnie drugą młodość. Z sentymentu, tęsknoty, ale i z buntu.

Media społecznościowe zalewają materiały inspirowane wycinkami tamtych czasów i wspominki „weteranów", czyli często wchodzących już w kryzys wieku średniego milenialsów. Tu nie ma polityki, wiekopomnych wydarzeń, kamieni milowych. Nawet bezrobocie i trudy transformacji są spowite sentymentalną refleksją, że w sumie i tak żyło się lepiej, jakoś bliżej siebie. Wszak relacje budowało się inaczej: wisząc na telefonach przytroczonych do ściany czy krzycząc pod oknem kolegi. Jak w jednym z popularnych stand-upowych kawałków Cezarego Jurkiewicza: „Jak chciałeś, żeby twój kumpel wyszedł na dwór, to trzeba było pogadać o tym z jego matką. »– Przepraszam, czy Kamil dzisiaj wyjdzie pograć w piłkę? – Nie, Kamil dzisiaj nie wyjdzie«. I nie wychodził. Decydowaliśmy o losach Kamila bez jego wiedzy".

Biała skarpeta

Moda skrzyła się kolorami, patternami, emblematami popularnych sportowych marek. Ale nie tylko Nike czy Adidasa. Z tego czasu pochodzą też choćby słynne Kuboty, które w ostatnich latach stały się elementem instagramowych relacji twórcy Make Life Harder. Charakterystyczne piankowe klapki na rzepy pojawiły się w 1994 r. za sprawą Doroty i Wiesława Michalskich, którzy sprowadzali je z Chin. Początkowo podbijały bazary, potem zaczęły tracić na popularności, kojarzyć się z tandetą i obciachem. Dopiero po latach zyskały miano kultowych – markę Kubota w 2018 r. reaktywowała grupa przyjaciół, rozpropagować pomogli influencerzy i celebryci; szybko zaczęła notować wielomilionowe przychody. A słynna biała skarpeta wystająca

eprasa.pl 2a79540d47

Tamagotchi, kultowa zabawka w starej i nowej odsłonie (model Paradise z 2025 r.). Po prawej: **najpierw „Bravo", teraz „Przyjaciele" – McDonald's umiejętnie wykorzystuje tzw. marketing nostalgii, przywołując w swoich kampaniach ikony lat 90. i przełomu wieków.**

z klapek zaczęła „być w trendach" – także w kontrze do wymuskania, wielkomiejskiego zadęcia, poczucia wyższości i równolegle postępującej mody na małomiasteczkowość i swojskość.

Wraz z nastaniem wolnej Polski zmieniały się architektura, sztuka, ba, nawet nasze zwyczaje żywieniowe. Od czerwca 1992 r. w polskich miastach zaczęły pojawiać się pierwsze bary McDonald's, a ich otwarcia gromadziły tłumy. Dość przypomnieć, że start pierwszej w Polsce Restauracji Pod Złotymi Łukami – jak później prześmiewczo przechrzczono amerykańską sieć – uświetnili m.in. Agnieszka Osiecka i Kazimierz Górski, a biało-czerwoną wstęgę rozpostartą w poprzek wejścia do budynku na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej w Warszawie (w słynnym domu handlowym Sezam) przecinał sam Jacek Kuroń. Pobito wówczas światowy rekord tzw. jednodniowej liczby obsłużonych gości (13,3 tys. transakcji; pół roku później wynik ten przebił katowicki McDonald's).

Dziś nagrania z tego wydarzenia i pierwsze telewizyjne reklamy *Maka* są chętnie przypominane w social mediach. Analizuje się ówczesne ceny, składy, przypomina zabawki dodawane do zestawów. Wszak był to czas, w którym z namiętnością kolekcjonowano przeróżne rzeczy: od karteczek do segregatorów z postaciami z bajek i filmów albo zdjęciami girls- i boysbandów, przez obrazki samochodów lub motocykli z gum Turbo, kinderniespodzianki, kolejne egzemplarze „Świata Wiedzy", tazosy dodawane do chipsów, po puszki po napojach gazowanych.

Nie dziwi więc, że marketingowcy McDonald's także postanowili wsiąść w – jak to określają – wehikuł czasu i wykorzystać sentyment milenialsów oraz zainteresowanie zetek. I choć w tytule jesiennej kampanii z 2025 r. odbijali się od początku nowego tysiąclecia („Ikony lat 2000. znowu w Maku"), przypominając „retrodesign" i „ikoniczne produkty" ze swojej oferty, to także fani lat 90. znaleźli coś dla siebie. Do zestawów dodano bowiem równie ikoniczny magazyn „Bravo" – specjalne wydanie z archiwalnymi tekstami, pamiętnymi listami do redakcji, plakatami i, rzecz jasna, nostalgiczną stylistyką z przełomu wieków. Bo „dla wielu »Bravo« to nie tylko gazetka – to całe dorastanie. Pierwsze fascynacje, dramy celebrytów, testy osobowości i plakaty z idolem, który patrzył na nas znad łóżka" – tłumaczyła Anna Tryfon, brand managerka w McDonald's. Sądząc po reakcjach w sieci, pomysł chwycił.

Ojciec, prać?

Świetnym nośnikiem sentymentu są też same reklamy. Ich boom zbiegł się z ekspansją kapitalizmu, więc wiele z nich stało się symbolami dekady – jak słynny spot z hasłem „Ojciec, prać?", które chyba większości milenialsów częściej kojarzy się z reklamą proszku Pollena 2000 niż z „Potopem" Henryka Sienkiewicza. Nie dziwi zatem, że kolekcjonerzy wspomnień wyciągają teraz z archiwów, także rodzinnych, nagrania ze spotami sprzed dekad i dzielą się nimi w sieci. Odżywają pamiętne slogany: „Mariola o kocim spojrzeniu" (Okocim); „No to Frugo!" (Frugo); „Wszyscy mają Mambę, mam i ja" (Mamba) czy też „A świstak siedzi i zawija je w te sreberka" (Milka). To ostatnie, z przełomu tysiąclecia, zadomowiło się w potocznym języku. Podobnie jak: „Trzeba mieć fantazję, dziadku!" (Allianz), „A łyżka na to: niemożliwe!" (Rama), „Bo zupa była za słona" (Niebieska Linia i PARPA) czy „Z pewną taką nieśmiałością" (podpaski Always).

Dawne klipy i reklamowe hity przypominają na swoich kanałach twórcy m.in. Gimby nie znajo (YT), Klasyka TV (TT), Sentymenty oficjalnie (Instagram, TT), Estetyka lat 90-tych (TT), Czas nostalgii (TT), PPM (TT), Mateusz Jemioł (TT) czy autorzy strony magicznelata90.pl. „Lata 90. były okresem większej swobody i większej otwartości na eksperymenty – z różnym zresztą skutkiem. Z tamtego okresu pochodzą reklamy, które teraz czasem śmieszą, dziwią, a nawet krępują. (...) Odbiorcy szukali w reklamach wzorów życia: urządzania domu, ubierania się, mówienia, zachowania. Reklamy oglądało się ze znacznie większym zaangażowaniem" – tłumaczył przy okazji ósmej edycji festiwalu Niewinni Czarodzieje, poświęconej właśnie latom 90., medioznawca Marek Kochan.

Cyfrowe jajo

Tęsknotę za analogowym światem postanowili wykorzystać również producenci gadżetów i technozabawek. Znów głośno o Tamagotchi – zabawce, dzięki której milenialsi uczyli się ▶

© JACENTY DĘDEK/REPORTER, EAST NEWS, KYODO NEWS/GETTY IMAGES, MCDONALDS

eprasa.pl 2a79540d47

▶ opieki nad elektronicznym zwierzątkiem (karmienia, leczenia, ale i sprzątania po nim). I choć japoński producent nie zaprzestał produkcji cyfrowych jajek, dopiero ostatnie wersje, w tym Tamagotchi Paradise z 2025 r., przypomniały o popularnym niegdyś gadżecie. Teraz to zetki bawią się cyfrowymi stworkami i dokumentują to, rzecz jasna, na TikToku.

Zjawisko nazywane przez branżę marketingowo-reklamową *millennial nostalgia marketing* zatacza coraz szersze kręgi, nie tylko zresztą na polskim rynku. „Dlaczego ten trend tak dobrze działa? Łączy pokolenia. Starszym przypomina młodość, młodszym daje dostęp do ikon sprzed ich czasów. Obniża koszt dotarcia. Człowiek zna już te kody, nie trzeba budować nowych, wystarczy odkurzyć to, co mamy" – wyjaśnia na łamach serwisu Nowy Marketing Wojciech Walczak, *chief strategy officer* w agencji Przestrzeń. „Na TikToku trend nostalgii jest bardzo mocny. Użytkownicy za pomocą AI cofają się do lat 2000., pokazują swoje stylówki, telefony z klapką, imprezy w szkolnej sali. Milenialsi, czyli pokolenie, które dziś ma trzydzieści kilka lat, coraz częściej mówią »ej, kiedyś to było« – i poważnie za tym tęsknią. Marki po prostu to widzą i wykorzystują" – dodaje Magdalena Marek-Terelak, dyrektor kreatywna w SpaceCat. „Czasy, w które wkraczamy z pieśnią na ustach, tylko dodadzą nostalgii wigoru" – puentuje inny specjalista cytowany przez serwis, Maciej Nowicki z All Thing AI.

Marki z tego samograja nie zrezygnują. Tak oto z myślą o fanach *retro gamingu* firma Analogue wypuściła przenośną konsolę Pocket, nazywaną reinkarnacją Game Boya, co więcej – kompatybilną z kartridżami. Ba, wraca nawet stara poczciwa Amiga! Na rynku, w wersji A1200, pojawi się w czerwcu; przedsprzedaż ruszyła już jesienią 2025 r. (ok. 850 zł).

Nie sposób też nie wspomnieć o firmie LEGO, bo choć fenomen klocków nie mija, zawsze można go podkręcić – z czego postanowili skorzystać Duńczycy. Firma proponuje oldskulowe zestawy, nawet designem nawiązujące do stylistyki dawnych lat. I lojalnie przestrzega: „Jeśli okres Twojego dzieciństwa przypadał na lata 80. i 90., przygotuj się na potężną dawkę nostalgii". Złośliwi dodaliby: „I spory wydatek". Bo np. odnowiona twierdza Eldorado kosztuje 950 zł; zamek rycerzy herbu Lew – 1800 zł; szkielet tyranozaura z „Jurassic Parku" – 1100 zł.

Na stronie producenta klocków można znaleźć osobną zakładkę dla dorosłych – i to bynajmniej nie dla rodziców poszukujących prezentów dla dzieci. „Odłóż smartfon, otwórz pudełko i zrelaksuj się. To czas dla Ciebie" – zachęca LEGO, promując w ten sposób zarówno *kidult*, jak i *offline vibe*. Pierwsze pojęcie, nie takie nowe, odnosi się do dorosłych, którzy od tej dorosłości i związanej z nią presji próbują uciec (zbitka ang. *kid* i *adult*, dzieciorosły). Drugie – do cyfrowego detoksu (*Offline is the new online*, można usłyszeć). Kidulci są gadżeciarzami i kolekcjonerami, bywają sentymentalni, więc to świetny *target* dla producentów wszelkiej maści klasyków i ikon. Z kolei młodzi u progu dorosłości, wyrośli już w cyfrowym świecie, także próbują uciekać, tyle że od mediów społecznościowych: ich przeskalowanych emocji, drapieżności, pędu. Wylogowanie się z sieci, szukanie bardziej analogowych form stymulacji niż przeglądanie rolek, określane jest wręcz mianem nowego luksusu. Choć niejednokrotnie ten detoks od social mediów i tak jest na nich prezentowany albo stanowi *content* kolejnych rolek i wpisów...

Dynastia i Heweliusz

A przecież można po prostu odłożyć telefon i włączyć oldskulowy telewizor. Tam też dotarła moda na dawne hity i retroformaty. Polsat wskrzesił słynną „Randkę w ciemno", TTV – „Idź na całość". Spekuluje się, że reaktywowany może też zostać „13 posterunek". Legendarne seriale z tamtych lat („Przyjaciele", „Seks w wielkim mieście", „Z archiwum X", „Bajer z Bel-Air" czy „Kroniki Seinfelda") można znaleźć na platformach streamingowych. Jest nawet „Dynastia"! I ta uwspółcześniona, skrojona pod obecne czasy Kardashianów, Hiltonów i Trumpów. I ta, która niegdyś sprawiała, że ulice polskich miast pustoszały. Serial ten – pean na cześć kapitalizmu – był symbolem marzeń Polaków, które ziścić miało nastanie III RP.

„Trzeba sobie jasno powiedzieć, że jeśli w Polsce mamy kapitalizm, to nie dzięki Balcerowiczowi, który nas gnębił i gnębi, lecz dzięki »Dynastii«, która uczyła nas smaku pieniędzy i dobrego życia, rozbudzając ambicje i wolę walki o nowy, piękny świat kapitału" – przekonywał w 1991 r. na łamach „Gazety Wyborczej" socjolog Jerzy Wertenstein-Żuławski.

Z czasem okazało się, że serwowany na ekranach kapitalizm w wersji *glamour* nie ma szans w konfrontacji z rzeczywistością: bezrobociem, chaosem gospodarczych przemian. Serialowy świat „Dynastii", „Beverly Hills 90210" czy później „Mody na sukces" lub „Melrose Place" pozostał więc ułudą, czystym eskapizmem. Bliższa polskim realiom była już chyba rzeczywistość latynoskich telenoweli, przy których – jak przypominają milenialsi – Polacy uczyli się hiszpańskiego.

„Najntisy" bez nadmiaru sentymentalnego lukru wskrzeszają dziś ci, którzy pamiętają je jeszcze z podwórka. W podkaście kulturalnym POLITYKI scenarzysta Kasper Bajon (rocznik 1983), pomysłodawca serialu „Heweliusz", przyznał, że nie pamięta szczegółów katastrofy promu z 1993 r., bo oglądał wtedy świat z perspektywy placu zabaw. Ale ogólny nastrój i doniosłość tamtych wydarzeń utkwiły mu w głowie na tyle, że postanowił to po latach opisać. „Heweliusz", „Wielka woda" o powodzi z 1997 r., kryminalny „Rojst", ukazujący chaotyczną codzienność w przededniu nowego tysiąclecia – wszystkie te seriale (w reż. Jana Holoubka) próbują uchwycić klimat epoki, czasów wielkich nadziei i jeszcze większej improwizacji.

Disco polo i niewinni czarodzieje

Najwyraźniej 30- i 40-latkowie usiłują rozwiązywać zagadki, o których coś kiedyś słyszeli. Lub zbadać dawne fenomeny, jak disco polo, któremu w latach 90. poświęcano emitowane w dobrych porach programy telewizyjne. Dziś to nisza (pomijając weselne konteksty), której można się nieironicznie przyglądać. Na Podlasiu powstaje Centrum Disco Polo, Państwowe Muzeum Etnograficzne organizowało niedawno ekspozycję „Disco Relaks" w ramach cyklu „Rzeczy Kultowe".

W filmowym „Disco polo" (2015 r.) Macieja Bochniaka fenomen lat 90. i disco polo spotykają się przelotnie i sprowadzają do marzeń o wielkiej karierze na wzór amerykański. Więcej o samym disco polo miał do powiedzenia „Zenek" (2020 r.) Jana Hryniaka. „To prawda, że w pierwszych latach po transformacji wszystkim się wydawało, przynajmniej przez moment, że nie zmieniając adresu, przeniosą się do Ameryki, i prawda, że chłonęliśmy cudzoziemszczyznę, byleby tylko była z Zachodu, ale disco polo nie mieściło się w tym wielkim śnie Polaków – pisał w POLITYCE przed laty Zdzisław Pietrasik.

eprasa.pl 2a79540d47

Muzeum lat 90. w Bielsku-Białej. Powstało z sentymentu do „przeszłości, która nie była idealna, ale była prawdziwa”. Po prawej: **„Heweliusz”. Wydarzenia z tamtych lat są inspiracją dla twórców kolejnego pokolenia, którzy odkrywają i interpretują je na nowo.**

– Wręcz przeciwnie, powstawało niejako w opozycji, miało być muzyką łatwą, lekką i przyjemną. Naszą, tutejszą, swojską, buraczano-pszenną”.

Sami milenialsi, co znamienne, nie doczekali się jeszcze w polskim kinie portretu na miarę wajdowych „Niewinnych czarodziejów”. Dorastali jednak w złotej erze filmów (to czasy „Pulp Fiction”, „Skazanych na Shawshank” czy „Forresta Gumpa”), kręconych jeszcze na taśmie, co prawda z poślizgiem, ale już dystrybuowanych w polskich kinach. I na pirackich kasetach. W całym kraju pączkowały wypożyczalnie wideo. Znany w sieci PigOut w wydanej wspólnie z Przemkiem Corsą książce „VHS. Przewińmy to jeszcze raz” (2025 r.) wspomina: „Kiedyś wszyscy byliśmy w tym samym strumieniu filmów i seriali. Jak wybijał jakiś film na VHS-ie, to wszyscy kolejno go odhaczali. Seriale oglądało się w telewizji, a że kanały mogłeś zliczyć na palcach, to przerabialiśmy generalnie to samo. To generowało dyskusje, bo wszyscy się orientowaliśmy w temacie, a teraz to się jakoś rozjechało”.

Także kina odżyły w ostatnich latach podmywane nostalgiczną falą – po to są sequele, rebooty, remaki, spin-offy. Władysław Pasikowski wskrzesił „Psy”, przebój lat 90., gdy w Polsce święciło triumfy zwłaszcza kino gangsterskie i gatunkowe. Ciągu dalszego doczekał się „Fuks” Macieja Dutkiewicza. O światowej kinematografii nie wspominając – twórcy wskrzesili „Mumię”, „Matrixa” czy „Toy Story”. Do tego filmy animowane w aktorskich wersjach fabularnych, jak „Król Lew”, „Księga dżungli”, „Zakochany kundel” czy „101 dalmatyńczyków”.

Muzyczne dinozaury

W muzyce też sprawdza się zasada, że lubimy te piosenki, które już kiedyś słyszeliśmy. Ścieżka dźwiękowa ostatniej dekady XX w. to był solidny trzon, a na pewno magnes letnich festiwali w 2025 r. Koncerty wznowiły po latach grupy Massive Attack, Oasis, Pulp czy Stereolab. „Czy mamy do czynienia z nowym pokoleniem muzycznych dinozaurów?”, zastanawiał się w POLITYCE Bartek Chaciński. „Przemijanie napędza rynek”, dodał, nawet jeśli sami twórcy mają do zaoferowania rzeczywiście coś więcej niż sentymentalną podróż w przeszłość. Miłość do kapel słuchanych w czasach młodości nie zardzewiała, ale mocno podrożały bilety (podrożały właśnie dlatego, że nie zardzewiała).

W jakiejś mierze dzięki nostalgii Justyna Steczkowska wróciła po 30 latach na konkurs Eurowizji. Comeback od jakiegoś już czasu zapowiada Edyta Bartosiewicz. Kasia Kowalska nadal gra repertuar z debiutanckiej płyty „Gemini” (1994). Nazwy zachowały, a wokalistki wymieniły grupy Varius Manx, Blue Cafe czy Łzy. „Z wielkimi gwiazdami lat dziewięćdziesiątych los obszedł się brutalnie. Pozycję udało się utrzymać jedynie Katarzynie Nosowskiej i Agnieszce Chylińskiej” – twierdzi Tomasz Lada w książce „Wszystko jak leci. Polski pop 1990–2000” i kończy tę myśl litanią niepowodzeń, niemrawych powrotów i zniknięć, zresztą nie tylko twórców, ale i prasy muzycznej.

Cała nadzieja w nowych odbiorcach? Fascynacja latami 90. młodszych pokoleń jest osobliwa, bo bazuje na nostalgii w sposób zaoczny, zapośredniczony. Romantyzują epokę subkultur, plakatów na ścianach, z boomboksami, bez internetu w kieszeni. To też epoka obśmiewanych życzliwie pierwszych teledysków, w których w roli telefonu występuje np. kalkulator. Generacje Z i Alfa zamieniają przykurzone hity w nowe przeboje.

Istotne zastrzeżenie czyni w „Duchologii polskiej” Olga Drenda: lata przełomu pamiętamy w sposób widmowy, zniekształcony, choć to świeża historia i teoretycznie bardzo dobrze udokumentowana. A jednak dziwna, pełna paradoksów, luk i wypieranych dziś strachów, jak ten przed przełomem mileniów (czy nastąpi koniec świata?!). Na pozór pełna światła i barw, które przyćmiewają realia czasów i niwelują różnice. „Wspominkowe narracje są zwykle wyidealizowane – pisze Olga Drenda – albo przez mgiełkę nostalgii, albo przez warszawocentryczny punkt widzenia, w którym siłą rzeczy wszystko jest nieco szybsze, lepsze, zawiera większy procent sukcesu i świetlanej przyszłości”.

Wywołujemy dziś duchy epoki, ale demonów już nie. Kapłani, kustosze i kupcy nostalgii dobrze to wiedzą i próbują wykorzystywać. W kółko.

MALWINA DZIEDZIC
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Tekst jest skróconą wersją artykułu, który znajdą Państwo w naszym najnowszym „Pomocniku Historycznym”. Już w sprzedaży!

KUP TERAZ

© SEBASTIAN BALCERZAK, NETFLIX

eprasa.pl 2a79540d47

III Rzesza w III RP

Polska, obok Niemiec i Austrii, należy do krajów z największą liczbą nazistowskich budynków, wzniesionych lub przebudowanych w czasach hitlerowskich. Burzyć, przebudować, chronić?

CHRISTHARDT HENSCHEL, ALEKSANDRA PARADOWSKA, ROBERT PARZER

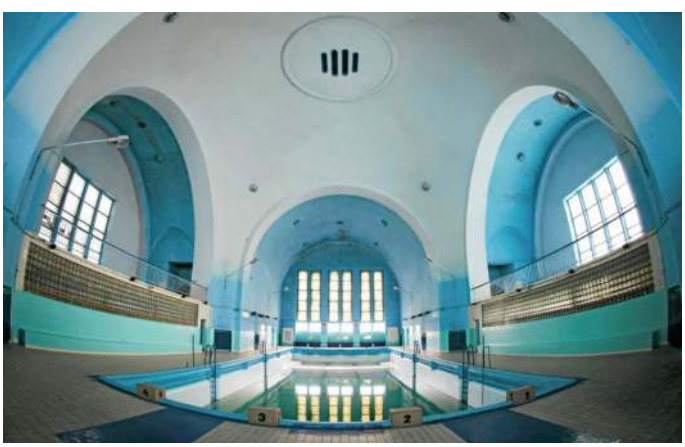

Od lewej: **synagoga w Poznaniu przerobiona na basen podczas okupacji (stan z 2011 r.). Budowa dzielnicy Bloki w Ciechanowie, lata 40. XX w.**
U góry: **śluza na Kanale Mazurskim w Leśniewie Górnym.**

Z architekturą III Rzeszy kojarzą się szerokie aleje marszowe i monumentalne gmachy demonstrujące jej potęgę. Nazistowskie budowle to jednak nie tylko spektakularne, gigantomańskie realizacje. To także obozy pracy i zagłady, budynki mieszkalne oraz obiekty użyteczności publicznej, jak szpitale, kina czy baseny. Są wśród nich budowle przejęte przez Polskę na tzw. Ziemiach Odzyskanych i te powstałe w trakcie okupacji.

Pozostawione przez okupantów przypominają o ich panowaniu; zabitych i wysiedlonych, a także o megalomańskich planach i chęci odciśnięcia piętna na podbitych terenach. Kolejny rozdział historii tej architektury dopisali jej powojenni mieszkańcy. Co robić z tym niechcianym dziedzictwem 80 lat po wojnie? Burzyć, przebudowywać, chronić?

Okupacyjny architekt miejski Poznania Emil Tessnow to jedna z postaci, które zniknęły w odmętach historii. Został zapomniany nie dlatego, że był nieistotny, lecz dlatego, że długo nikt nie chciał o nim pamiętać. Urodzony w 1902 r. w Altdamm, dzisiejszej dzielnicy Szczecina, był członkiem NSDAP i SA. O jego życiu przed

eprasa.pl 2a79540d47

wojną wiadomo tyle, że był bezrobotny. Po 1 września 1939 r. zrobił błyskawiczną karierę: najpierw został zastępcą kierownika, a następnie kierownikiem miejskiego urzędu budowlanego Poznania, czyli w istocie naczelnym architektem.

Formalnie zarządzał. W praktyce jego brak kompetencji sprawiał, że Tessnow był zależny od polskich pracowników: architektów, księgowych i sekretarek, którzy wykonywali realną pracę administracyjną i projektową. To oni utrzymywali funkcjonowanie urzędu, on zaś sprawował nadzór i podejmował decyzje w imieniu okupacyjnej władzy.

Po wojnie, gdy Tessnow został postawiony w stan oskarżenia jako zbrodniarz wojenny przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu, jego dawni polscy współpracownicy składali zeznania. Ich relacje tworzyły spójny obraz: Tessnow odpowiadał za całość przebudowy okupowanego miasta. Poczynając od infrastruktury technicznej, poprzez osiedla mieszkaniowe, aż po planowaną skocznię narciarską nad jeziorem Rusałka. Dzięki temu procesowi przetrwały informacje na jego temat. Spisane relacje świadków zostały odkryte dopiero pod koniec 2025 r. przez Roberta Parzera w poznańskim oddziale IPN.

Poznań: synagoga-basen

Miejscem, które najlepiej obrazuje znaczenie architektury w systemie okupacyjnym, jak również trudności związane z upamiętnianiem, jest Nowa Synagoga w Poznaniu. Budynek wzniesiony w 1907 r. naziści początkowo zamierzali zniszczyć, ale w 1940 r. zapadła decyzja o jego przebudowie. Pod kierownictwem Tessnowa dawna synagoga została przebudowana na pływalnię dla żołnierzy Wehrmachtu. Architekt Wiktor Stachowiak zeznał w 1948 r., że do prac budowlanych zmuszano Żydów oraz brytyjskich jeńców wojennych. Szczególnie Żydzi byli traktowani w sposób nieludzki.

To nie był odosobniony przypadek. Tessnow nadzorował również przebudowę kolejnej synagogi na rogu ulic Dominikańskiej i Szewskiej, przekształconej w fabrykę wyrobów skórzanych. Architekt był ponadto odpowiedzialny za obozy pracy w okupowanym Poznaniu. Współtworzył rzeczywistość, której częścią był Holokaust. Nawet zmarłym nie dawał spokoju: odpowiadał za niszczenie cmentarzy, stanowiących materialne świadectwo wielowiekowej obecności Żydów w mieście.

Mimo obciążających go zeznań postępowanie śledcze zostało zawieszone w 1953 r. Tessnow nie mógł być ścigany, bo mieszkał w zachodnich Niemczech.

Emil Tessnow nie był postacią wyjątkową. Należał do licznej grupy niemieckich planistów, którzy oddali swoje kompetencje w służbę nazistowskiej władzy. Ich praca była narzędziem polityki, ideologii i wojny. To właśnie w okupowanej Polsce planowanie i budowanie stało się szczególnie brutalne. Każda z inicjatyw budowlanych była nierozerwalnie spleciona z grabieżą mienia, wysiedleniami, aresztowaniami, egzekucjami i deportacjami do obozów. Architektura nie powstawała tu obok przemocy, ale z jej użyciem. Przestrzeń była porządkowana poprzez planowanie i budowanie, kosztem ludzi ją zamieszkujących. Funkcję rysowników w pracowniach niemieckich specjalistów pełnili niekiedy polscy architekci, zmuszeni do zdobywania środków na przetrwanie w okupacyjnej rzeczywistości. Rzadko sygnowali projekty.

Centralnym organem planistycznym dla podbitych krajów był utworzony w październiku 1939 r. Komisariat Rzeszy ds. Umacniania Niemczyzny (RKF). Wraz z trwającą wojną plany te ulegały ciągłej radykalizacji. Eksperci z RKF opracowali wiele dokumentów, znanych dziś jako Generalny Plan Wschodni. Jego stale aktualizowane założenia przewidywały masowe zasiedlenie podbitych terenów przez Niemców, którzy mieli mieszkać w ujednoliconych, uporządkowanych miastach i wsiach. Wzorcowe projekty i wytyczne opracowane w RKF były ważnym punktem odniesienia dla działań niemieckich dygnitarzy i architektów w okupowanej Polsce. Zakładali oni, że przestrzeń stojąca do ich dyspozycji jest nieograniczona. Działali równolegle do wysiedleń, aresztowań czy egzekucji lub nawet je wyprzedzali, planując miasta i wsie przeznaczone tylko dla Niemców – tych już sprowadzonych i tych, którzy dopiero mieli tu przybyć.

Niejedno imię „poniemieckiego"

Na Ziemiach Zachodnich i Północnych granica między tym, co poniemieckie, a tym, co hitlerowskie, bywa szczególnie rozmyta. Tutejszy krajobraz miejski i architektura w przeważającej mierze powstały w „czasach niemieckich" – i dla wielu obecnych mieszkańców nie ma zasadniczej różnicy, czy dany budynek wzniesiono przed 1933 r., czy już po dojściu Hitlera do władzy. Ta obojętność rodzi poważne pytania: czy ochroną należy obejmować wyłącznie obiekty architektoniczne z wcześniejszych epok? A co z reliktami przemysłu pracującego na potrzeby niemieckiej machiny wojennej, tunelami w Górach Sowich czy bunkrami Ostwallu?

W praktyce odpowiedź często dyktują pieniądze. Wilczy Szaniec w Gierłoży k. Kętrzyna, dawna kwatera główna Hitlera, stał się dziś dochodowym biznesem dla zarządzającego obiektem Nadleśnictwa Srokowo – i jednocześnie raczej wątpliwym skansenem globalnej „mrocznej turystyki". Trudno doszukać się tam spójnej koncepcji edukacyjnej.

Tymczasem Kętrzyn i jego okolice to w istocie cały krajobraz architektury sprawców. To stąd Hitler od 1941 r. kierował wojną, a w promieniu kilku kilometrów ulokowały się najważniejsze dowództwa III Rzeszy. Wszystkie te obiekty powstawały przy wykorzystaniu pracy przymusowej – podobnie jak pobliski Kanał Mazurski. Pośród tego pozornie sielskiego, a w rzeczywistości głęboko skażonego krajobrazu znajduje się pałac w Sztynorcie, dziś chętnie promowany jako miejsce związane z niemieckim ruchem oporu. W samym Kętrzynie jedynym z niewielu wyraźnych śladów innej, równie istotnej historii pozostaje tablica upamiętniająca synagogę spaloną 9 listopada 1938 r.

Ciechanów: Bloki

Stosunek do nazistowskiej architektury w Polsce nie jest dziś jednolity. Zależy od miejsca, funkcji budynków, lokalnej pamięci i tego, jak bardzo przeszłość jest widoczna w codziennym krajobrazie. Ta architektura w wielu przypadkach stanowi dziedzictwo kłopotliwe. I nie chodzi wyłącznie o byłe siedziby władzy, obozy koncentracyjne, pracy czy zagłady. W tę spuściznę wpisują się także dzielnice mieszkalne, budynki handlowe i urzędowe, drogi, linie kolejowe, a nawet ingerencje w starsze, historyczne obiekty.

O tym, jak dziś na nie patrzymy, decydują nie tylko geografia czy kontekst polityczny, lecz przede wszystkim ich codzienne przeznaczenie. Inaczej myśli się o bunkrze, inaczej o kinie, a jeszcze inaczej o bloku, w którym od dekad ktoś po prostu mieszka. ▶

© LAIMA GUTMANE /WIKIPEDIA, CEZARY ASZKIELOWICZ/AGENCJA WYBORCZA, BUNDESARCHIV

eprasa.pl 2a79540d47

▶ Najmniej kontrowersji budzą właśnie osiedla mieszkaniowe. Znamiennym przykładem jest dzielnica Bloki w Ciechanowie, wznoszona od 1940 r. jako element projektu germanizacji północnego Mazowsza włączonego do Prus Wschodnich. Spośród wielu podobnych osiedli w Polsce to jest największe i wyróżnia się w przestrzeni miasta. Zaprojektowana jako zielona dzielnica podmiejska, zdominowana przez budynki wielorodzinne, miała służyć niemieckim urzędnikom i funkcjonariuszom aparatu represji. Równolegle z budową dzielnicy Niemcy zburzyli znaczną część historycznego centrum miasta, przygotowując teren pod dzielnicę rządową, zrealizowaną już tylko częściowo.

Od 1945 r. wszystkie budynki mieszkalne są nieprzerwanie użytkowane. Przede wszystkim z braku alternatywnych rozwiązań, ale też dlatego, że okazały się funkcjonalne i wygodne – szczególnie w realiach socjalistycznej gospodarki niedoboru. Ich pochodzenie jest powszechnie znane, nikt go nie ukrywa. Już w czasach PRL doszło do symbolicznej reinterpretacji urbanistyki okupantów: ulice osiedla otrzymały polskich patronów: Sienkiewicza, Okrzeję, Głowackiego, Moniuszkę. Po 1989 r. przed Krzywą Halą, sercem osiedla, stanął Pomnik Józefa Piłsudskiego – replika monumentu zniszczonego przez Niemców na terenie dawnego garnizonu na granicach miasta. Tym samym przestrzeń ta została oswojona. Stała się „poniemiecka" tylko z nazwy – codzienność skutecznie zneutralizowała jej ideologiczne znaczenie.

Kraków: biuro Hansa Franka

Zupełnie inaczej reagujemy na architekturę nazistowską w miastach ważnych dla historii państwa, takich jak Kraków, zwłaszcza w miejscu tak znaczącym jak Wawel. Z czasów okupacji pochodzi przebudowa Kuchni Królewskich na siedzibę biura generalnego gubernatora Hansa Franka. Podczas prac renowacyjnych prowadzonych w latach 2006–09 usunięto z elewacji dzisiejszego skrzydła administracyjnego elementy zdradzające nazistowskie pochodzenie przebudowy. To strategia pragmatyczna. Większość turystów przyjeżdża do Krakowa, aby zobaczyć historyczne obiekty wpisane na listę UNESCO, a nie po to, aby śledzić wojenne ingerencje Niemców. Nie interesuje ich tym bardziej śledzenie ingerencji okupanta poza ścisłym starym miastem, zarówno tych zrealizowanych – jak osiedle przy ul. Królewskiej, jak i tych szczęśliwie pozostałych w sferze planów – jak plan usunięcia Kopca Kościuszki. Warto przy tym dodać, że autor tego ostatniego planu – Hubert Ritter, podobnie jak Tessnow, przeżył wojnę i nigdy nie był rozliczany za swoją wojenną działalność. Zmarł w 1967 r. w Monachium.

Nasuwa się tutaj pytanie: czym staje się Wawel, gdy ślady jego wielowarstwowej historii i osób za nią stojących są ukrywane lub niszczone?

Spojrzenie lokalne

Realizacje niemieckich architektów z okresu okupacji w Polsce pozostają materialnymi śladami zbrodni III Rzeszy. Dzieje się tak mimo upływu lat, licznych przebudów i modernizacji. Przywołany na początku przykład architekta Tessnowa i przebudowy poznańskiej synagogi na basen powinien stać się elementem lokalnej opowieści nie tylko o mieszkających tu niegdyś Żydach, ale także o niemieckiej okupacji. Od lat jednym z głównych walczących o to podmiotów jest stowarzyszenie Łazęga Poznańska, reprezentujące środowisko lokalnych aktywistów. To właśnie dzięki jego inicjatywie i staraniom, mimo protestów obecnego właściciela, obiekt został w 2025 r. wpisany do rejestru zabytków.

Konserwator miejski objął ochroną jedynie ściany pierwotnej synagogi, a nie niemiecką przebudowę. Uzasadnienie konserwatora mówi o niej jako ważnym przykładzie architektury synagogalnej. Pominięta natomiast zostaje niemniej ważna kwestia przekształcenia w basen. Inne synagogi w okupowanej Europie były przez Niemców burzone, używane jako magazyny lub przebudowywane na kina. Żadnej z nich nie spotkał jednak taki los jak tej poznańskiej.

Decyzja urzędu w kwestii wpisu do rejestru zabytków zapadła późno i nie wiadomo, czy będzie miała jakiekolwiek znaczenie dla dalszych losów gmachu. Od początku XXI w. nie miał on szczęścia do właścicieli. W 2001 r. został przekazany miejscowej gminie żydowskiej jeszcze jako działający basen. Po 10 latach został on zamknięty i od tego czasu zaczął niszczeć. W 2019 r. gmina, mimo pierwotnych planów stworzenia Centrum Dialogu i Judaizmu, w końcu budynek sprzedała. Był on atrakcyjny dla nowego inwestora, ponieważ został nabyty wraz z wydanym przez miasto pozwoleniem na umieszczenie w nim hotelu.

Przełomowy stał się 2023 r., kiedy w synagodze-basenie wybuchł niewielki pożar, a ponadto Rada Miasta uchwaliła nowy plan dla obszaru Starego Miasta. Zgodnie z jego zapisami aktualny właściciel, spółka Campione Investment 2 z Wrocławia, miał szerokie pole do działania w zakresie przebudowy gmachu na mieszkania. Uzyskanie wpisu do rejestru zabytków zniechęciło właściciela do kolejnych działań. Obecnie budynek jest wystawiony na sprzedaż i nie wiadomo, jak potoczą się jego dalsze losy.

Przykład poznańskiej synagogi-basenu oraz innych miejsc związanych z kłopotliwą historią sprawiają, że coraz trudniej uciekać od pytania o to, czy nie nadszedł czas na spójną, regionalną strategię ich opowiadania. Strategię, która traktowałaby ten pookupacyjny krajobraz nie jako „gabinet grozy" ani atrakcyjny rekwizyt mrocznej turystyki, lecz jako przestrzeń nauki i refleksji. Przemyślaną także pod względem turystycznym, ale wolną od taniej sensacji i estetyzowania przemocy. Takie podejście do historii uwzględnia również różne doświadczenia historyczne ludzi tu mieszkających. Wymaga to wysiłku podmiotów regionalnych i lokalnych oraz woli władz do decentralizacji polityki pamięci.

Tutaj pojawia się kolejna szansa: wiele polskich gmin utrzymuje partnerstwa z miejscowościami w Niemczech i w ten sposób mogłoby rozpowszechniać „polski punkt widzenia" na wydarzenia drugiej wojny światowej również w sąsiednim kraju. Czas pokaże, czy podjęcie takich działań na szczeblach miast i regionów kiedykolwiek będzie możliwe.

Christhardt Henschel jest pracownikiem naukowym Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Jego badania dotyczą m.in. okresu okupacji niemieckiej i pamięci historycznej.

Aleksandra Paradowska jest badaczką architektury, autorką publikacji o niemieckim planowaniu i budowaniu w okupowanej Polsce. Pracuje na Uniwersytecie Artystycznym im. M. Abakanowicz w Poznaniu.

Robert Parzer jest pracownikiem naukowym Domu Polsko-Niemieckiego w Berlinie. Opublikował prace dotyczące przede wszystkim nazistowskich zbrodni „eutanazji".

eprasa.pl 2a79540d47

Szycie historii

Maria Molenda, **Historie ubiorów z Nomina Rosae,** Fundacja Nomina Rosae Ogród Kultury Dawnej, Nowy Sącz 2025, s. 288

Moda rzadko bywa traktowana jak pełnoprawne źródło historyczne. Częściej oglądamy ją jako ilustrację epoki, estetyczny dodatek do „prawdziwych" dziejów. „Historie ubiorów z Nomina Rosae" Marii Molendy odwracają tę perspektywę. To album, który pokazuje, że strój potrafi opowiadać o przeszłości równie wiele jak obraz, dokument czy kronika.
Autorka – historyczka, kostiumolożka i twórczyni Fundacji Nomina Rosae, od ponad dwóch dekad zajmującej się badaniami nad dawnym ubiorem – prowadzi czytelników po modzie od renesansu po XIX w., skupiając się na zachowanych przedstawieniach historycznych postaci. W książce rekonstrukcja potraktowana jest nie jako mechaniczne odtwarzanie, lecz proces interpretacyjny oraz próba zrozumienia, skąd brały się poszczególne elementy ubiorów. Analiza sukni kochanki księcia Ludwika Sforzy Cecylii Gallerani, dworskich strojów z kręgu włoskiego *quattrocenta* oraz późniejszych czerni i bogatych konstrukcji rękawów pokazują, jak ubiór wpisywał się w hierarchie społeczne, obyczaj, religię i wyobrażenia ciała.
Album został zaprojektowany tak, by obraz i tekst działały równolegle. Fotografie kostiumów stylizowane są na portrety, stąd czarne tła, oszczędne światło, skupienie na fakturze jedwabiu, połysku aksamitu, ciężarze haftu. Książkę czyta się (po polsku i angielsku), jednocześnie ją oglądając i podziwiając. „Historie ubiorów" przypominają, że moda nie jest kaprysem epoki, tylko jej materialnym zapisem w kroju, kolorze i geście.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Beautiful blondynkas

Tomasz Awłasewicz, **Łowczynie szpiegów**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 297

Słownik pojęć dla początkujących. „Betki" – kobiety zatrudnione w Wydziale „B" MSW, którego zadaniem było śledzenie i inwigilacja. „Figuranci" – osoby będące w zainteresowaniu służb, np. funkcjonariusze CIA pod dyplomatyczną przykrywką. „Giełda" – odprawa naczelników Wydziału. „Dwójkarze" – funkcjonariusze Wydziału II MSW, kontrwywiadu, który zlecał inwigilację. Autor skupia się na latach 70. i 80. „Figurant" mógł być „robiony" przez ok. 10 ludzi.
Szli za nim, jeździli samochodami, zmieniali się tak, by nie zostać rozpoznanymi przez wyszkolonego i doświadczonego szpiega. Funkcjonariuszki nie mogły dłużej stać w jednym miejscu, groziło to dekonspiracją. Zdarzyło się, że kiedy wyszykowane – kożuszek, obcasy, makijaż – stały na ulicy, dostały ostrzeżenie: „Uciekajcie stąd natychmiast, bo zaraz wam wpieprzą". Chodziło o lokalne prostytutki, które poczuły się zagrożone konkurencją. Tomaszowi Awłasewiczowi udało się dotrzeć nie tylko do „betek" i zebrać ich relacje, ale także do amerykańskich dyplomatów, których ostrzegano przed „beautiful blondynkas". Całość czyta się jak szpiegowską powieść. Szkoda tylko, że autor nie napisał, że nie były to żadne służby specjalne, lecz SB, a figurantami Wydziału „B" byli w PRL także ludzie Kościoła oraz opozycjoniści. Antoni Słonimski także miał całodobowy ogon.

MARCIN ZAREMBA

Panorama powojnia

Sebastian Rosenbaum i Bogusław Tracz, **Punkt zwrotny. Rozmowa o roku 1945 na Górnym Śląsku**, Biblioteka Śląska, Katowice 2025, s. 336

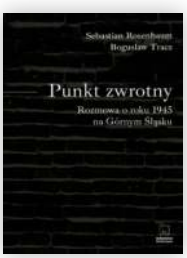

Dwaj doktorzy historii zajmujący się dziejami Górnego Śląska siedli i porozmawiali o roku 1945 jako o „punkcie zwrotnym". Choć często – i słusznie – odnosi się ten zwrot do wszystkich ziem polskich, utraconych i zyskanych, dla Górnego Śląska jest on szczególny. „Tragedia śląska" miała wyjątkowo duży ciężar, na który składały się doświadczenia zwłaszcza czasu wojny poprzedzającej rok 1945. Towarzyszy nam bez przerwy pytanie: ile było w 1945 r. wyzwolenia, a ile nowej okupacji.
Rzetelne, uczciwe i sprawiedliwe opowiedzenie tej historii przez wiele lat było niemożliwe ze względów politycznych i, nazwijmy to – geopolitycznych. W pierwszej części książki autorzy mówią o sterowanym przemilczaniu i fałszowaniu historii, ale też o przechowywaniu pamięci rodzinnej, „domowej", także o nowych warunkach politycznych i geopolitycznych, o przełomie lat 90., kiedy wreszcie można było naprawdę badać i publikować.
W drugiej części w partnerskiej rozmowie w kilku wątkach układają panoramę roku 1945 na Górnym Śląsku. Oczywiście z Armią Czerwoną na czele, z nową administracją i nowymi porządkami. To jest opowieść o ludziach, o migracjach, o wyłanianiu się nowego społeczeństwa, o „zdrapywaniu nalotu" i o próbach stworzenia nowego człowieka. Mocna rzecz.

WIESŁAW WŁADYKA

Wyspa bez skazy

Jean-Yves Frétigné, **Historia Sycylii. Od początków do naszych czasów**, przeł. Wanda Klenczon, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025, s. 424

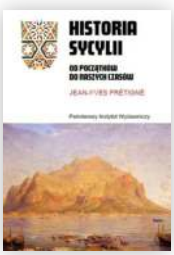

Historyk Fernand Braudel nazwał kiedyś Sycylię kontynentem w miniaturze. Teraz Jean-Yves Frétigné, wybitny francuski znawca historii Włoch, stara się tę różnorodność scalić, kreśląc obraz wyspy od czasów osadnictwa fenickiego i greckiego aż po wyzwania współczesności (w tym problematykę migracyjną). Nie ulega przy tym romantycznemu mitowi sycylijskiej tożsamości – czemuś, co włoski pisarz Leonardo Sciascia określił jako *sicilitudine*. Dostajemy obraz dynamicznie zmieniającej się społeczności, która na przestrzeni epok wchodziła w kontakt z różnymi cywilizacjami: od greckiej *koine*, przez światy łaciński i bizantyjski, po islam, zachodni feudalizm i nowoczesne państwo włoskie. Frétigné przeciwstawia się czemuś, co można określić jako fundamentalną skazę sycylijskiej historii. Tą skazą – tak często wykorzystywaną przez reżimy chcące utrzymać status quo – była opowieść o przeklętej, naznaczonej korupcją, obcymi najazdami, kolonizacją i eksploatacją wyspie. Miało to być miejsce, gdzie wszelkie próby zmiany skazane były na niepowodzenie, czemu w genialny sposób dał wyraz Giuseppe Tomasi di Lampedusa, pisząc „Geparda". Frétigné odrzuca ów mit, kreśląc o wiele bardziej dynamiczny obraz ludzi, całych społeczności, rzuconych w wir historii.

TOMASZ TARGAŃSKI

© MP (4)

eprasa.pl 2a79540d47

film

Rodzinna psychodrama 5/6

Wartość sentymentalna, reż. Joachim Trier, prod. Norwegia, Francja, Dania, 133 min, w kinach od 27 lutego

„Sztuka to nie jest terapia. To prawda, która kosztuje" – mówił Joachim Trier w niedawnym wywiadzie dla POLITYKI. W jego najnowszym filmie staje się przede wszystkim platformą do przepracowania rodzinnych i osobistych traum, a przynajmniej uczciwego zmierzenia się z trudną przeszłością. Utytułowany reżyser Gustav Borg (Stellan Skarsgård) przez długi czas pracował za granicą, po śmierci byłej żony wraca do Norwegii. Próbuje odnowić relację z córkami, które przed laty porzucił, lecz w ich oczach wciąż jest tym samym nieznośnym człowiekiem, co kiedyś: wyniosłym egoistą skłonnym do werbalnej przemocy, zapatrzonym we własne potrzeby. Nora (**Renate Reinsve**) nie jest zdolna przebaczyć ojcu, odrzuca rolę, którą napisał dla niej w nowym, bardzo osobistym filmie; Agnes (**Inga Ibsdotter Lilleaas**) przynajmniej próbuje zrozumieć przeszłość Gustava. I jest jeszcze ta trzecia, Rachel (Elle Fanning), amerykańska gwiazda, która ma zagrać napisaną dla Nory rolę, traktowana przez Borga jak zastępcza córka. Między tą czwórką bohaterów rozgrywa się doskonale poprowadzony dramat wzajemnych pretensji, stłumionych uczuć, niewypowiedzianych emocji.

„Wartość sentymentalna" jest opowieścią o dziedziczeniu traumy i krzywdach, których nie można łatwo naprawić, a już z pewnością nie sposób o nich zapomnieć, lecz jednocześnie mówi o potrzebie bliskości i pojednania. Schemat rodzinnej psychodramy Trier wziął wprost z kina Bergmana i – do czego sam się chętnie przyznaje – amerykańskich filmów z lat 70., ale przepisał go po swojemu, z wrażliwością, empatią i poczuciem humoru (scena z prezentem wręczonym przez Gustava wnukowi bije na głowę wszystkie komedie ostatnich lat). Mistrzowska reżyseria, wybitne aktorstwo, świetnie puentująca emocje muzyka Hani Rani złożyły się na jeden z najpiękniejszych filmów sezonu. Dziewięć nominacji do Oscarów dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Thriller z Katynia 4/6

Pojedynek, reż. Łukasz Palkowski, prod. Polska, Irlandia, Ukraina, 113 min, w kinach od 27 lutego

Drugi pełnometrażowy film o mordzie katyńskim ma zgoła odmienny charakter niż pamiętne widowisko Andrzeja Wajdy – portret zbiorowy polskiej inteligencji, którego przewodniczkami były kobiety czekające na powrót wziętych do niewoli oficerów. „Pojedynek" to kameralna historia skupiona na losach dwóch tylko antagonistów: Wasilija Zarubina – asa sowieckiego wywiadu, a przy tym miłośnika muzyki klasycznej, wsławionego m.in. tym, że przed wojną założył największą siatkę szpiegowską w faszystowskich Niemczech (postać autentyczna), i zatrzymanego w Kozielsku młodego porucznika, niezwykle uzdolnionego pianisty, o którym ze względu na jego artystyczne lenistwo i hulaszczy tryb życia gazety pisały „zmarnowany talent". Sowiecki major (Aidan Gillen) działa niczym Mefistofeles, roztaczając przed Polakiem (Jakub Gierszał) uroki bycia posłusznym Stalinowi niewolnikiem, wierząc, że jeśli jego złamie, reszta oficerów też mu ulegnie. „Pojedynek" trzyma się dość wiernie faktów. Znawcy tematu potwierdzają, że zanim oficerów zabito, próbowano ich zwerbować. Rzecz jest solidnym, intelektualnym thrillerem, którego stawką jest nie tylko honor i godność, ale i przyszłość ojczyzny oraz Europy. Bardziej wymagających widzów warto jednak uprzedzić, że chociaż twórcy mieli ambicję, by pokazać to, co nie jest powszechną wiedzą o Katyniu, wyrafinowania w nim nie znajdą.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Jakub Gierszał w roli artysty kuszonego przez enkawudzistę.

© M2 FILMS, JAROSŁAW SOSIŃSKI/BOW AND AXE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, KAROLINA JÓŹWIAK, NETFLIX

eprasa.pl 2a79540d47

Kobiety bez głosu 3/6

Richard Strauss, **Kobieta bez cienia**, reż. Mariusz Treliński, kier. muz. Bassem Akiki, Teatr Wielki-Opera Narodowa

Po udanej „Salome" we Wrocławiu „Kobieta bez cienia" (wystawiona wcześniej w Lyonie) wydaje się regresem w twórczości reżyserskiej Mariusza Trelińskiego. Podcinanie sobie żył przez bohaterkę w łazience tak samo nie pasuje do „Kobiety bez cienia", jak nie pasowało do „Orfeusza i Eurydyki" Glucka. Podobnie motyw wypalenia, melancholii rodem z filmu Larsa von Triera, też niewiele ma wspólnego z postacią Cesarzowej, kobiety-dziecka, która by ocalić męża, chce zdobyć cień, ale nie chce go zabierać innej kobiecie. Treliński widzi tu też motyw z „Persony" Ingmara Bergmana, jednej kobiety wchodzącej w przestrzeń drugiej, co także w tym dziele nie ma zastosowania. Ta mizoginistyczna i pronatalistyczna (głosy Nienarodzonych Dzieci!) baśń nie zakłada u kobiet psychologii, nie daje im nawet imion. Rzadko bywała wystawiana (w Warszawie to pierwsza inscenizacja, a druga w powojennej Polsce). Muzyka jest wspaniała, ale treść anachroniczna – choć dziś niestety te treści wracają. Ten spektakl ma swoje lepsze strony, jak orkiestra czy scenografia autorstwa Fabiena Lédé, a także rola Cesarza (Tadeusz Szlenkier), ale kiedy główne role kobiece zawodzą, przedstawienie pada. Największy zawód to Annemarie Kramer jako Cesarzowa (na początku zresztą zapowiedziano jej niedyspozycję) i **Lise Lindström** jako Żona Baraka o ostrym, krzykliwym głosie; Lindsay Ammann jako demoniczna Mamka (jedyna z obsady, która wystąpiła również w Lyonie) też jest nierówna, choć z tej trójki najlepsza.

DOROTA SZWARCMAN

Chłodny wieczór 2/6

Zaklinanie węży w gorące wieczory, według Małgorzaty Żarów, reż. Jan Jeliński, Teatr Dramatyczny w Warszawie

W dobrze przyjętym debiucie powieściowym sprzed czterech lat Małgorzata Żarów z poczuciem humoru i dystansem bawi się konwencjami literackimi i pokazuje erotykę z kobiecej perspektywy. Główna bohaterka, znana pod pseudonimem Violet Love, którego używa jako *camgirl* (internetowa seksworkerka), przemierza zasnutą dymem po tajemniczym wybuchu Warszawę w podartej sukni ślubnej z odpryskami złotej farby, spotykając po drodze rozmaite postacie. Jej spojrzenie na swoją pracę, na seks i na rzeczywistość bywa przewrotne, dużo tu sarkazmu, ale też (profesjonalnego) zrozumienia dla ludzkich pragnień, słabości, marzeń. Inteligentne poczucie humoru bohaterki, granej z charyzmą przez **Helenę Urbańską**, jest też jasnym punktem pozbawionego innych walorów spektaklu Jana Jelińskiego. Jednak spostrzeżenia Violet i Żarów, sumujące się w adaptacji reżysera w opowieść o rozczarowaniu i wykorzystaniu, same nie udźwigną przedstawienia, nawet trwającego tylko 100 minut i pokazywanego na małej scenie. Brakuje wsparcia w postaci reżyserii wykraczającej poza najprostsze, bezpieczne i infantylne chwyty – od scen seksu, przez nagrania wideo z krzakami czy z bohaterami wspinającymi się na siedzenia w tramwaju, po trzecioosobową narrację, którą posługują się pozostałe postacie. Efektem jest spektakl krótki (i o seksie), który się dłuży.

ANETA KYZIOŁ

serial

Pomnik obsesji 3/6

Muzeum niewinności, reż. Zeynep Günay Tan, Netflix, 9 odc.

Turecki serial na podstawie jednej z najważniejszych powieści Orhana Pamuka „Muzeum niewinności", napisanej już po Nagrodzie Nobla, zapowiadał się nieźle. Pojawia się i sam Pamuk – w pierwszych scenach piszący powieść o miłosnej obsesji. Bohaterem jest bogaty biznesmen Kemal (**Selahattin Paşalı**), który zakochuje się w biednej kuzynce Füsun (**Eylül Kandemir**) tuż przed zaręczynami z inną kobietą ze swojej sfery. Stają się kochankami, ale potem dziewczyna znika. Widzimy (i to jest dobrze pokazane), że w tym miłosnym szale jest ukryty potworny ból, że taka miłość sieje zniszczenie, nie może być spełniona. Kemal zaczyna gromadzić przedmioty, których dotknęły ręce ukochanej – od niedopałków po tarkę do pigwy. Powieść Pamuka była melancholijnym katalogiem przedmiotów, w których bohater znajdował ukojenie. Powstało zresztą w Stambule prawdziwe Muzeum Niewinności, z eksponatami z powieści. W wersji serialowej zostaje z tego niestety dosłowność: muzeum jako pomnik obsesji. Powieść rozgrywająca się w latach 70. była też panoramą życia codziennego Turcji – zderzenia nowoczesności i tradycji, która więziła kobiety. I tej perspektywy kobiet zabrakło w serialu – bunt Füsun, która czuje się zamknięta w złotej klatce przez mężczyzn, jest sprowadzony do kilku grymasów. Warto raczej wrócić do powieści, bo adaptacja z odcinka na odcinek zamienia się coraz bardziej w kiczowaty wyciskacz łez.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

eprasa.pl 2a79540d47

Pilne! 5/6

Amanda Montell, **Wiek magicznego myślenia. Opowieść o współczesnej irracjonalności**, przeł. Adam Pluszka, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 240

Uwaga! Ważna książka! Takie klikbajtowe zawołania to jeden z tematów literackiego eseju Amandy Montell, która trwające stulecie nazywa erą irracjonalności i triumfu magicznego myślenia. Bombardowani informacjami, tracimy rozeznanie, co jest naprawdę istotne i pilne. Montell posługuje się psychologiczną gamą błędów poznawczych, jakim ulegamy, żeby ten przytłaczający, napompowany bodźcami świat jakoś ogarnąć i uprościć. To nasz mechanizm adaptacyjny, ale skutki bywają opłakane, np. gdy zawierzamy – jak to Montell nazywa – terapiom spiskowym. Autorka sama jest zdumiona, ilu jej znajomych śledzi w sieci konta rozmaitych coachów i specjalistów od medycyny alternatywnej. „Poziom oddawania czci stał się żarłoczny" – pisze. Nasz stosunek do celebrytów i wątpliwych autorytetów to interesujący punkt wyjścia do rozważań o tym, jak działa ludzki umysł. Rozdział poświęcony Swifties i innym fandomom jest fascynująco-porażający – stani (połączenie fanów i stalkerów) są roszczeniowi, krzywdzą i swoje ukochane gwiazdy, i samych siebie. Efekt aureoli, błąd przeżywalności czy błąd utopionych kosztów wyjaśniają, dlaczego lekceważymy „pierdyliardy dzwonków alarmowych", tkwimy w niewłaściwych związkach, traktujemy kłamstwa jak prawdy objawione, mylimy wiedzę z ChatGPT z własną albo czujemy się zbyt pewni swego. Istotna jest też sama narracja, język. „Ulubieńcem publiczności jest rym" – pisze Montell. Zła wiadomość: nikt nie jest odporny i nikt nie jest niewinny. Ale jest i dobra: coś z tym można zrobić.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Ja, czyli ktoś zupełnie inny 4/6

Jacek Dehnel, **Historie łajdackie**, Znak Literanova, Kraków 2026, s. 170

Opowiadania Jacka Dehnela wrzucają nas w sam środek historii. Ktoś do nas mówi, czasem może to nawet być osoba nieżywa jak w „Nieznajomej z Sekwany", jednym z lepszych w tym zbiorze. Służąca rozłożona na marmurowym blacie w miejskiej kostnicy snuje swoją narrację, zadziorną i niepozbawioną humoru: „nikt nie obiecywał, że będzie łatwo być nieżywą". Lekko opowiada o tym, jak z rozpaczy rzuciła się z mostu prosto do rzeki. To opowiadanie prowadzi nas w inne rejony – i wtedy się przekonujemy, że to, co nam się wydaje, jest w istocie zupełnie czymś innym. Nić snu, zaburzonej tożsamości, złudzenia, których nie odróżniamy od jawy, towarzyszą nam podczas lektury wielu z tych tekstów. Odsłania się w tych utworach zakryta strona rzeczywistości, ciemna i rzadko dochodząca do głosu. Czasem w błysku świadomości ktoś tu zaczyna rozumieć, że jest kimś innym. Nie żyje swoim życiem. A czasem to życie okazuje się tak trudne, że nie pozostaje nic innego, niż przeciąć je jednym strzałem – jak w opowiadaniu „Ćwiartka papieru". Ma ono swoje źródło w autentycznej notatce prasowej o samobójstwie pary kochanków w 1934 r. Z kilku lakonicznych zdań powstała historia o zawiedzionych nadziejach, tułaczce w poszukiwaniu pracy, brawurze i przedmiotach, które musi odebrać zdradzona żona denata. Rzeczy zmarłych rozpoczynają wtedy swoją własną podróż. Ktoś krzyczy w nocy, za tym krzykiem kryje się kolejna historia cierpienia. Te opowiadania mają różny ciężar. Przechodzimy od przedmiotów, bibelotów do historii ludzi. Dehnel lubi detale, jego styl bywa inkrustowany i jednocześnie jest zaczepny, co kontrastuje – i to daje ciekawy efekt – z ciemnością i cierpieniem, które kryją się za tymi historiami.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

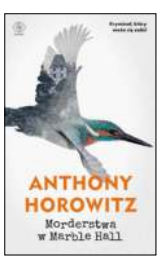

Zabić za książkę 4/6

Anthony Horowitz, **Morderstwa w Marble Hall**, przeł. Maciej Szymański, Dom Wydawniczy Rebis, Warszawa 2025, s. 592

Zbrodnicze namiętności w świecie wydawniczym? Trudno to sobie wyobrazić. Ale jeśli chodzi o kryminał, w którym autor szyfruje mroczne sekrety swoich bliźnich, zatem przy bystrym czytaniu mogą wyjść na jaw? To trzecia powieść Horowitza z serii o redaktorce Susan Ryeland. Zbudowana jest według tego samego schematu: książka w książce, dzieło na przemian z przygodami jego autora i redaktorki. Susan pracuje tym razem nad książką aspirującego pisarza, kontynuującą poczytny cykl z detektywem Atticusem Pündem w roli głównej, stworzony przez zmarłego w pierwszej części tej trylogii Alana Conwaya. Eliot Crace jednak swojego dzieła nie ukończy, ponieważ zostanie zamordowany. Susan poszukuje nie tylko przyczyn i sprawcy jego śmierci, ale też tajemnic jego majętnej, pozornie nobliwej, a w rzeczywistości patologicznej rodziny, którą się zainspirował. Nietrudno przewidzieć, że narazi przy tym własną karierę, a nawet życie. Anthony Horowitz szczerze wyznaje w podziękowaniach, że napisał tę książkę, ponieważ aktorka grająca główną rolę w serialach powstałych na podstawie poprzednich części była chętna do kontynuacji tego zadania. Ten brytyjski autor znany jest również jako wzięty scenarzysta m.in. kilku odcinków seriali „Poirot" i „Morderstwa w Midsomer"; miłośnicy tego ostatniego rozpoznają pochodzenie nazwy powieściowego wydawnictwa Causton Books.

DOROTA SZWARCMAN

eprasa.pl 2a79540d47

© AMANDA EDWARDS/GETTY IMAGES FOR FILM INDEPENDENT, NATALIA GĄSOWSKA /MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, MP (5)

galeria

Z Norwidem na sztandarze 5/6

Młodopolska Grupa Pięciu. Zapomniani buntownicy, Muzeum Narodowe w Krakowie, do 5 lipca

Wystawa z gatunku tych, kiedy pomysł leży na ulicy i wystarczy się pochylić. Niestety przez ponad sto lat nikt tego nie zrobił, a teraz ekspozycja budzi niemałą sensację. Chodzi bowiem o Grupę Pięciu, która na początku XX w. działała przez niespełna dwa i pół roku, po czym poszła w zapomnienie. Z dzisiejszej perspektywy jeden z jej członków to wielka gwiazda. Mowa o zmarłym niedługo po rozpadzie formacji Witoldzie Wojtkiewiczu. Na rynku sztuki świetnie znany jest także drugi z uczestników, Wlastimil Hofman. Ten dla odmiany żył bardzo długo, choć po genialnym początku kariery obniżał loty. Grupę uzupełniało trzech niedocenionych malarzy: Mieczysław Jakimowicz, Jan Rembowski i Leopold Gottlieb (najmłodszy brat dużo bardziej znanego Maurycego). Za patrona „Piątka" obrała sobie C.K. Norwida, a ich twórczość żeglowała gdzieś między Malczewskim a Wyspiańskim, niosąc z sobą sporo melancholii, duchowości, a niekiedy groteski. Bardzo rzetelnie przygotowaną wystawę rozszerzono zarówno o prace powstałe przed powstaniem grupy, jak i po jej rozpadzie (mniej więcej do pierwszej wojny światowej) oraz o dzieła artystów, którzy duchowo i towarzysko orbitowali wokół formacji (m.in. Tymona Niesiołowskiego). Ogląda się to świetnie, a wiele mniej znanych prac zaskakuje najwyższą jakością młodopolskich uniesień.

PIOTR SARZYŃSKI

muzyka

Pełna rozdzielczość 4/6

Spięty, **Full HD**, Mystic Production

Tytuł tego albumu sugeruje, że oto mamy przed sobą dokładny obraz. Duszy autora? Opisywanej w tekstach rzeczywistości? Precyzji w wykorzystywaniu środków artystycznej ekspresji? Można założyć, że w grę wchodzi każdy z tych wymiarów. Precyzja w realizacji zamysłu muzycznego jest niewątpliwa. Spięty swoim zwyczajem eksploruje różne style muzyczne, tym razem jednak związane przeważnie z tańcem. Są więc elementy funku, disco, nawet tanga i bolero, w intro do piosenki „Atrapa łajdaka" pobrzmiewa zaś grany na akordeonie walczyk. Wszystko to jest dobrze zagrane, choć w warstwie tekstowej autor zdaje się bardziej koncentrować na grze językowej („zapalenie przedrostka", „stan podgorączkowy sobotniej nocy") niż na czysto dyskursywnym przekazie.

MIROSŁAW PĘCZAK

Rekordy i refleksje 5/6

Yunchan Lim, **Bach, Goldberg Variations**, Decca Classics

Wariacje goldbergowskie to wyzwanie dla pianisty, zwłaszcza że zostały napisane na klawesyn dwumanuałowy, więc wykonywanie ich na jednej klawiaturze może sprawiać techniczne problemy. Koreański solista Yunchan Lim, który od czasu wygranej na konkursie Vana Cliburna w 2022 r. w wieku 18 lat (jako najmłodszy w historii) jest jedną z sensacji świata pianistycznego, technicznych problemów nie ma żadnych: wszystkie szybsze wariacje perlą się okrągłymi dźwiękami w rekordowych czasem tempach, z młodzieńczą energią i dezynwolturą. Te powolne, refleksyjne może mają w sobie zbyt wiele romantycznego rozchwiania, żadnych jednak zastrzeżeń nie można mieć do wzruszającej Wariacji 25 ani do Arii – tematu wariacji, który pojawia się również na koniec. Najbardziej imponujące jest, że nagranie zostało dokonane na żywo podczas recitalu w nowojorskiej Carnegie Hall.

DOROTA SZWARCMAN

REKLAMA

PRZE
NIK
ANIE

LUTY-MARZEC 2026
Witkacy Atelier

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
AMANI
Witkacy Atelier
NAGRODA IMIENIA PROFESORA JACKA ŻUŁAWSKIEGO

MACIEJ **ŚWIESZEWSKI**

oraz Laureaci Nagrody im. Jacka Żuławskiego
i studenci z Pracowni prof. Macieja Świeszewskiego

MICHALCZUK | WYPCHŁO | MARCHLEWSKA CHOROŚ | KALMAN GAZDA | ANTOLAK | BOETCHER | BOGUSZEWSKA | DIMITROVA JEKA | KLACZYŃSKA | MAY | OLSZÓWKA | PAULAVETS | RZĄSKA TYRAŃSKI | WALIGÓRSKA | WISZNIEWSKI

Wernisaż wystawy
28 lutego 2026 | godz: **18.15**
Witkacy Atelier | ul. Chramcówki 15 | Zakopane

Patroni Honorowi
Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku
Patronat Honorowy Prezydent Miasta Gdańska
Patronat Honorowy Burmistrza Miasta Zakopane

Patroni Medialni
POLITYKA
RYNEK SZTUKA

eprasa.pl 2a79540d47

Podzielność ekranu

ANETA KYZIOŁ

Jeśli coś jest nie tak z nowymi filmami i serialami, może to oznaczać, że zmieniają je przyzwyczajenia widzów: ma być wszystko, wszędzie i naraz. Na wielu ekranach jednocześnie.

Nowy rok Netflix zaczął filmem z wielkimi gwiazdami w obsadzie: w „Łupie" główne role grają Matt Damon i Ben Affleck. Akcyjniak o policjantach, brudnej forsie i moralnych dylematach ogląda się łatwo, a jeszcze łatwiej zapomina. Większym echem niż samo dzieło odbił się promujący je wywiad, a konkretnie wypowiedź Matta Damona w podkaście Joe Rogena dotycząca Netflixa. Aktor zdradził, że serwis prosi twórców o zmiany w narracji: „Standardowy sposób tworzenia filmu akcji, którego się nauczyliśmy, polegał na tym, że zazwyczaj mamy trzy sceny kluczowe. Jedną w pierwszym akcie, jedną w drugim i jedną w trzecim. Większość pieniędzy wydaje się na tę w trzecim akcie. To finał. A teraz mówią: »Czy możemy mieć coś wielkiego w pierwszych pięciu minutach? Chcemy, żeby ludzie zostali. I nie byłoby źle, gdybyś powtórzył fabułę trzy lub cztery razy w dialogu, ponieważ ludzie podczas oglądania są zajęci swoimi telefonami«". „To naprawdę zacznie wpływać na sposób, w jaki opowiadamy historie" – uderzył w wielki dzwon.

Siedzący obok Ben Affleck tonował nastrój, przypominając, że hitem ubiegłego roku na tym samym Netflixie było zrealizowane wbrew smartfonowym regułom „Dojrzewanie", i tłumaczył pragmatycznie: „To jak podaż i popyt. Ludzie chcą patrzeć na swoje telefony. Mogą oglądać TikToka... i będą to robić. Myślę, że można po prostu starać się robić (filmy i seriale – przyp. red.) najlepiej, jak się da. A ludzie nadal będą chodzić do kina".

Wypowiedź Damona wywołała reakcje. Od najprostszych: Netflix traktuje widzów jak idiotów, kiedyś to były prawdziwe filmy i seriale, a teraz są bryki dla młodzieży wychowanej na TikToku. Przez usprawiedliwienie słabego finałowego sezonu „Stranger Things": odcinki są tak długie i się ciągną, bo bohaterowie co chwila muszą tłumaczyć akcję sobie nawzajem i widzom. Aż po próby analiz socjologicznych – w końcu Netflix jest platformą, która od swojego zarania zbiera i analizuje dane na temat zachowań widzów i na ich podstawie buduje swoją ofertę. W jakim stopniu – tu trwają dyskusje, bo władze serwisu są ostrożne w deklaracjach, a artyści w rozmowach z dziennikarzami zwykle wychwalają wolność twórczą, jaką zapewnia. Przynajmniej ci, którzy wypowiadają się pod nazwiskiem. Jednocześnie – jak

eprasa.pl 2a79540d47

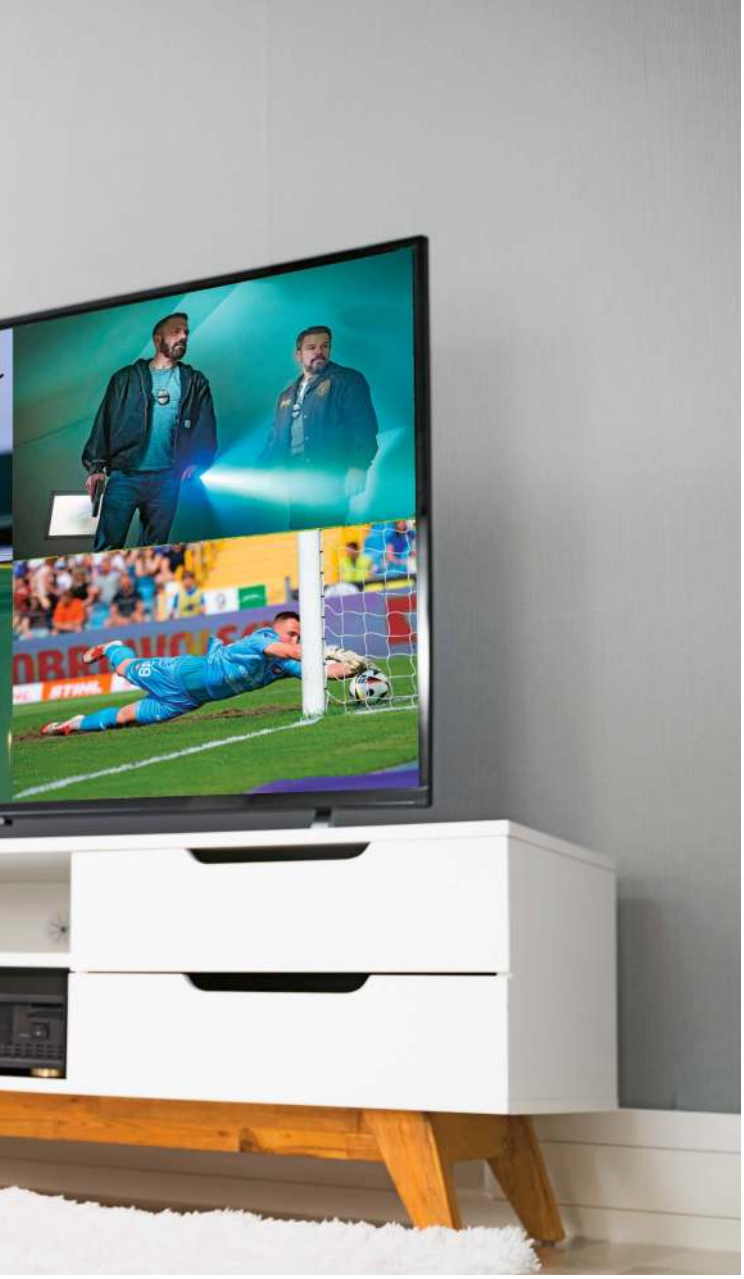

© ANDREY_POPOV/SHUTTERSTOCK, FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS, CLAIRE FOLGER/NETFLIX, NETFLIX, ROBERT SKALSKI/SHUTTERSTOCK

przyznaje w „Guardianie" James Hamilton, twórca animowanych serii „Psy w kosmosie" i „Jentry Chau kontra potwory" – seriale nie powstają w oderwaniu od publiczności i tego, jak konsumuje ona treści. Sami twórcy też przecież bywają widzami i również miewają problemy z odłożeniem smartfona na czas seansu.

Netflix nie komentuje wypowiedzi Damona. Za to już w grudniu 2024 r. tytułowa bohaterka wyprodukowanego przez serwis satyrycznego świątecznego show „A Nonsense Christmas with Sabrina Carpenter" witała widzów słowami: „Moglibyście być gdziekolwiek dziś wieczór..., ale zamiast tego jesteście tutaj, półoglądając duży ekran podczas scrollowania mniejszego".

Prestiż i komfort

Streaming, a wcześniej telewizja kablowa, powstały jako alternatywa dla masowej, często śmieciowej telewizji. Produkcje HBO z początku XXI w. wysoko zawiesiły poprzeczkę. Netflix, a potem kolejne platformy, starały się dorównać poziomem do dzieł, takich jak „Prawo ulicy", „Rodzina Soprano", „Rzym" czy „Deadwood", i udawało się na tyle często, że powstał termin *prestige TV* – telewizja z górnej półki, dla wymagających. W 2006 r. w książce „Everything Bad Is Good for You: How Today's Popular Culture Is Actually Making Us Smarter" (Wszystko, co złe, jest dla ciebie dobre: jak dzisiejsza kultura popularna czyni nas mądrzejszymi) Steven Johnson udowadniał, że współczesna popkultura to skomplikowane narracje, a nadążanie za nimi rozwija zdolności poznawcze i inteligencję odbiorcy.

Sytuację zmieniła pandemia, zamknięci w domach i przerażeni ludzie od serwisów streamingowych oczekiwali nie tyle łamigłówek, ile pocieszenia, ucieczki od rzeczywistości i poprawy nastroju. Nowy termin *comfort TV* opisywał seriale i programy niewymagające przesadnego zaangażowania intelektualnego czy emocjonalnego i przynoszące ulgę. Wtedy też serwisy streamingowe przeszły w tryb dawnej telewizji, bez ramówki, ale z coraz pełniejszym wachlarzem telewizyjnych formatów: od starych i nowych sitcomów, przez reality show, procedurale medyczne i prawnicze, „zbrodnie tygodnia", po – w co obecnie inwestuje się najwięcej – prawa do transmisji wydarzeń sportowych.

Przejmując rolę telewizji, serwisy musiały się pogodzić z tym, że będą traktowane jak ona, czyli będą działać w tle, jak kiedyś telewizor towarzyszący domownikom podczas rozmaitych czynności. Tyle że dziś na pierwszym planie nie jest prasowanie czy obiad, ale przeglądanie mediów społecznościowych na smartfonie i sprawdzanie newsów. Zamiast telewizji tła mamy *second screen TV* – drugoekranową, z duchem czasów, w których coraz większą część życia spędzamy w przestrzeniach wirtualnych.

Dziś chodzi o różnorodność produkcji, uwzględnienie różnych wrażliwości, potrzeb intelektualnych i emocjonalnych widzów, by streaming nie stał się kopią masowej telewizji. „Myślę, że chodzi po prostu o intencjonalność poszczególnych programów. Problem pojawiłby się, gdyby wszystkie musiały przestrzegać tych zasad" – komentował w „Guardianie" wypowiedź Matta Damona o dostosowywaniu sposobu narracji do nawyków widzów Joe Barton, scenarzysta seriali Netflixa „Giri/Haji" czy „Black Doves". I dodał: „Innym wyzwaniem, nad którym scenarzyści pracują od zarania dziejów, jest znalezienie równowagi między podtekstem a niezręczną ekspozycją. Jak sprawić, by widzowie zrozumieli, co się dzieje, nie podając im wszystkiego na tacy?".

Gnicie uwagi

Tymczasem rzeczywistość pędzi dwutorowo. Badania pokazują (pisaliśmy o tym w POLITYCE 49/24), że skraca się *attention span* – zdolność utrzymania uwagi. W 2004 r. statystycznie potrafiliśmy się skupić na jednym zadaniu przez dwie i pół minuty, dziś tylko przez 47 sekund. Jak wynika z badań dr psychologii Glorii Mark z Uniwersytetu Kalifornijskiego, pracujący na komputerze średnio co 47 sekund przełączają się między otwartymi kartami albo aplikacjami. Miejsce uwagi głębokiej zajęła hiperuwaga, która pozwala na multitasking – wielozadaniowość, ale kosztem utraty umiejętności głębszego zaangażowania w lekturę czy oglądanie, przytępienia wrażliwości, a w samej pracy – większego stresu, większej liczby błędów oraz wolniejszego tempa, bo przy każdej zmianie zadania mózg potrzebuje czasu, by się przystosować.

Nieskończona liczba treści na wyciągnięcie palca, oferowana przez serwisy streamingowe, skutkuje także tym, że coraz więcej osób ogląda programy i słucha podkastów na przyspieszeniu: półtora albo dwa razy szybciej. Problemem społecznym stał się *doomscrolling* – kompulsywne i bezcelowe przeglądanie negatywnych treści w internecie. A słowem roku 2024 według Uniwersytetu Oksfordzkiego zostało *brain rot*, czyli „zgnilizna ▶

eprasa.pl 2a79540d47

▶ mózgu", wywoływana przez „nadmierne konsumowanie trywialnych i mało ambitnych treści internetowych". Opublikowana w następnym roku analiza Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego dowodziła, że zjawisko jest prawdziwe: kompulsywne scrollowanie, zwłaszcza oglądanie krótkich filmików, pogarsza zdolności poznawcze.

„The Atlantic" w niedawnym artykule przepytał 20 wykładowców kierunków filmowych na amerykańskich uniwersytetach i większość przyznała, że trudno dziś przekonać studentów nie tylko do czytania książek, ale też do oglądania filmów, zwłaszcza dłuższych i za jednym posiedzeniem. Akira Mizuta Lippit, profesor kinematografii i mediów na Uniwersytecie Południowej Kalifornii, jednym z najlepszych wydziałów filmowych w USA, powiedział, że jego studenci przypominają mu osoby uzależnione od nikotyny przechodzące detoks podczas seansów filmowych: im dłużej nie sprawdzają telefonów, tym bardziej się wiercą. A potem nie są w stanie odpowiedzieć na pytania dotyczące fabuły.

Na podobny problem zwróciła niedawno uwagę aktorka Agata Kulesza w podkaście „Bliskoznaczni": „Obserwując młodych aktorów (być może to jakaś moja schiza starszej osoby, dojrzałej), uważam, że nie są w stanie zrobić wielkiej roli, jeśli będą na planie siedzieć w telefonie. Mają inny rodzaj skupienia. Są zdekoncentrowani. Kończą granie sceny i później patrzą, coś tam sprawdzają w telefonie czy odkładają telefon tuż przed ujęciem". Podobne opinie można usłyszeć od reżyserów teatralnych.

Klatka na telefon

Drugim torem biegnie prawo. Kolejne kraje wprowadzają albo rozważają wprowadzenie zakazu korzystania z mediów społecznościowych przez osoby poniżej 16. roku życia, szkoły zabraniają korzystania ze smartfonów podczas lekcji. Komisja Europejska właśnie nakazała TikTokowi wyłączenie nieskończonego przewijania, wprowadzenie obowiązkowych przerw w korzystaniu z aplikacji i zmianę systemów rekomendacji. Jest to wynik przekonania, że TikTok uzależnia użytkowników, zwłaszcza dzieci. Dochodzenie sprawdzające, czy stanowią zagrożenie dla dzieci, toczy się w sprawie Facebooka i Instagrama. A w Los Angeles właśnie rozpoczął się ważny, bo precedensowy, proces cywilny wytoczony korporacjom Meta i Google (Snapchat i TikTok poszły na ugody) przez 19-latkę, która jako dziecko uzależniła się od Facebooka, Instagrama oraz YouTube, przez co mierzyła się z depresją, stanami lękowymi i zaburzonym postrzeganiem własnego ciała. „Wykorzystując w dużym stopniu techniki behawioralne i neurobiologiczne stosowane w automatach do gry i wykorzystywane przez przemysł tytoniowy, oskarżeni celowo umieścili w swoich produktach szereg cech konstrukcyjnych mających na celu maksymalizację zaangażowania młodzieży, aby zwiększyć przychody z reklam" – czytamy w dokumentach sądowych.

W tych samych mediach społecznościowych można też znaleźć porady psychologów, coachów i reklamy gadżetów, pomagające się wyrwać z nałogu scrollowania. Od zmiany interfejsu smartfonu na czarno-biały, więc mniej atrakcyjny i przyciągający uwagę albo smartfonu na *dumbphone* – telefon z ograniczoną liczbą funkcji. Przez ćwiczenie nawyku odkładania telefonu w jedno miejsce, bez noszenia go przy sobie, czy zakup tradycyjnego zegarka, by sprawdzanie godziny nie było wstępem do dryfu po aplikacjach. Ale można też kupić Smartphone Lock Box – klatkę z timerem, na którym ustawia się czas, po którego upłynięciu zwalniają się drzwiczki i można wyjąć smartfon.

Wykładowcy z artykułu „The Atlantic" stosują wobec swoich studentów dwie strategie. Jedni wrzucają ich na głęboką wodę w nadziei, że tak nauczą się pływać – czyli organizują kursy *slow cinema* z pokazami ekstremalnie długich filmów, z powolną, subtelnie prowadzoną akcją, często złożoną z pozornie banalnych czynności. Jak trzyipółgodzinne arcydzieło Chantal Akerman „Jeanne Dielman, Bulwar Handlowy, 1080 Bruksela". Albo próbują sprzedawać trening uwagi jako nowy challenge. I czasem się udaje.

Jeszcze inni, widząc, jaką torturą jest dla młodego pokolenia odcięcie od smartfonu, godzą się z rzeczywistością i dostosowują kursy do potrzeb, wrażliwości i możliwości studentów. W końcu po studiach będą robić kino i dla własnej generacji.

Igrzyska w multiview

Tymczasem wieloekranowość staje się standardem dla wszystkich pokoleń. Media się do tego dostosowują. Zresztą tu też nowa jest powszechność zjawiska i technologie, bo o tym, że było obecne wcześniej, świadczy przykład programów telewizyjnych zachęcających widzów do wysyłania esemesów, a nawet komentowania w mediach społecznościowych z określonym hasztagiem – jak Konkurs Piosenki Eurowizji. W tym roku – jak zapowiada TVP – widzowie polskich preselekcji będą mogli głosować na swoich faworytów także online, poprzez aplikację TVP VOD.

Najszybciej do nowego trendu dostosował się sport, włączając tryb multiview: z ekranem telewizora czy smartfonu podzielonym na dwie, trzy lub cztery mniejsze części. Dzięki temu nie trzeba przełączać się między kanałami, żeby śledzić wyniki rozgrywanych w tym samym czasie wydarzeń sportowych, ale można też oglądać ujęcia z różnych kamer tego samego wydarzenia, śledzić statystyki, wizualizacje AI itp. Przełomowe pod tym względem były letnie igrzyska olimpijskie w Paryżu sprzed dwóch lat, a zakończone właśnie zimowe wzniosły trend wieloekranowości na nowy poziom. Z ceremonią otwarcia po raz pierwszy w historii odbywającą się jednocześnie w czterech miejscach (polską flagę nieśli Natalia Czerwonka w Mediolanie i Kamil Stoch w Predazzo), z dwoma zniczami olimpijskimi zapalanymi w dwóch miejscach i włoskim hymnem wykonywanym przez Laurę Pausini w Mediolanie z towarzyszeniem chóru górskiego śpiewającego w Cortinie d'Ampezzo.

Serwisy streamingowe walczą, by nie być tylko drugim ekranem. Najszybciej rozwijającym się biznesem w Hollywood (własne firmy zakładają byli dyrektorzy renomowanych studiów filmowych) jest obecnie produkcja seriali na smartfony – *vertical drama*, w skrócie verticali, od pionowego formatu 9:16. Odcinki trwają do minuty, czyli nieco ponad obecny 47-sekundowy *attention span*, a cały sezon można obejrzeć na przestrzeni kilku przystanków metra czy autobusu. Często są skondensowanym – zamiast scen walki jest jeden cios itd. – odpowiednikiem hitowych seriali czy filmów, od dram *young adult*, przez „50 twarzy Greya", po ostatni szał na seriale o hokeistach.

W Polsce trzy lata temu zabawny *vertical* z kilkunastoma minutowymi odcinkami wyprodukowała firma Blik: „Bitwy Bliskich" w reż. Martina Stankiewicza. A teraz na platformie WOW zadebiutowała siedmioodcinkowa „Otchłań" w reż. Darii Woszek, z Sonią Bohosiewicz i Wiktorią Gąsiewską w obsadzie. To historia o dojrzewaniu, z krakowskim czakramem jako punktem wyjścia. TikTok, Instagram Reels i YouTube Shorts wychowały nie tylko odbiorców kultury, ale też jej twórców.

ANETA KYZIOŁ

eprasa.pl 2a79540d47

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Krzysztof Ziemiec wraca do telewizji. Jego nowy program pokażą Antena HD, TVC oraz Telewizja WTK. Szczegóły na KMWTW (Kto Ma Wiedzieć, Ten Wie).

●

Bokserka Agnieszka Rylik została oskarżona o popełnienie 13 przestępstw polegających na pożyczaniu pieniędzy od znajomych, a następnie zrywaniu kontaktu. To znana taktyka w jej dyscyplinie. Doskocz. Zapier...ol. Odskocz.

●

Andziaks ogłosiła imię potomka. To Franco. Miał być Tiago, Louis, ale Franco wygrał. Tym samym Romeo Jeremi Hakiel spadł na trzecie miejsce. Na pierwszym bez zmian rodzina Wiśniewskich. Z pamięci nie przypomnę.

●

Odwołano kolejne koncerty grupy Behemoth. Tym razem w Indiach. Zespół otrzymywał groźby ze strony religijnych środowisk chrześcijańskich. Czyli nie tylko Natalia Janoszek nie jest tam gwiazdą.

●

Andrzej Piaseczny nie płaci składek ZUS. „Nie udało mi się roztrwonić nawet części tego, co zarobiłem" – wyznał. A ja szanuję ZUS. Uważam, że Amber Gold czy Palikot mogliby się od nich sporo nauczyć.

●

Michał Kempa i Wojciech Fiedorczuk odchodzą ze „Szkła kontaktowego" w TVN24. Cezary Gmyz pisał kiedyś o „śladowych ilościach trotylu". U nich było to samo z poczuciem humoru.

Sandra Hajduk-Popińska z „Dzień Dobry TVN" planuje napisać książkę. Gdy John Steinbeck skończył rękopis „Myszy i ludzi", dzieło miał pochłonąć jego pies. Liczmy na to, że pies Sandry też ma dobry smak.

●

W programie „Twoja twarz brzmi znajomo" wystąpi Rafał Brzozowski – ten sam, który reprezentował Polskę na Eurowizji. Ciekawy rozwój kariery. Od śpiewania do udawania kogoś, kto naprawdę to potrafi.

●

Justyna Steczkowska nazwała swoją koleżankę z branży „specyficzną". Edyta Górniak przyjęła to jako komplement. W repertuarze obu artystek były to najspokojniejsze kompozycje.

© PAP/STREFAGWIAZD/STACH LESZCZYŃSKI

Magda Cielecka, oskarżona o nielegalną reklamę alkoholu, została zapytana, czy ma z tego powodu kaca. Odpowiedziała, że nie. Jak widać Jan Śpiewak lepszy niż nawadnianie i elektrolity.

●

Do mainstreamu powrócił Marcin Meller. Wystarczyło tylko, że nazwał na ulicy rowerowego youtubera „kawałem tępego chu...a". Sprawdziłem w encyklopedii zdrowia. Nie ma takiego schorzenia.

●

W swoje 42. urodziny Doda ogłosiła, że 7 sierpnia 2027 r. wystąpi na Stadionie Narodowym. Tego dnia naprawdę szczerze zaśpiewam: „Nic się nie stało!".

●

„Hubert Urbański wozi się furą za gigantyczne pieniądze" – krzyczy Wirtualna Polska. Sprawdziłem. To BMW. Sarkazm to taka umiejętność pochwalenia człowieka, żeby nie wiedział, czy się ma obrazić.

●

Nowym prowadzącym program „Dzień Dobry TVN" został prowadzący program „Mam talent!" Jan Pirowski. Może kilka szczegółów o tym awansie. Jeden program jest rano, a drugi wieczorem.

●

Główny Inspektorat Farmaceutyczny oskarżył Taco Hemingwaya o nielegalne użycie nazwy leku Solpadeine w piosence „Zakochałem się pod apteką". Jestem za. A duet Xxanaxx powinien koncertować tylko po ambulatoriach.

●

„Chłopcy i dziewczynki do wynajęcia" – tak Monika Richardson określiła pracowników porannych programów telewizyjnych. Monika zna temat. W tej materii mogłaby być ich promotorem.

„Musiałby przyjechać walec i zburzyć cały ten architektoniczny syf" – to Sebastian Karpiel-Bułecka o Zakopanem. Nigdy nie czytałem tak krótkiego planu zagospodarowania przestrzennego.

eprasa.pl 2a79540d47

Ludzki element

Chciałbym wierzyć, że możemy wdrożyć AI zgodnie z zasadami etyki, ale nie wiem, czy ten dżin już nie opuścił lampy, siejąc zniszczenie – mówi Tomasz Kisilewicz z 11 bit studios, laureat Paszportu POLITYKI za grę wideo „The Alters".

OLAF SZEWCZYK: **– Postanowił pan, że chce zawodowo tworzyć gry, realizując się już w tym czasie w innym zawodzie. Skąd tak późna decyzja?**

TOMASZ KISILEWICZ: – Byłem jeszcze młodym człowiekiem, tuż po studiach, ale faktycznie podjąłem tę decyzję, pracując już jako architekt. Myśl o tworzeniu gier chodziła mi po głowie znacznie wcześniej, miałem jednak poczucie, że brak mi pewnych umiejętności. We własnym zakresie w wolnym czasie próbowałem się douczać, robić pewne rzeczy samemu. Na studiach z kolegą mieliśmy wielkie marzenie o zrobieniu rewolucyjnej gry, niestety niewiele z tego wyszło.

O czym miała być?

Chcieliśmy stworzyć coś w rodzaju „Monument Valley", ale wpadliśmy na ten koncept, zanim jeszcze „Monument Valley" trafiła na rynek. To była gra przestrzenna bawiąca się perspektywą. Byłem na studiach architektonicznych, uczyłem się grafiki 3D i czułem, że to zestaw kompetencji, na którym mogę spróbować coś zbudować. W grze zmieniało się perspektywę w izometrii i dzięki temu można było odblokować inne przejścia, by posuwać się dalej. Produkcja była na bardzo wczesnym etapie, ale pamiętam, że gdy wyszła „Monument Valley", przemknęło mi przez głowę: „O kurczę, fajnie im wyszedł ten mój pomysł!". Tak często w naszej branży bywa. Gdy tylko wyklaruje się koncepcja i mamy poczucie, że wymyśliliśmy coś oryginalnego, szybko zaczynamy dostrzegać podobne produkty dookoła.

Gry są tym medium, na którym pan się wychował?

Tak, gry zawsze mi towarzyszyły. Dość wcześnie pojawił się u nas w domu komputer PC, jeszcze z MS-DOS, bo mój tata miał swoje jednoosobowe biuro architektoniczne w jednym z pokoi i bardzo wcześnie próbował robić projekty na komputerze. Jeszcze kalki

PARTNER KATEGORII
TOTALIZATOR SPORTOWY | 7 LAT

Tomasz Kisilewicz – reżyser nagrodzonej Paszportem POLITYKI gry „The Alters", stworzonej przez zespół 11 bit studios. Gra opowiada historię Jana Dolskiego – rozbitka na obcej planecie, który aby przetrwać i odnaleźć drogę do domu, zmuszony jest stworzyć alternatywne wersje samego siebie. To opowieść o tym, jak nasze różne decyzje kształtują przebieg naszego życia.

eprasa.pl 2a79540d47

się walały po pokoju, ale już sprawdzał AutoCAD-a i inne rzeczy, które wtedy były totalną nowością. Tata był tuż po studiach i też przechodził w tym okresie rewolucję. Całe studia papierowo-kalkowe, a tu świat się gwałtownie zmienia. To był 1994, może 1995 r., ja miałem cztery latka, a komputer, jak to często bywało w latach 90., miał już magicznie wgrane gry, nie do końca legalne. Zagrywałem się w „Króla Lwa" i „Disney's Aladdin", ale bardzo lubiłem też patrzeć, jak tata grał w „Dooma". Nasze wspólne granie skończyło się na etapie „Deluxe Ski Jumping" i symulatora rajdowego „Colin McRae Rally 2.0", w którym wykręcaliśmy czasówki. Rozstaliśmy się na etapie gry „FIFA", tata miał problemy z opanowaniem jej za pomocą klawiatury.

Miał pan swoje ulubione gatunki?

Wychowywałem się w latach 90., więc było dużo pecetowych gier: „Heroes of Might and Magic", „Age of Empires", generalnie dużo strategii. Przez disnejowski początek miałem sentyment do platformówek. Gry konsolowe to były wtedy inne, egzotyczne rewiry. Znałem je z magazynów, tylko jeden kolega miał konsolę. Gdy wszedłem w świat konsolowy, w erze Nintendo 3DS i Xboxa 360, mocno wsiąkłem w gry akcji, RPG akcji, aż wreszcie trafiłem na „Demon's Souls" i „Dark Souls". Zawsze grałem przekrojowo, lubię zmieniać gry i gatunki. Dziś jestem mocno chory, leżę pod kocem, od rana grałem już w trzy tytuły.

Czym się pan zajmował w Korei Południowej?

To był fajny okres przejścia. Ostatni semestr studiów, pracę dyplomową zrobiłem już w Korei. Zostałem tam na stażu w artystycznym biurze architektonicznym Moon Hoon, prowadzonym przez dobrze rozpoznawaną postać. Szybko dogadaliśmy się z Moon Hoonem, że bardzo nas interesuje animacja komputerowa i animowane filmy. Jako że rozwijałem się w kierunku grafiki 3D i animacji, zaproponowałem, że może zrobimy rzeczy powiązane z projektami, które realizował Moon Hoon. Nie były to jednak klasyczne wideoprezentacje, ale np. film, na którym zaprojektowany przez Moon Hoona dom bronił mieszkańców wyspy Jeju przed przebudzonym wulkanem. Nagle stawał na trzy robotyczne nogi i strzelał laserami w kierunku opadających skał. To były bardzo odjechane rzeczy, świetnie się przy tym bawiłem, Moon Hoon też.

Będąc w Korei, nie miałem mocnego komputera ani konsoli, grałem więc w sporo niewymagających dużej mocy obliczeniowej gier indie – na tablecie, laptopie. Wtedy właśnie trafiłem na robiący furorę tytuł 11 bit studios: „This War of Mine". Totalnie się w tej grze zakochałem. Podjąłem decyzję, że wracam do domu i będę aplikował w 11 bit studios. Udało się.

Dlaczego „This War of Mine"?

To było dla mnie bardzo otwierające głowę doświadczenie; nie wiedziałem, że można tak podchodzić do gier. W przypadku „This War of Mine" byłem pod wrażeniem, że można na tak nietypowy temat stworzyć nie *visual novel*, ale grę systemową, z tak głęboką rozgrywką, wywołującą tak silne emocje. To był dla mnie okres formatywny. Byłem tuż po studiach, w grach zawsze szukałem rozrywki, w tym dopaminogennej; zawsze lubiłem gry akcji, FPS-y, a „This War of Mine" było antytezą tego wszystkiego. Ta gra dosłownie mówiła, że wojna to nie tylko bohaterowie z karabinem z amerykańskiego filmu. To przede wszystkim cierpienie zwykłych ludzi, którzy płacą cenę za decyzje kogoś na górze. Było to poruszające i pomyślałem, że fajnie byłoby takie rzeczy robić. Wtedy dowiedziałem, że 11 bit studios otwiera rekrutację.

Gdy pan się do nich zgłosił, nie miał pan żadnej gry w dorobku…

Miałem różnorodne i nietypowe portfolio: z modeli 3D i animacji w Korei, z tworzenia UI, czyli interfejsu użytkownika, z grafiki 2D. 11 bit studios wtedy rosło i szukało ludzi wszechstronnych. Dostałem pracę jako artysta 3D. Mocno ciągnęło mnie w stronę animacji. Pracując w gamedevie (przemyśle gier – przyp. red.), zrewidowałem to, czym chcę się zajmować. Pociągały mnie design, narracja, chciałem robić rzeczy kształtujące cały kierunek rozwoju gry.

Jak wyglądała pana droga do „The Alters"?

Byłem zaangażowany przy grze „Frostpunk" w ramach dwóch kilkumiesięcznych okresów, gdy brakowało rąk do pracy. Potem współtworzyłem fabularne dodatki do „This War of Mine", kierowałem zespołem grafików. Na końcowym etapie odpowiadałem za cały projekt. Zostałem doceniony na ścieżce menedżerskiej. Gdy firma wydzieliła trzy zespoły deweloperskie, uznano, że mogę pokierować najmniejszym z nich. Potem, gdy pierwsze prototypy okazały się bardzo obiecujące, „The Alters" urosło.

Skąd czerpał pan inspirację do „The Alters"?

W momencie kształtowania koncepcji starałem się patrzeć jak najdalej od rzeczy znanych, by nie kopiować. Potem dopiero, na dalszym etapie, zacząłem dekodować inspiracje, które siedziały w mojej podświadomości, jak choćby „Przypadek" Krzysztofa Kieślowskiego, obejrzany lata wcześniej. Podobnie było z filmem „The Moon" Duncana Jonesa, który też sobie później przypomniałem, i faktycznie, jest wiele punktów stycznych.

Procesowi twórczemu zawsze towarzyszy obawa, czy nie jest się za blisko cudzej wypowiedzi artystycznej. Pamiętam, jak przeraził mnie film „Wszystko wszędzie naraz" Dana Kwana i Daniela Scheinerta. Zwlekałem pół roku z obejrzeniem, bojąc się, że będzie zbyt podobny do „The Alters". Kamień spadł mi z serca, gdy w końcu się przemogłem, bo nasze koncepcje poszły w innych kierunkach.

Co pan chciał osiągnąć?

Zgodnie z filozofią 11 bit studios, którą przesiąkłem i staram się kierować, chciałem najpierw znaleźć interesujący temat, może w grach nie do końca zbadany, a potem przepuścić go przez odpowiednie dla niego mechaniki rozgrywki. Tę filozofię, mam wrażenie, udało się wcielić w życie w „This War of Mine", we „Frostpunku", a także w „The Alters". W pracach nad „The Alters" początkowo chodziło o tworzenie kopii siebie, które z każdą iteracją zmienialibyśmy odrobinę w jakimś kierunku. W trakcie tego procesu mieliśmy zacząć się zastanawiać, czy tak naprawdę byty, które tworzymy, są wciąż tym samym człowiekiem. To był dylemat statku Tezeusza przekuty na mechaniki gry. Na bazie tej koncepcji zaczęliśmy prace nad papierowym prototypem. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że brakuje tu ludzkiego aspektu, który moglibyśmy przełożyć na naszą codzienność. ▶

© LESZEK ZYCH, MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl 2a79540d47

▶ Ostatecznie, zamiast próbować zmieniać człowieka w sposób sztuczny, zdecydowaliśmy, że zaczynamy od rozdroża na ścieżkach jego życia, które mogłoby go uczynić innym człowiekiem. Poczuliśmy, że jest to faktycznie pytanie, nad którym wielu z nas się zastanawia.

Deklaruje pan, że stawia na połączenie głębi mechanicznej z głębią narracyjną, i że traktuje pan gry jako coś więcej niż interaktywny film czy książka.

To drugie wynika w dużej mierze z pierwszego. Mam poczucie, że gry najmocniej na nas działają, a co za tym idzie, najlepiej opowiadają historię, gdy możemy tego doświadczać – gdy poprzez systemy rozgrywki czujemy to, co gra chce nam przekazać. To właśnie wyjątkowo uderzyło mnie przy „This War of Mine". To gra mocno osadzona w ekonomicznych systemach survivalowych, w której każda historia wojenna, którą poznajemy, każdy dylemat – przekazać komuś zasoby lub nie, czy też przygarnąć do domu – cudownie funkcjonowały na poziomie systemowym. W interaktywnej *visual novel*, gdy pojawia się pytanie, czy przyjmiemy do naszego schronienia osobę z zewnątrz, może to mieć daleko idące fabularne konsekwencje. Ta osoba może przecież okazać się zdrajcą lub okraść nas w nocy. I ten mechanizm świetnie się sprawdza w opowiadaniu historii. Jeśli jednak do tego dodam całą ekonomię rozgrywki i mam w tyle głowy, że właśnie realizuję swoją strategię, rozdzieliłem sadzonki i wszystko jest wyliczone na dwie osoby, z którymi już się emocjonalnie zżyłem, a teraz dochodzi osoba trzecia i mój cały plan może lec w gruzach, to jest to nowy element, nowa wartość. To podejście sprawdziło się w „This War of Mine", we „Frostpunku", zastosowałem je też w „The Alters".

Tworzymy tu różnych ludzi na bazie różnych ich decyzji życiowych; fantastycznie, by to objawiało się nie tylko tym, że noszą inne okulary, ale i jak pracują, i przede wszystkim jak się zachowują. Dobrze jest wprowadzić kogoś silnego do naszej bazy, tylko problem w tym, że może on wpływać negatywnie na innych albo podważać dowództwo w grupie. To są rzeczy dla mnie bardzo ważne; my w zespole staramy się tak myśleć o grach, aby opowieść, którą chcemy przedstawić, była pięknie wspierana przez systemy – i vice versa.

Jak wpłynie na tworzenie gier sztuczna inteligencja?

Odciśnie ślad na całej branży, to zresztą już się dzieje. Jak duży, nie mam pojęcia. Wiemy, że AI może przyspieszyć proces tworzenia gier – im mniejszy zespół, tym zapewne skala ułatwień będzie większa. Obecnie rozważa się dwa aspekty wykorzystywania AI. Po pierwsze, jak wpłynie na zatrudnienie. Po drugie, czy korzystanie z AI jest etyczne. Wielu artystów alarmuje, że modele AI są tak sprawne, bo korzystają z pracy ludzi, którzy niekoniecznie się na to zgadzali. Regularnie dowiadujemy się o kimś, kto odkrył, że sztuczna inteligencja karmiła się jego pracą.

Obecnie rozbrzmiewa dwugłos: pesymiści wieszczą nieuchronność redukcji etatów ze względu na AI, a optymiści uspokajają, że po prostu będziemy robić więcej tymi samymi zespołami w tych samych budżetach. Jestem przekonany, że oba scenariusze już się realizują. Są studia, które próbują używać narzędzi AI, by przyspieszyć procesy, stworzyć większą, lepszą grę, i są firmy, które szukają optymalizacji zatrudnienia, zwalniając pracowników, bo ich obowiązki można scedować na AI. Jesteśmy po roku gigantycznych masowych zwolnień w IT, także w gamedevie, i czasami trudno wskazać, co było tego powodem. Chciałbym wierzyć, że możemy wdrożyć AI zgodnie z zasadami etyki, ale nie wiem, czy ten dżin już nie opuścił lampy, siejąc zniszczenie.

Czy na decyzje producentów gier może wpłynąć opór nabywców? Szef studia Larian, po burzliwych protestach w związku z wykorzystaniem AI przy pracach nad „Baldur's Gate 3", musiał posypać głowę popiołem.

W ostatnich miesiącach było wiele podobnych protestów. Mam podejrzenie, że korporacje sondują w ten sposób, jakie jest obecne nastawienie rynku. Dużo firm odżegnuje się od używania AI, ale podnoszą się głosy, że firmy outsourcingowe, z których usług korzystają, będą używać narzędzi AI na potęgę. Jeden z dużych azjatyckich outsourcerów przyznaje, że do swoich projektów wewnętrznych używa narzędzi AI, ale jego potężni kontrahenci mają klauzule w umowie, które jasno zabraniają im korzystania ze sztucznej inteligencji. Wynajmując firmę outsourcingową, cedują na nią odpowiedzialność, aby uniknąć w ten sposób ewentualnego kryzysu wizerunkowego. Wiele mówi o sporze o AI obecna wojna między Coca-Colą a Pepsi. Coca-Cola, zupełnie się z tym nie kryjąc, zaprezentowała reklamę zrobioną całkowicie przez AI, co spotkało się z mocną negatywną reakcją. W odpowiedzi na to Pepsi przygotowała reklamę w 100 proc. zrobioną przez ludzi, podkreślając jej rzemieślniczą wartość. Oto dwie gigantyczne korporacje próbujące odmiennych dróg w walce o ludzkie dusze. Ogień wewnętrznego sprzeciwu nie wygasa.

ROZMAWIAŁ OLAF SZEWCZYK

tokfm
Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY
7 LAT
ZAiKS Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partnerzy Kategorii
Książka: Sopot
Sztuki wizualne: KRUK
Film: Kujawy Pomorze; Fundusz Filmowy Kujawy Pomorze
Scena: Białystok
Muzyka popularna: PZU Fundacja
Muzyka poważna: Art & Science

Partner Oficjalny
Warszawa

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl 2a79540d47

Materiał Partnera Głównego
Paszportów POLITYKI 2025

DO GŁOSÓW
GOTOWI
START!

Kup dowolny produkt LOTTO,
weź udział w loterii Gdy grasz, wszystko gra!
i zagłosuj na obiekty sportowe lub kulturalne w Twojej okolicy.

VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Marcinem Gortatem

VIP LUNCH (dla 2 osób)
z Robertem Lewandowskim

102x
e-karta podarunkowa Decathlon 400 zł

34x
Czytnik ebooków inkBOOK Solaris + Voucher Legimi

34x
SmartWatch Garmin Instinct® 3 Solar

GŁOSUJ NA WWW.GDYGRASZ.PL

18+

TOTALIZATOR SPORTOWY | 7 LAT

Szczegóły i regulamin na **www.gdygrasz.pl** Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 26 stycznia do 26 lutego 2026 r. **Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 26 stycznia do 28 lutego 2026 r.**
Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

LOTTO Gdy grasz, wszystko gra!

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

eprasa.pl 2a79540d47

Złoty Niedźwiedź: dramat „Gelbe Briefe" Ilkera Çataka o prześladowanej parze artystów z Ankary

Co może kino?

76. edycja Berlinale wywołała poruszenie i protesty oficjalnym odcięciem się od polityki. Zajmowała się jednak polityką i nagradzała filmy mówiące o cenie wolności.

JANUSZ WRÓBLEWSKI Z BERLINA

W cieniu toczącej się wojny w Gazie i narastających napięć geopolitycznych, szczególnie wokół Iranu, staliśmy się świadkami paradoksu: najbardziej polityczny festiwal filmowy świata usiłował udowodnić, że potrafi być apolityczny. Skończyło się wzmożeniem aktywizmu i zaciętą dyskusją o powinnościach kina artystycznego.

Gdy przewodniczący jury Wim Wenders, legendarny współtwórca nowego kina niemieckiego, na konferencji prasowej inaugurującej festiwal uznał, że filmowcy muszą trzymać się z dala od polityki, bo są dla niej przeciwwagą, a nie jej częścią, wywołało to szok. Deklarację odebrano jako kompromitującą dla imprezy o tak silnie zaangażowanym rodowodzie (czego przejawem choćby nieustanne wsparcie udzielane walczącej Ukrainie), a ironia tej sytuacji była miażdżąca. Filmowiec, który 30 lat temu wierzył, że wszystkie dzieła są polityczne – a najbardziej te udające rozrywkę – nagle zaczął głosić potrzebę artystycznej neutralności. Obserwatorzy szybko doszli do wniosku, że nie chodzi o zmianę poglądów, tylko o kapitulację wobec niemieckiej racji stanu i paraliżującego strachu przed oskarżeniami o antysemityzm w kontekście krytyki agresywnych działań Izraela. Po 10 dniach medialnej wrzawy Wenders złagodził swoje stanowisko, oświadczając, że kino nie posiada mocy zmieniania ustaw, ma za to unikatową zdolność zmieniania wyobrażenia o tym, jak powinniśmy żyć. I stało się to nieoficjalnym mottem tej edycji.

Niemniej mleko się rozlało. Kilku twórców, w tym indyjska pisarka Arundhati Roy, w geście protestu zdążyło wycofać swoje filmy z festiwalu. Roy ujęła to w sposób niepozostawiający złudzeń: powiedzieć, że sztuka nie powinna być polityczna, to coś niewiarygodnie niemądrego. To sposób na zamknięcie rozmowy o zbrodni przeciwko ludzkości, która rozgrywa się na naszych oczach. Jej stanowisko poparło ponad stu artystów, na czele z Tildą Swinton, Javierem Bardemem, Mikiem Leigh, Lukasem Dhontem, Kenem Loachem, Markiem Ruffalo czy Joshuą Oppenheimerem. Zostało też rozwinięte w liście otwartym do dyrektorki Berlinale Tricii Tuttle. Ta próbowała gasić pożar, przypominając, że artyści nie powinni być zmuszani do odpowiadania na każde pytanie ani do bycia ekspertami od wszystkiego. „Wszystko jest polityczne. Nawet brak stanowiska jest stanowiskiem. Ale nie żądajmy od artystów, by dawali nam recepty" – odpowiadała.

To także nie zostało dobrze odebrane. Sprzeciwiła się temu m.in. fińska reżyserka Hanna Bergholm, która nosiła przypinkę w barwach Palestyny, tłumacząc, że milczenie nie jest żadnym wyborem. Na Placu Poczdamskim zaś regularnie urządzano happeningi. Przy kilkustopniowym mrozie aktywiści kładli się na ziemi, co miało symbolizować martwe ciała Irańczyków pozostawione na ulicach po styczniowej masakrze.

W tej napiętej atmosferze werdykt jury nabrał wyjątkowego ciężaru. Można go było interpretować jako odpowiedź na wszystkie zarzuty pod adresem organizatorów. Złotego Niedźwiedzia zdobył dramat rodzinny „Gelbe Briefe" (Żółte listy) Ilkera Çataka – niemiecko-turecka koprodukcja o losach pary artystów z Ankary, którzy z dnia na dzień stają się celem politycznych prześladowań.

Tytuł odnosi się do koloru papieru, na którym turecki rząd przesyła oficjalną korespondencję, w tym wypowiedzenia i zawiadomienia o wszczęciu postępowań. Fabuła skupia się na losach odnoszącej sukcesy aktorki teatralnej oraz jej męża, pisarza i profesora uniwersyteckiego. Małżonkowie przyjmują różne strategie wobec utraty pracy, konieczności opuszczenia zajmowanego mieszkania, wyjazdu do innego miasta, co wystawia ich związek na ciężką próbę. Kobieta skłania się ku kompromisowi, przyjmuje rolę w serialu wspieranym przez reżim, natomiast starający się zachować twarz profesor wybiera pracę taksówkarza, pisząc w tajemnicy nową, kontrowersyjną sztukę. Nastoletnia córka pozostaje rozdarta między postawą etyczną ojca a instynktem przetrwania matki.

Wenders, wręczając nagrodę, mówił o przerażającej wizji opresji odczuwalnej w naszych czasach przez każdego i o języku empatii zastosowanym przez twórców nagrodzonego filmu, skonfrontowanym z językiem totalitaryzmu. Çatak, podobnie jak przed laty Fatih Akın, udowodnił, że tureckie kino emigracyjne pozostaje najczulszym sejsmografem autorytarnych tendencji, oferuje perspektywę,

eprasa.pl 2a79540d47

której często brakuje oderwanemu od rzeczywistości kinu komercyjnemu.

Srebrnego Niedźwiedzia – Grand Prix – odebrał inny Turek, Emin Alper, za niesamowicie mocny „Kurtuluş" (Zbawienie) – studium winy i bratobójczej rzezi we wschodniej Anatolii. Oparta na faktach mających miejsce dwie dekady temu epicka opowieść operuje niedopowiedzeniami, rozwijając konflikt głównie w sferze wartości religijnych, co pozwala odnieść historię o skłóconych Kurdach do każdego konfliktu tożsamościowego na świecie. Odbierając zasłużoną nagrodę, Alper nie pozostawił jednak wątpliwości, o jakim kraju mówi, jawnie wyrażając solidarność z ofiarami reżimu Recepa Tayyipa Erdoğana oraz z uwięzionym burmistrzem Stambułu. Podwójne zwycięstwo tureckich twórców było oczywistym manifestem: to artyści z krajów dotkniętych terrorem mają dziś najwięcej do powiedzenia o cenie wolności.

Nagroda za najlepszą rolę pierwszoplanową: Sandra Hüller w dramacie „Rose" Markusa Schleinzera

Ostro wybrzmiał też dramat „Rose" w reżyserii Markusa Schleinzera, nagrodzony za najlepszą rolę pierwszoplanową dla Sandry Hüller. To bezkompromisowa, surowa przypowieść, odważnie eksplorująca ograniczanie praw człowieka. Akcja osadzona w odizolowanej protestanckiej wiosce, gdzie lęk przed obcym jednoczy wspólnotę i wyznacza standardy zachowań, odwołuje się do autentycznej historii kobiety straconej za „sodomię" – rozumianą jako miłość homoseksualna i identyfikowanie się z nie swoją płcią biologiczną. Ostatniej takiej egzekucji w Niemczech dokonano w Halberstadt w XVIII w.

W kobietę w męskim przebraniu, udającą powracającego z wojny trzydziestoletniej niezbyt rozmownego żołnierza z bliznami na twarzy, wciela się właśnie Hüller. Jej postać podaje się za dawno zaginionego syna właściciela porzuconego gospodarstwa i z czasem ciężką pracą i bogobojną postawą zyskuje akceptację nieufnych mieszkańców. Aby umocnić swoją przybraną tożsamość, poślubia córkę bogatego rolnika, żyjąc w nieustannym strachu przed zdemaskowaniem.

Film unika uproszczonej narracji o ofierze. Rose jest postacią tragiczną, kanciastą, która pragnie realizować swoje cele mimo braku możliwości ich spełnienia. „Żyjemy w czasach, gdy wolność osób niewpisujących się w wyznaczone normy jest ponownie zagrożona" – stwierdziła Sandra Hüller, a wielu recenzentów dostrzegło na ekranie odbicie regresywnych tendencji współczesności, gdzie wciąż kwestionuje się prawa mniejszości oraz kobiet. Inni docenili problem (nie) widzialności osób queer w historii, która przez wieki była wymazywana.

Paradoksalnie jednak największe emocje na festiwalu wzbudził film z polityką w sensie ścisłym niemający nic wspólnego. „Queen at Sea" Lance'a Hammera, z Juliette Binoche oraz uhonorowanymi za drugoplanowe role Tomem Courtenayem i Anną Calder-Marshall, to kameralny dramat o demencji, starości, przełamujący tabu w sferze seksualności osób dotkniętych śmiertelną chorobą. Hammer stawia pytanie, czy dojrzałe małżeństwo ludzi dobiegających osiemdziesiątki traci ważność, gdy jedna ze stron przestaje być świadoma i można ją wykorzystać. Film został nakręcony w autentycznych lokalizacjach w Londynie – w prawdziwych mieszkaniach komunalnych i domach opieki, co nadaje produkcji charakter niemal dokumentalny. Imponuje szczerością i odwagą w portretowaniu moralnej mgły towarzyszącej chorobie, ludzkiej bezsilności wobec biologii, a także subtelnymi kreacjami, kruchymi, pełnymi pokory wobec życia.

Przykładem „eskapizmu" było też „Everybody Digs Bill Evans" Granta Gee (wyróżnienie za najlepszą reżyserię). Wspaniały, intymny hołd dla legendarnego pianisty jazzowego, portret artysty totalnego, którego muzyka była ucieczką od świata. Nie ma tu wielkiej ani małej polityki. W czasach, gdy kultura masowa produkuje treści w nieograniczony sposób, opowieść o perfekcjoniście szukającym dźwięku idealnego można odczytać jako tęsknotę za jakością i autentyzmem.

Podobnie rzecz się ma z amerykańskim wizjonerskim dokumentem „Yo (Love is a Rebellious Bird)" Anny Fitch i Bankera White'a, nagrodzonym za wybitny wkład artystyczny. To trwająca niecałe półtorej godziny eksperymentalna dawka emocji, które wymykają się jakimkolwiek stereotypom w kwestiach dotyczących seksualności, macierzyństwa, starzenia się, odchodzenia. Elegijny portret umierającej buntowniczki epoki kontestacji, film o żałobie, przyjaźni i sile procesów twórczych. Celebrujący głęboką relację między dwiema kobietami, które w momencie poznania dzieliła ogromna różnica wieku – 50 lat. Ich przyjaźń przetrwała dekady, stając się fundamentem dla filmowej wizji zacierającej granice między pamięcią a mitologią.

Te nagrody mówią coś bardzo ważnego: w infosferze zdominowanej przez hasztagi i natychmiastowe oceny samo prawo do introspekcji, do zajmowania się tym, co ulotne i osobiste, staje się aktem o niebywałej mocy. To potwierdzenie tezy Tuttle, że polityka czasem realizuje się przez małe „p" – w codziennym badaniu tego, co widzialne i niewidzialne. Tylko czy to zmienia świat na lepsze?

Kino nie ma takiej siły oddziaływania jak medialne protesty czy uliczne manifestacje, ale jest mądrzejsze w diagnozie. W świecie, gdzie politycy kradną język emocji, a media społecznościowe zamieniają debatę w rynsztok, rolą filmu (i całej sztuki) nie jest dawanie prostych recept, ale stawianie pytań tak celnych, by nikt nie mógł ich zagłuszyć. ■

© ELLA KNORZ/IFPRODUCTIONS/ALAMODE FILM, SCHUBERT, ROW PICTURES, WALKER+WORM FILM & GERALD KERKLETZ

eprasa.pl 2a79540d47

Muzyka ponad śmierć

Rzadko się zdarza, by wybitny kompozytor w dzień po setnych urodzinach miał prawykonanie swojej nowej opery. 20 lutego zdarzyło się to Györgyowi Kurtágowi.

DOROTA SZWARCMAN

Do Księgi rekordów Guinnessa co prawda ten przykład się nie nadaje, bo wcześniej Amerykanin Elliott Carter komponował do ostatniego, 104. roku życia, a zmarł w 2012 r. Ale Kurtág mógłby do niej trafić z wielu innych powodów. Np. dlatego, że swoją pierwszą operę, „Końcówkę" według Samuela Becketta, ukończył po dziewięćdziesiątce i odniósł nią sukces po prapremierze w mediolańskiej La Scali, a potem na londyńskich Promsach oraz w operach w Amsterdamie, Paryżu i Wiedniu.

Prawykonanie jego drugiej opery „Die Stechardin", a właściwie monodramu na sopran i zespół, odbyło się w ramach urodzinowego festiwalu Kurtág 100! w Budapeszcie (15–28 lutego). Śpiewała Maria Husmann z zespołem Concerto Budapest. Na festiwal przyjechały takie sławy, jak pianiści Pierre-Laurent Aimard i Víkingur Ólafsson czy wiolonczelista Steven Isserlis; koncertom towarzyszyło sympozjum muzykologiczne. Urodziny Kurtága święcił też w Paryżu Ensemble intercontemporain, z którym kompozytor swego czasu współpracował, a w Amsterdamie grali jego dzieła Leif Ove Andsnes z Bertrandem Chamayou i Isabelle Faust. Tę skromną, ściszoną muzykę grywają najwybitniejsi, i to nie tylko ze świata muzyki współczesnej.

Wśród twórców węgierskich, po śmierci 20 lat temu starszego o trzy lata Györgya Ligetiego, Kurtág jest dziś numerem

eprasa.pl 2a79540d47

jeden. Byli zresztą z Ligetim przyjaciółmi. Ciekawe jest porównanie losów, jakie spotkały po upadku powstania w 1956 r. trzech znakomitych kompozytorów węgierskich pochodzenia żydowskiego, kolegów z budapeszteńskiego konserwatorium. Najmłodszy z nich, również już dziś nieżyjący András Hajdú (później André Hajdu), wyjechał na studia do Paryża, ale po dziesięciu latach przeniósł się do Izraela, gdzie spędził resztę życia. Ligeti wybrał kierunek niemieckojęzyczny: najpierw do Wiednia, potem do Kolonii i przez większość życia obracał się między Niemcami a Austrią.

Kurtág, podobnie jak Hajdu (który go zresztą do tego namówił), wyjechał do Paryża, by studiować u takich sław, jak Olivier Messiaen i Darius Milhaud. Ale już w 1959 r. wrócił do Budapesztu. Co prawda urodził się w Lugoj w dzisiejszej Rumunii, w Timișoarze rozpoczął naukę muzyki, a do stolicy Węgier przyjechał po raz pierwszy, mając lat 20, ale miał tu rodzinę, tu zawarł pierwsze muzyczne przyjaźnie, tu również spotkał pianistkę Mártę Kinsker, miłość na całe życie.

Wyjście z depresji

Podczas studiów w Paryżu, choć była to dla niego wielka szansa – przed wyjazdem pozostawali z żoną i małym dzieckiem praktycznie bez środków do życia – kompozytor pogrążył się w rozpaczy. Czuł, że zawalił mu się świat. Wciąż przeżywał upadek powstania węgierskiego i związane z tym dylematy moralne, a także przedwczesną śmierć matki. Przy tym jako twórca miał poczucie, że jest w ślepym zaułku.

Ratunkiem okazała się psychoterapia u zamieszkałej w Paryżu rodaczki Marianne Stein, która specjalizowała się w leczeniu artystów. Szczególnie owocna dla dalszej jego twórczości okazała się sugestia, by pracować na elementach najprostszych, które będą stymulować dalszy rozwój jego języka muzycznego. Dla kompozytora było to olśnienie, ponieważ ta metoda okazała mu się rzeczywiście szczególnie bliska. A dokładniej zasada: mówiąc mniej, mówić więcej; czasem, by powiedzieć coś właściwego, wystarczy jedna nuta. Największy wpływ miała na niego w tym czasie muzyka Antona Weberna, której istotą jest właśnie maksymalna koncentracja w absolutnie zwięzłej formie.

Efektem był I Kwartet smyczkowy zadedykowany terapeutce, napisany już po powrocie do Budapesztu. Po prawykonaniu władze komunistyczne ocenzurowały dzieło jako zbyt awangardowe i posłały kompozytora do wojska. Pracował potem jako korepetytor solistów. Stałą posadę pedagoga fortepianu na uczelni (jako kompozytor był długo spalony, na szczęście był również cenionym pianistą) otrzymał dopiero w 1967 r.; jego studentami byli m.in. najwybitniejsi pianiści węgierscy: András Schiff i nieżyjący już Zoltán Kocsis.

Dopiero z czasem jego kompozycje zaczęły zdobywać międzynarodowe uznanie. Na zaproszenie różnych instytucji w latach 90. mieszkali z żoną na Zachodzie: w Berlinie, Wiedniu, parę lat w Holandii, wreszcie w Paryżu. Na początku obecnego wieku osiedlili się pod Bordeaux na kilkanaście lat, by być blisko syna, Györgya jr., i jego rodziny. Wrócili do Budapesztu w 2015 r., gdy zbliżali się do dziewięćdziesiątki.

Mało znaczy wiele

Twórczość Kurtága jest w większości kameralna, skromna, niepozorna, a zarazem czysta i prawdziwa. Porusza tematy podstawowe: życie i śmierć, miłość i nienawiść. W przedziwny sposób łączy żywotność i pesymizm. Ulubione instrumenty to poza fortepianem cymbały, smyczki, flet i perkusja. Największe inspiracje literackie to twórczość Franza Kafki i Samuela Becketta. Pisywał też do wierszy Friedricha Hölderlina i poetów węgierskich.

W latach 60. Kurtág zafascynował się poezją rosyjską; nauczył się nawet języka, by czytać literaturę w oryginale. Jego seria pieśni do rosyjskich tekstów wzbudziła złośliwość wśród rodaków za granicą: jedni sugerowali, że kompozytor przechodzi na stronę okupanta, inni, że naśladuje rosyjskich dysydentów, aby zdobyć popularność na Zachodzie. Znając prostolinijność Kurtága, ani jedno, ani drugie nie postało mu w głowie. Inna sprawa, że istotnie cykle pieśni z rosyjskimi tekstami były jednymi z pierwszych jego dzieł, które zdobyły międzynarodowe uznanie, w podobnym zresztą czasie co muzyka Arvo Pärta, Alfreda Schnittkego czy Sofii Gubajduliny.

W późniejszych czasach, gdy Kurtág pracował już na Zachodzie, napisał parę utworów na orkiestrę, ale potem znów na stałe powrócił do ściszonej, kameralnej poetyki.

Na „Końcówce" Becketta Kurtág był w Paryżu w 1957 r. i od tej pory marzył o stworzeniu opery na kanwie tej sztuki. Dopiero ponad trzy dekady później, po śmierci jej autora, ośmielił się wykorzystać jego dzieła we własnej twórczości. Po paru kameralnych cyklach pieśni przyszła pora na operę, która dojrzewała długo: zaczął ją pisać na zamówienie La Scali, mając 84 lata, pracował siedem lat, zatem ukończył ją już po dziewięćdziesiątce. Ma jeden akt, trwający dwie godziny, ale złożony z 14 scen. Muzyka jest kongenialnym dopełnieniem tekstu Becketta.

72 lata razem

Gdy oglądając dzieło (jest na YouTube), patrzy się na siedzących w beczkach Nagga i Nell, nie sposób nie pomyśleć o samym kompozytorze i jego żonie. Byli nierozłączni w życiu i w muzyce; ona była pierwszą słuchaczką i recenzentką jego dzieł. Często koncertowali razem; on pisał dla nich w ramach cyklu „Játékok" (Gry) miniatury fortepianowe na cztery ręce albo dwa fortepiany, a także transkrypcje preludiów chorałowych Bacha, które opracowywał tak, żeby ich ręce mogły się krzyżować na klawiaturze. Wytwórnia ECM wydała w 2015 r. wzruszający film z rejestracją ich występu w paryskim Cité de la musique.

Márta Kurtág zmarła jesienią 2019 r. Małżonkowie przeżyli wspólnie 72 lata. Obawiano się, jak to odejście zniesie kompozytor, który mawiał, że jego dom jest tam, gdzie jest żona. Zniósł. W rocznicę śmierci nagrał dla niej filmik z wolną częścią sonaty Mozarta; grał czule i powoli, jak gdyby nucił jej kołysankę.

Najnowsze jego dzieło „Die Stechardin" jest poświęcone pamięci Márty. Powstawało od 2023 r. do libretta Christopha Heina, dla którego inspiracją były pisma i listy XVIII-wiecznego matematyka i filozofa Georga Christopha Lichtenberga (jego aforyzmy Kurtág wykorzystywał już wcześniej). Tematem jest miłość naukowca do młodziutkiej kwiaciarki Marii Dorothei Stechard, którą zaczął uczyć, gdy miała 12 lat, a on 32. Dwa lata później z nim zamieszkała, a w wieku 17 lat zmarła. Była to miłość wzajemna, która wywarła wielki wpływ na Lichtenberga. Kurtág nie wszedł tu jednak w jego rolę, lecz dał głos zmarłej dziewczynie, która czeka, aż odnajdzie ją miłość pozostawiona na ziemi. Kompozytor mimo swojego pesymizmu i fatalizmu próbuje wciąż mieć nadzieję. I chyba to trzyma go przy życiu tak długo. ■

© AKOS STILLER/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS

eprasa.pl 2a79540d47

SPORT

Dwie strony medali

MARCIN PIĄTEK

Johannes Klaebo, rekordzista zimowych igrzysk olimpijskich. Do tej pory zdobył 13 medali, w tym 11 złotych (a 6 z nich zdobył teraz)

Igrzyska na północy Włoch przyniosły rekordowego multimedalistę, potwierdziły europejską dominację w sportach zimowych i wzmocniły pozycję kobiet, stanowiących niemal połowę uczestniczek. Kontrowersji, skandali i pozasportowych podtekstów było zadziwiająco mało, jak na dzisiejsze niespokojne czasy. Polski ślad raczej skromny.

Na zimowych igrzyskach, z dawno niewidzianą prawdziwą zimą, Norwegowie pobili własne rekordy pod względem liczby zdobytych medali (41), jak również sumy złotych krążków (18). Odkąd dwie dekady temu na igrzyskach odbywających się również na włoskiej ziemi, w Turynie, nie zdobyli ani jednego złota w swoich narodowych specjalnościach – biathlonie i biegach narciarskich – postawili sobie za punkt honoru uciec światu. Udało się częściowo.

Jeśli chodzi o biathlon, lepsza była tym razem ekipa francuska, w biegach zawiodły panie (tylko jedno złoto, w sztafecie, dzięki potknięciu Szwedek, które zresztą zdobyły wszystkie złote medale indywidualnie), ale męskie konkurencje w tej specjalności były teatrem jednego aktora. Johannes Klaebo we wrześniu skończy 30 lat, a już stał się najbardziej utytułowanym sportowcem w historii zimowych igrzysk (13 medali, w tym 11 złotych, a 6 z nich dołożył na włoskich trasach olimpijskich), a jeśli chodzi o klasyfikację ogólną olimpijczyków, ustępuje tylko pływakowi Michaelowi Phelpsowi. Z pewnością go nie dogoni (Amerykanin ma 28 medali, w tym 23 złote), ale do kolejnych igrzysk, za cztery lata we francuskich Alpach, Klaebo powinien dociągnąć. Chyba że zawodowy sport mu się znudzi; jaką można mieć motywację, wygrywając wszystko, jak leci?

W 5,5-milionowej Norwegii jest ponad tysiąc profesjonalnych klubów narciarskich. Lista tamtejszych multimedalistów olimpijskich robi wrażenie, ale obecność na jej czele Klaebo jest zaskakująca. Przynajmniej dla tych, którzy pamiętają jego początki. Nawet pod koniec szkoły podstawowej miał przeciętne wyniki testów siłowych oraz wydolnościowych, zawody kończył pod koniec stawki i odstawał od rówieśników pod względem warunków fizycznych. Były więc przesłanki, by darować sobie poważny sport, ale w jego zwariowanej na punkcie aktywności fizycznej ojczyźnie (*friluftsliv*, życie na świeżym powietrzu, to norweski styl bycia) tak łatwo się nie odpuszcza, a w domu miał świetne wzorce i pomoc (na biegówkach ścigała się jego mama Elisabeth, trenował ją ojciec, Kare, który z czasem przejął też pieczę nad wnukiem). Metodycznie szlifował więc technikę, wychodząc z założenia, że trzeba czekać, aż natura zrobi swoje, jeśli chodzi o wzrost i mięśnie.

Podrósł do 184 cm („biegówkowa" przeciętna), budową ciała też niespecjalnie się na tle konkurencji wyróżnia, na swojej sportowej drodze dba o każdy szczegół (jako alergik wykluczył z diety nabiał, jaja i gluten, przed najważniejszymi startami izoluje się, również od najbliższych, żeby nie złapać żadnego wirusa), ale w dzisiejszym zawodowstwie to po prostu konieczność. Ma jednak niezwykle ekonomiczną technikę, a nawet własny patent poruszania się, zwłaszcza na wniesieniach. Styl ów wziął się z przypadku – kiedyś na zawodach Johannes miał słabo przygotowane narty, uciekały

© EVGENIY MALOLETKA/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 2a79540d47

mu spod nóg, więc przebierał nimi jak opętany. Wygląda to niezbyt elegancko, ale jest zabójczo skuteczne, na jednym z olimpijskich podbiegów zmierzono mu prędkość blisko 20 km/h. Rywale nikli w oczach, a urywki z tego wyczynu Johannesa, z podłożonym w tle utworem „Running Up That Hill" w wykonaniu Kate Bush, są przebojem w mediach społecznościowych.

Dziś styl Klaebo stał się kanonem w norweskim systemie szkolenia, a że ten morderczy sprint wymaga końskiego zdrowia, przy okazji zagęszcza sito selekcji. Klaebo nie jest jednym z tych stereotypowych chmurnych i niedostępnych ludzi Północy poświęcających się zawodowemu sportowi, którzy stronią od mediów i publicznej obecności, aby nie narazić się na niewygodne pytania, w przypadku Norwegów niemal zawsze sprowadzające się do: jak to się dzieje, że macie tylu astmatyków? Johannes robi nawet więcej, niż wymagałby tego dzisiejszy ekshibicjonizm w mediach społecznościowych (w przypadku zawodowych sportowców podyktowany przede wszystkim obowiązkami wobec sponsorów), regularnie publikując relacje z przygotowań na swoim youtube'owym profilu. Co do astmy, nie wiadomo, czy Klaebo się z nią zmagał i został objęty tzw. medycznym wyłączeniem terapeutycznym, zezwalającym na stosowanie sterydów rozszerzających oskrzela, co ma fundamentalne znaczenie dla dostarczania tlenu do organizmu. Lista objętych owym wyłączeniem to medyczne dane wrażliwe.

Biegowe maratony były jednymi z ostatnich konkurencji na igrzyskach. Dla kobiet i tu wreszcie nadeszło równouprawnienie, tym razem jeśli chodzi o dystans (50 km, wcześniej ścigały się na 30), no i zupełnie nieoczekiwanie ostatki olimpijskiej rywalizacji przyniosły mocny polski akcent. Po szaleńczym pościgu Eliza Rucka-Michałek dopadła jakieś 2 km przed metą grupę rywalek walczących o brąz, choć na skuteczny finisz zabrakło jej sił. Jako nagrodę pocieszenia dostanie ministerialne stypendium za zajęcie ósmego miejsca: prawie 7 tys. co miesiąc.

Odkąd Justyna Kowalczyk zakończyła dobrych kilka lat temu karierę, oswoiliśmy się z myślą, że stworzony przez nią dobry klimat dla biegów został przykładnie zmarnowany. Kolejne wielkie imprezy mistrzowskie upływały w polskiej ekipie pod znakiem narzekań: na serwismenów, na działaczy, na brak środków i infrastruktury sportowej niezbędnej do przygotowań, by w ogóle marzyć o rywalizacji z najlepszymi. Justyna Kowalczyk miała na te biedarealia własny patent, tworząc swój team poza narodową kadrą (choć z pieniędzy Polskiego Związku Narciarskiego istotnie wspomagany).

PZN jest jednym z najbogatszych związków sportowych (budżet na 2025 r. to ok. 60 mln zł), ale dla 26-letniej Ruckiej-Michałek pieniędzy na przygotowania zabrakło. Zrezygnowała ze sportu parę lat temu z powodu powtarzających się i niepokojących omdleń podczas dużego wysiłku, urodziła dwójkę dzieci i niespodziewanie oznajmiła, że wraca na trasy, gdyż niebezpieczne objawy ustąpiły, a kardiolodzy dali jej zielone światło. Nie została jednak włączona do kadry narodowej z powodu niespełnienia wynikowych minimów, trenowała więc na własną rękę pod okiem męża, a 30 tys. zł na przygotowania uciułała dzięki internetowej zbiórce. PZN tłumaczył, że nikt jej z kadry nie wyrzucał, separację wybrała sama, co nie zmienia faktu, że Eliza już w styczniu błysnęła (była szósta w prestiżowych zawodach Tour de Ski), co powinno w PZN zapalić lampkę, że dodatkowa pomoc jej się należy. Realnych medalowych szans nie mamy za wiele, ale takie budujące ludzkie historie o determinacji i woli walki wciąż się trafiają. Szkoda, że niemal zawsze przewija się w nich motyw osobistego zacięcia na przekór systemowi, przepisom albo złej woli, zawiści i środowiskowym podziałom.

Biegi narciarskie jako jeden z kultowych sportów zimowych mają żelazne miejsce na igrzyskach, ale jednocześnie Międzynarodowy Komitet Olimpijski dokonuje nieśmiałych zmian w programie. Widać trend sojuszu płci (rywalizacja drużyn mieszanych), jak również pewnego skrócenia, uproszczenia i zdynamizowania rywalizacji. W hokeju na dogrywkę wychodzą zespoły uszczuplone o dwóch z sześciu zawodników (poprzednio odejmowano jednego; trzeba przyznać, że zmiana prowokuje wymianę ciosów, jak w dogrywce finału, w którym faworyzowana Kanada przegrała prestiżowe, a teraz również pełne podtekstów za sprawą Sami-Wiecie-Kogo starcie ze Stanami Zjednoczonymi), a drużyny zastępowane są duetami, na czym Polska skorzystała. W skokach narciarskich nie mieliśmy czterech zawodników będących w stanie nawiązać walkę o medale, ale duet Kacper Tomasiak i Paweł Wąsek zdobył srebro, wieńcząc dorobek polskiej ekipy (trzy srebra i brąz, a 19-letni Tomasiak został multimedalistą: trzy krążki).

Nie wiadomo, czy przyjmie się na igrzyskach tegoroczna nowość, mocno na wyrost zwana skialpinizmem. To bieg na nartach po stromym wzniesieniu regularnie utkanym przeszkodami, następnie odpina się sprzęt i biegnie po schodach, wreszcie zjeżdża do mety. Liczą się tu żelazne płuca oraz tempo odpinania i przypinania nart i antypoślizgowych „fok". Finezji nie ma w tym za wiele, ale ponieważ biegli w sztuce okazali się Francuzi, gospodarze kolejnych zimowych igrzysk, należy się spodziewać, że chwilowo skialpinizm przetrwa w programie. Tym bardziej że Francuzi chcieliby, podobnie jak Włosi (rekordowe 30 medali, w tym 10 złotych), wykorzystać swoje zimowe podwórko do poprawy medalowego dorobku, a co za tym idzie – współczynnika narodowej dumy.

Ostatecznym testem trwałości programowych nowości ma być przede wszystkim telewizyjna oglądalność. Igrzyska są już od dawna układane pod gusta telewizji (to w końcu one zapewniają największy zastrzyk pieniędzy dla MKOl) i przyznać trzeba, że ogląda się je z zapartym tchem, bo realizatorzy transmisji doskonale wiedzą, jak korzystać z technologicznego skoku. Jakość obrazu sprawia, że można dostrzec tętno na zegarkach biathlonistów (ok. 160 uderzeń na minutę, a do tarczy odległej o 50 m strzela się na bezdechu) i niemal zajrzeć goniącym resztką sił zawodnikom w oczy, zatrzymane kadry, przetworzone na komputerową grafikę, można obrócić pod dowolnym kątem, stopklatki pokazują, jak blisko było do medalu (albo do kraksy), ale podczas włoskich igrzysk wrażenie uczestnictwa dostarczyły jeszcze drony.

Mknęły grubo ponad 100 km na godzinę tuż za alpejczykami na trasach zjazdów i za saneczkarzami oraz bobsleistami w lodowych rynnach, operowały tuż nad wystrzeliwującymi na wysokość kilku pięter specjalistami od narciarskich i snowboardowych akrobacji, dostarczając telewidzom dodatkowych powodów do podziwu dla brawury i kunsztu olimpijczyków. Ten mikrosprzęt (waga: niespełna 250 g), naszpikowany najnowocześniejszą technologią (cena: 15 tys. euro), dający makrowrażenia, obsługiwany jest przez operatorów, którzy śledzą obraz z drona za pomocą gogli, a tor lotu obierają, manewrując joystickami. To wszystko na potrzeby relacji na żywo, więc margines błędu i w tej sztuce jest minimalny. ■

eprasa.pl 2a79540d47

Witkowski

Helleniści i rasiści

„No ludzie kochani, po co obsadzają w takich rolach aktorów o innym kolorze skóry? Przecież to jest jawna propaganda. Świat staje na głowie". Oto kilka przykładowych zdań, które mógł wygłosić widz na wieść o premierze „Cotton Clubu" Francisa Forda Coppoli z 1984 r. Wytwórnia wymusiła na reżyserze zatrudnienie w roli jazzmana-protagonisty Richarda Gere'a i poprowadzenie całej historii z bielszej, przepraszam, „łatwiejszej do utożsamienia się" perspektywy. Wbrew realiom i kulturowej przynależności.

Nie musimy zresztą daleko szukać. W ekranizacji „Wichrowych Wzgórz", która weszła niedawno na ekrany, w rolę Heathcliffa, prawdopodobnie Roma, wciela się Jacob Elordi, prawdopodobnie nie-Rom. A na pewno: człowiek z niewielką ilością melaniny w organizmie, co radykalnie różni go od książkowego pierwowzoru.

Nadużyciem byłoby twierdzić, że powyższe przykłady nie wzbudzały absolutnie żadnych kontrowersji. Były to jednak kontrowersje nienarażające na szwank dobrego imienia twórców. Inaczej jest w przypadku Christophera Nolana, który odważył się zatrudnić w ekranizacji „Odysei" Lupitę Nyong'o, czarnoskórą aktorkę pochodzącą z Kenii. Mało tego – ma ona się wcielić w rolę Heleny Trojańskiej. To co prawda wciąż niepotwierdzona informacja, ale wystarczyła, że by z szafy wyszły tabuny helenistów amatorów, do tej pory skrzętnie ukrywających przed światem swoje pasje.

> Pomstującym na zakłamywanie kultury europejskiej tłumaczę: w „Odysei" chodzi o mit, tęsknotę, a nie o melaninę.

Jak srogi widok morza, gdy smutne ciemnice niesie zrywającego się Zefiru wianie, tak srodzy stali się wobec siebie opinioniści i twitterowcy*. Jedni argumentowali, że skoro mamy do czynienia z dziełem fantastycznym, to nie ma o co kruszyć kopii. Inni przekonywali, że twórczość Homera ma swoje umocowanie w konkretnym kręgu kulturowym. Czarna Helena zatem to dowód poprawnościowej gorączki. A w domyśle: zmierzch Zachodu, bo za chwilę Królewnę Śnieżkę zagra... Zaraz, zaraz!

Cieszy mnie, gdy tak zwana polityczna poprawność przywraca godność, oddaje sprawiedliwość i wyrównuje szanse. Mam jednak wobec niej stosunek mniej jednoznaczny niż woke-influencerzy z TikToka. Zbyt często osuwa się bowiem w hiperpoprawność (gdy ktoś zbyt wyraźnie wymawia głoskę „ę", też nie brzmi to najlepiej). Bywa dość mechaniczna, jakby obliczona na prowokację, z której nic nie wynika. Jak w rzeczonej „Królewnie Śnieżce" z ubiegłego roku, gdzie w rolę tytułową wcieliła się Rachel Zegler, aktorka latynoskiego pochodzenia. Wszak w tym konkretnym przypadku karnacja ma znaczenie – choć w zasadzie można przecież „śnieżnobiałość" Śnieżki odnieść do jej orientacji moralnych.

Ciemnoskóra „Mała syrenka" sprzed lat trzech nie wzbudziła we mnie żadnych emocji. Pamiętajmy, że załoga Kolumba w 1493 r. uznała za syrenę manata lub krowę morską, stąd jedna z nazw tego (wymarłego już) gatunku. Więc co my wiemy o tych mitycznych istotach? A zupełnie serio: przesunięcie rasowe w obrębie usankcjonowanej „na biało" baśni czy eposu jest ważne. Nadrabiamy w ten sposób straty, oddajemy sprawiedliwość, pokazujemy, że zajmowanie się w XXI w. kolorkami jest żenujące. Gest Nolana jest czytelny: chodzi o to, aby pigment skóry stał się zupełnie marginalny. Aby w analogicznej sytuacji zobaczyć w przyszłości aktorkę, nie: czarnoskórą aktorkę.

Pomstującym na zakłamywanie fundamentów europejskiej kultury tłumaczę, że w „Odysei" chodzi o mit, tęsknotę, indywidualne wybory, a nie o melaninę. Poza tym nie takie rzeczy działy się w teatrze ze wszystkimi Homerami tego świata. Pewne motywy i narracje wędrują, zmieniają kształt, ale koniec końców chodzi o człowieka i o takie połączenie słów, które da nam do niego dostęp (czytaj: o literaturę). Wędrują też ludzie i gdyby obsada „Odysei" składała się w stu procentach ze współczesnych Greków, to mam wrażenie graniczące z pewnością, że będą się różnić pod względem genetycznym od Achajów.

Szkoda zresztą strzępić długopis. Bo larum grają nie w środowiskach badaczy i badaczek Homera, lecz wśród delikwentów w czerwonych czapeczkach czy tam czarnych lub brunatnych koszulach. A ci są oporni na wszelkie argumenty. Co prawda potrafią zawiesić niewiarę w obliczu faktu, że Helena jest półboginią, która wykluła się z jajka, ale wcielająca się w nią Kenijka to za dużo. Fakt, że Anne Hathaway, która zagra Penelopę, wychowała się na Brooklynie, a nie Peloponezie, nie wzbudza kontrowersji, problemem jest Nyong'o (ciekawe dlaczego?!). Mam złą wiadomość: żadni z nich helleniści amatorzy, tylko zawodowi rasiści. A to naprawdę paskudna sprawa.

Swoją drogą, czy byli Państwo ostatnio na Jasnej Górze? Widzieli Państwo, jaka wersja Maryi wisi w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej? No ludzie kochani, świat staje na głowie. Dobrze, że chociaż Chrystus wygląda jak przeciętny mieszkaniec Galilei.

MATEUSZ WITKOWSKI

* Parafraza fragmentu „Iliady" w przekładzie Franciszka Ksawerego Dmochowskiego.

eprasa.pl 2a79540d47

Płytka wyprawa w głąb Rosji

Minęły cztery lata od wybuchu „kinetycznej" wojny Rosji przeciwko Ukrainie, a my nadal kłócimy się, czy wolno nam poświęcać Rosjanom uwagę poza codziennym wyliczaniem ich zbrodni. Jedni odrzucają wszystko, co rosyjskie; drudzy uważają, że zainteresowanie Rosją nie ma wpływu na przebieg wojny. Temat wypłynął znowu w związku z reedycją utworów Czechowa przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Jeszcze więcej emocji wzbudził pierwszy odcinek emitowanego przez Kanał Zero reportażu Marii Wiernikowskiej „Wielka wyprawa w głąb Rosji".

Timing istotnie zwala z nóg: Ukraińcy zamarzają; podróżujący po *prastoram Rossii* Polak zostaje zabity za to, że był Polakiem; Rosja zamyka nasze konsulaty i nęka dyplomatów; MSZ odradza podróże w tamtym kierunku, bo nie będzie w stanie pomóc. A Maria Wiernikowska jedzie do Kaliningradu cała w skowronkach. Uśmiech nie schodzi jej z twarzy. Na przesmyku suwalskim beztrosko rzuca: „Tu mogłaby się rozpocząć trzecia wojna światowa". W Kaliningradzie śmieje się: „Wystrzelone stąd rakiety dolecą do Warszawy w trzy minuty".

Zastanawiają szczegóły organizacyjne jej „wyprawy w głąb", która tempem i powierzchownością obserwacji przypomina wycieczkę objazdową. Zawsze kiedy wypełniałam wniosek o wizę do Rosji, pośrednik uprzedzał, żeby nie podawać jako zawodu niczego, co przypomina dziennikarstwo. Ponadto trzeba było wymienić wszystkie miejsca planowanego pobytu z adresami noclegów i potwierdzeniem rezerwacji. Na granicy wypełniało się jeszcze specjalny, podwójny kwit, wpisując dwa razy, po prawej i lewej stronie, swoje dane i adresy noclegów. Połowę kwitka oddzierała sobie Straż Graniczna, drugą oddawała z paszportem. W miejscach noclegu należało potem zadbać o wpis na kwitku poświadczający, że o pobycie *inostranca* dowiedział się, kto trzeba. Świstka tego trzeba było strzec jak oka w głowie i zdać na granicy, w przeciwnym razie były kłopoty z wyjazdem. Maria Wiernikowska tymczasem chwali się, że wizę blogerską otrzymała od ręki, i dopiero w Kaliningradzie zastanawia się, gdzie by tu pojechać dalej. Triumfalnie pokazuje do kamery kartę do konta w rosyjskim banku i telefon z rosyjską kartą SIM. Wprawdzie, żeby je uzyskać, musiała zostawić odciski palców i inne dziwne informacje, ale uspokaja ją zapewnienie konsultanta, że dane wrażliwe na pewno nie trafią do służb. Bo każdy konsultant wie takie rzeczy. Nie dziwi jej, że tak łatwo uzyskała zgodę na wałęsanie się z kamerą w czasie toczącej się wojny. Nie zastanawia się, co Rosja będzie miała z jej pobytu. Przecież to oczywiste, że ją sprawdzili. Pewnie uznali, że co najmniej im nie zaszkodzi, a w najgorszym wypadku będzie dowodem na umiłowanie wolności przez ich wodza. Nie byłabym dumna z takiej oceny.

> Czego jak czego, ale biedy i nieszczęścia nigdy w Rosji nie brakowało. Trzeba się bardzo postarać, żeby tego nie widzieć.

Określenie „reportaż" to o wiele za dużo. O ile autorka nie gawędzi z botem podobnym do Kanta, nie zwiedza łodzi podwodnej albo nie zgłębia zagadki całodobowej kwiaciarni, biega po Kaliningradzie z obłędem w oku i zaczepia przypadkowych przechodniów. Niektórym zadaje naprawdę głupie pytania. „Wie pan, co to jest?" – pyta, wskazując niemiecką nazwę ulicy obok nazwy rosyjskiej. Spodziewa się, że facet nie będzie wiedział albo chociaż oburzy się, że po niemiecku. Ale on, zdumiony, wyjaśnia, że to stara nazwa na zabytku z niemieckich czasów. Później w Tomsku, któremu poświęciła drugi odcinek „Wielkiej wyprawy...", będzie się dziwowała, że na Syberii ludziska mają internet i ogrzewanie.

W Kaliningradzie Wiernikowska wyłazi ze skóry, żeby zareklamować Rosję jako normalny kraj. Broni tez nie do obrony – na przykład że kryzys to fikcja. Ilustruje to widok hali targowej po sufit wypełnionej wiktuałami. „Po prostu bieda!" – ironizuje autorka. Bierze do ręki owoc kaki i pyta sprzedawcę, czy to pomidor. Obiecuje, że pokaże to dziwo Polakom. Nie zastanawia się, dlaczego w hali prawie nie ma klientów. Nie filmuje żebrzących na ulicach ludzi o wyglądzie „byłych inteligentów", którzy już kilkanaście lat temu rzucali się w oczy w rosyjskich miastach. Po aneksji Krymu zasilili szeregi żyjących w nędzy. Ich byt od tamtej pory raczej się nie poprawił. Czego jak czego, ale biedy i nieszczęścia nigdy w Rosji nie brakowało. Trzeba się bardzo postarać, żeby tego nie widzieć. To, że gdzieś można kupić „lotnicze" ananasy, świadczy jedynie o tym, że bogatych wszędzie stać na wszystko.

Drugi odcinek „Wielkiej wyprawy..." wypadł lepiej o tyle, że autorka już się bez przerwy nie śmieje. Może z powodu mrozu. Tym razem nie robi Rosji reklamy i laicy mogą się czegoś dowiedzieć. Jednak pytanie, czy ten materiał w ogóle powinien powstać, pozostaje. Potrzeba pokazania, „co zostało z wielkiej polsko-rosyjskiej miłości", musiała być silniejsza niż przyzwoitość.

Przed nami stoi równie ważne pytanie: czy warto zwiększać zasięgi Kanału Zero. Nie jestem Leninem, nie powiem, *czto diełat'*. Na pewno warto obejrzeć Rosję na zdjęciach Dmitrija Markowa (Instagram, dcim.ru). Od patrzenia na ojczyznę autor umarł z przedawkowania.

RENATA LIS

eprasa.pl 2a79540d47

Nie szarpać widzem

Nie jestem filmowcem, ale uważam, że filmy trzeba robić tak, żeby można je było pokazać ludziom. Szkoda, że twórcy dokumentalnego filmu o ocalałym z Holokaustu publicyście Marianie Turskim „XI. Nie bądź obojętny" nie zastosowali się do tej zasady i zrobili film, którego TVP nie może pokazać, gdyż wicedyrektor programowy stacji Marek Zając zdecydował, że „to jest zły czas dla takich filmów".

Swoją decyzję Zając uzasadnia tym, że Turski to ważna postać, a film o nim jest „bardzo mocny i poruszający. Taki film, który szarpie człowiekiem". Może to faktycznie wystarczający powód, żeby widzowie go nie zobaczyli. Zwłaszcza w sytuacji, gdy różni ważni ludzie, którzy film widzieli, byli różnymi fragmentami oburzeni, a naczelny rabin Polski opuścił salę w trakcie przedpremierowej projekcji.

Rozumiem, że misją TVP jest, żeby jej produkcje za bardzo nie poruszały i nie szarpały. Jest obawa, że decyzja o niepuszczeniu filmu o Marianie Turskim (podobno uzgodniona z twórcami) także niektórymi widzami szarpnie, ale mam nadzieję, że nie aż tak, jak szarpnęłoby nimi jego obejrzenie. Dobrze, że TVP ma w zapasie mnóstwo produkcji, które nikogo nie poruszają, i bez trudu wypełni nimi program do momentu, aż przyjdzie dobry czas na puszczenie nowego dokumentu o Turskim.

Na razie zdaniem dyrektora generalnego TVP czas jest fatalny, bo emisja poza tym, że niepotrzebnie poruszyłaby widzów, byłaby „bombą w polskie polityczne bagno". Zgadzam się, że misją TVP nie jest rzucanie bomb i taplanie się w bagnie, tylko sprawne emitowanie właściwych filmów we właściwym czasie. I nie mam powodu wątpić, że dyrektor programowy posiada kompetencje do tego, żeby wiedzieć, kiedy ten czy inny film puścić lub nie, żeby nikogo za bardzo nie poruszyć.

Ponieważ dokumentu o Marianie Turskim nie widziałem, nie umiem powiedzieć, ile zyskałem z tego powodu, że nie zobaczyłem go teraz, kiedy miałem na to ochotę, tylko być może zobaczę wtedy, kiedy według dyrekcji nadejdzie najlepszy dla mnie i dla tego filmu moment. Wiem tylko, że człowiekowi często brakuje rozumu i najchętniej różne rzeczy oglądałby od razu, chociaż doskonale wie, jak bardzo może to jemu zaszkodzić.

Nie wiemy, kiedy film o Turskim przestanie tak szarpać i poruszać, że można go będzie ludziom pokazać. Marian Turski przez prawie 30 lat był moim redakcyjnym kolegą i z tego, co wiem, z jego udziałem nie mógł powstać film, który nikogo nie porusza. Szczerze więc wątpię, czy moment na pokazanie filmu nadejdzie.

GALERIA POLITYKI

ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mnt leipa passion process technology

eprasa.pl 2a79540d47

Nie bądź obojętny!

Te słowa padły sześć lat temu w dniu obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Marian Turski mówił wówczas: „Nie bądźcie obojętni, jeżeli widzicie kłamstwa historyczne. Nie bądźcie obojętni, kiedy widzicie, że przeszłość jest naciągana do aktualnych potrzeb polityki. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek mniejszość jest dyskryminowana. (...) Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek władza narusza przyjęte umowy społeczne, już istniejące. Bądźcie wierni temu przykazaniu. Jedenaste przykazanie: Nie bądź obojętny!".

18 lutego, w pierwszą rocznicę śmierci Mariana Turskiego, grupa przyjaciół zebrała się przy jego grobie na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie. Odsłonięto nagrobek z symbolicznymi 11 nacięciami odwołującymi się do przykazań; rabin **Michael Schudrich** zaintonował zaś po hebrajsku Psalm 23 (Pan jest moim pasterzem) oraz Kadisz. Pomnik nagrobny zaprojektował SENNA Kolektyw (dr Natalia Romik, Sebastian Kucharuk, Agata Korba), znany z tworzenia nowoczesnych artystycznie upamiętnień związanych z historią Żydów w Polsce. Przywraca on symbolicznie także pamięć o zamordowanej w Auschwitz rodzinie Mariana Turskiego: o ojcu Eliaszu Turbowiczu i młodszym bracie Wolfie Turbowiczu.

Jedenaste przykazanie Mariana Turskiego, historyka i Strażnika Pamięci, staje się szczególnie ważne w czasie wzbierającej politycznej, brunatnej fali. Jak przestrzega Olga Tokarczuk we wstępie do książki Mariana Turskiego: „Często się boję, że kiedy świadkowie odejdą w ostatnią podróż, ludzie zapomną o złu. Jeżeli nie będziemy się szczepić najstraszniejszymi doświadczeniami przeszłości – choroba wróci".

Autorzy POLITYKI docenieni

Z dumą informujemy o kolejnych nagrodach dla dziennikarzy POLITYKI. W ubiegłym tygodniu **Joanna Solska** została wyróżniona w tegorocznej edycji Nagród Dziennikarskich Szkoły Głównej Handlowej w kategorii publicystyka – za „tłumaczenie trudnych kwestii ekonomicznych na język przystępny i zrozumiały". Jak podkreślono w uzasadnieniu: „Redaktor Solska to synonim rzetelności i jakości w dziennikarstwie ekonomicznym oraz spokoju i wyważenia w publicystyce".

Z kolei nasz reporter **Zbigniew Borek** został jednym z laureatów międzynarodowego konkursu „II wojna światowa 80 lat później. Co pozostało z II wojny światowej?", organizowanego przez European Network Remembrance and Solidarity, sieci wspierającej dialog na temat historii Europy XX w. Naszego redakcyjnego kolegę nagrodzono za tekst „Ikona z torebką" – o Danucie Seń-Danielsson, Polce, która w Szwecji stała się symbolem walki z faszyzmem – opublikowany w świątecznym numerze POLITYKI (51–52/25). Jak podkreślono w uzasadnieniu, opowieść Zbigniewa Borka ujawnia wielowymiarowość ludzkiego losu, sprawiając, że ocena ludzkich postaw jest złożona i daleka od prostej, czarno-białej perspektywy.

Posypały się również nominacje dla innych naszych autorów do ważnych branżowych nagród w Polsce. I tak już w piątek 27 lutego dowiemy się, czy Nagrodę Mariusza Waltera w kategorii sport w mediach otrzyma **Juliusz Ćwieluch**, szef działu społecznego POLITYKI, reporter, ale też twórca popularnego podkastu POLITYKI „Rowery, nie bajki".

Z kolei **Katarzyna Kaczorowska**, również dziennikarka działu społecznego, została nominowana do Wirtuali 2026 w kategorii publikacja roku (społeczeństwo) za tekst „Był zagubiony", opublikowany w POLITYCE 12/25 w ramach naszego specjalnego cyklu „Odchodzić po ludzku", pokazującego, jak naprawdę wygląda codzienność osób starszych, niesamodzielnych i chorych w Polsce. Jak zaznaczono w uzasadnieniu do nominacji: „Socjolodzy i demografowie mówią o »srebrnym tsunami« – polskie społeczeństwo szybko się starzeje. Tymczasem system opieki nie jest przygotowany na wyzwania związane z rosnącą liczbą seniorów. Opisana historia pokazuje bezradność dwojga schorowanych, kochających się ludzi, których państwo nie dostrzegło i którym nie zapewniło wsparcia. To przede wszystkim ostrzeżenie, że podobnych dramatów może być coraz więcej".

Do Wirtuali nominowano również okładkę POLITYKI „Hołd techkróli" autorstwa **Pawła Smardzewskiego** (POLITYKA 5/25).

Ale to nie koniec. Wśród dziesiątki nominowanych do nagrody Pióro nadziei (Amnesty International) znalazł się również współpracujący z naszą redakcją dziennikarz i krytyk **Mateusz Witczak** – wyróżniony „za teksty o polityce, kulturze cyfrowej, społeczności queer i potrzebach osób z niepełnosprawnościami".

Wszystkim autorom serdecznie gratulujemy i trzymamy za nich kciuki.

REDAKCJA

© LESZEK ZYCH (4)

eprasa.pl 2a79540d47

Szyk w wielkim mieście

Carolyn Bessette-Kennedy uosabiała amerykański sen lat 90. Była idealną dziewczyną z Manhattanu i pierwowzorem Carrie z „Seksu w wielkim mieście". Teraz powraca dzięki serialowi „Love Story".

Urodziła się w Nowym Jorku w 1966 r. w rodzinie o francusko-kanadyjskich korzeniach. Wszystko w jej życiu układało się z pozoru jak należy. Dobrze sytuowana rodzina, katolickie wychowanie, porządna edukacja łączona z karierą modelki, praca w branży modowej, wyjście za mąż w 1996 r. za najlepszą partię w Stanach Zjednoczonych – syna prezydenta Kennedy'ego, prawnika.

Carolyn Bessette-Kennedy uosabiała amerykański sen lat 90., była idealną dziewczyną z Manhattanu – *it girl*. Mogła pozwolić sobie na wszystko, pozostając niezwykle skromną i uprzejmą. Paparazzi robili jej zdjęcia, które drukowała kolorowa prasa. Młode kobiety kopiowały jej stylizacje i marzyły o jej życiu. Przez jej popularność i łagodność porównywano ją do Lady Diany. „Nie podchodźcie za blisko" – prosiła fotoreporterów.

Jej styl był pełen niewymuszonej elegancji i obrazował zmiany, jakie zaszły w modzie w tamtym czasie.

Kinga Strzelecka-Pilch – romanistka, tłumaczka z języka francuskiego, doktorantka w Szkole Doktorskiej Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Obfitość form, tekstur, wzorów i kolorów lat 80. została wyparta w latach 90. przez minimalizm, oszczędną paletę barw, proste kroje. Szlachetne materiały, dobrej jakości wełna, dżins, bawełna wyparły z mody syntetyki z dekady disco.

Jednym z najmodniejszych projektantów stał się wtedy Calvin Klein, dla którego pracowała Bessette. Twarzą Kleina była modelka Kate Moss, podobnie jak Bessette szczupła blondynka, lansowano wtedy – dziś powiedzielibyśmy – szkodliwy trend *heroin chic*. Klein proponował uniseksowe rozwiązania – projekty czy perfumy bez rozróżnienia na płeć – Bessette i Kennedy wymieniali się ubraniami, dbali o swój wizerunek i podczas wspólnych wyjść dopasowywali stylizacje nie tylko do okazji, ale i do siebie.

Znakiem rozpoznawczym Carolyn, która uważała, że ubrania powinny być przede wszystkim wygodne, były biała koszula i długa spódnica, czarny golf noszony do beżowych spódnic, brązowych spodni, dżinsów. Na wieczór wybierała proste czarne sukienki, tzw. małe czarne, z prostokątnym dekoltem lub bez ramiączek. Jej makijaż był delikatny, niekiedy używała czerwonej pomadki, preferowała naturalne fryzury – długie, rozpuszczone włosy lub luźne upięcia. Często zakładała ciemne okulary i opaski. Jej dodatki – nawet markowe i ekscentrycznie drogie – nie posiadały widocznego logo. Oszczędność i zachowawczość przełamywała czasem dziewczęcymi sukienkami w kwiaty. „Lubię bardzo klasyczne kolory – czarny, granatowy, szary i biały" – mówiła.

Zaledwie trzy lata po ślubie para zginęła tragicznie w katastrofie samolotu, który pilotował **JFK Junior**. Ich życie było dalekie od ideału, naznaczone niewiernością Johna i samotnością Carolyn, przed śmiercią nosili się z zamiarem rozwodu. Burzliwy związek stał się nawet pierwowzorem postaci Carrie i Biga ze słynnego serialu „Seks w wielkim mieście". Bessette jest zresztą przywoływana w kilku odcinkach przez bohaterki, które stawiają ją sobie za wzór. Pikanterii dodaje fakt, że odtwórczyni głównej roli w serialu – Sarah Jessica Parker – była partnerką Johna Kennedy'ego Juniora przed Carolyn.

Postać Bessette została zmitologizowana przez niespodziewaną śmierć, wpisującą się w teorie spiskowe o „klątwie Kennedych". Ponadto opowiadana jest przez pryzmat teściowej – Jackie Kennedy, równie pięknej, idealnej, podziwianej i nieszczęśliwej.

Teraz historia Carolyn powraca w 2026 r. dzięki serialowi „Love Story" na platformie Disney (recenzowaliśmy go w poprzedniej POLITYCE) i modzie na lata 90. W 2022 r. paryska marka Rouje wypuściła kolekcję inspirowaną, a w zasadzie kopiującą styl Bessette. Kampania reklamowa wywołała pytania o granice inspiracji. Stylowi Carolyn poświęcono albumy, w tym ostatni, zatytułowany „CBK. A Life in Fashion" (nawiązanie do JFK, jej teścia i męża). Choć niedługo minie 27 lat od jej śmierci, to te trzy lata życia na świeczniku wciąż rozbudzają wyobraźnię. ■

© TYLER MALLORY/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, INSTAGRAM, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 2a79540d47

WIRAL

Załoga pieroga

Przez dwa tygodnie wszyscy byliśmy ekspertami od sportów zimowych. Kto śledził igrzyska na ekranie i w social mediach, ten pewnie już przyswoił, z jakich skał powstają kamienie do curlingu (ze szkockiego granitu), czym się różni axel od toe-loopa, saneczkarstwo od skeletonu, slopstyle od crossa i gdzie się znajduje przydatna w razie porażki „strefa kiss and cry" (urządź ją sobie w domu!). Dla sportowców to sprawy oczywiste, dla widowni niespecjalnie. Zwłaszcza młodszej, tiktokowej, która nie może się nadziwić, jak groźny jest zawodowy sport, jak ostre są panczeny, ciasne bobsleje (nazywane w sieci trumienkami) i jak bardzo się liczą tysięczne części sekund. Chwila zawahania i już jest po zawodach.

Po zawodach też działy się we Włoszech ciekawe rzeczy. Medal za najbardziej obciachowy występ przed kamerą otrzymałby zapewne Norweg Sturla Holm Lægreid. Zdobywca brązu w biathlonie ze łzami w oczach przyznał w wywiadzie, że dopuścił się zdrady wobec ukochanej. Przyćmił tym chyba wszystkie olimpijskie zaręczyny. Medal za najbardziej spektakularne przekroczenie linii mety musiałby odebrać Ikuma Horishima z Japonii, ekspert od narciarstwa dowolnego, który finiszował tyłem. Medal dla najbardziej wiralowej dyscypliny – pomysłodawca curlingu. W roli kamienia występują w sieci roboty odkurzające, a nawet kościelne dzwonki – ministranci doprawdy wyczynowo pucują posadzkę.

Medal dla najlepiej ubranej reprezentacji należy się *ex aequo* Brazylijczykom, Czechom i drużynie z Mongolii, a dla najlepszej maskotki – hurra! – Polakom. Łyżwiarze figurowi zabrali do Włoch pluszowego pieroga z katowickiego sklepu Luft z rękodziełem. **„Pieroguszkę"**, bo tak ma na imię, szyją osoby z niepełnosprawnościami ze spółdzielni socjalnej Honolulu. Wyprzedała się w mig i zachwyciła świat (w tym **Snoop Dogga**), choć oficjalne maskotki igrzysk – łasice Mila i Tino – też są całkiem udane. To nastoletnie rodzeństwo – wyjaśniają organizatorzy – „energiczne, zmotywowane, czasem uroczo lekceważące dorosłych", krótko mówiąc: generacja Z. To dobrze oddaje charakter tych zawodów: o podia bili się najmłodsi (gwiazdy: łyżwiarze Alysa Liu i Michaił Szajdorow, snowboardzistka Chloe Kim, dla Polski skoczek Kacper Tomasiak) z weteranami (42-letnia łyżwiarka Deanna Stellato-Dudek, 41-letnia narciarka alpejska Lindsey Vonn...). Kto był górą? W duchu olimpijskiej zgody załóżmy, że był remis.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

SŁOWO

Mem w kremie

Zwrot „Chcesz coś z Avonu?" przetrwał w polszczyźnie na tyle długo, że choć nienowy, warto o nim przypomnieć. Lepiej go rozumieć, bo jest złośliwym komentarzem do sytuacji, w których ktoś wykazał się brakiem honoru, bezwstydem i wyrachowaniem. Wziął się od krążącego od kilkunastu lat screenu z esemesową wymianą, który nabrał charakteru mema. Korespondencja jest właściwie jednostronna. Pierwsze dwie wiadomości sygnalizują zamknięcie poprzedniej konwersacji: „Szlaufa? Żałosna jesteś, w ch... dwulicowa, nara". Ale kolejna sygnalizuje otwarcie nowej: „Hej, chcesz coś z Avonu?". Bo kiedy w grę wchodzą interesy, kontakt można wznowić (Avon to amerykańska firma kosmetyczna znana ze sprzedaży wysyłkowej). W kolejnych wymianach fraza ta wracała, używana „potocznie, ekspresywnie (z politowaniem, kpiną, ironią itp.) i z dezaprobatą", jak czytamy na stronach Obserwatorium Językowego UW. Pojawia się tam przykład z platformy X, w którym publicysta Jacek Nizinkiewicz wylicza, kiedy to różnym ugrupowaniom politycznym było po drodze z postkomunistami, a jeden z komentujących zauważa: „Czyli jak zwykle: komuchy »be«, no chyba że akurat się opłaca, to wtedy »chcesz coś z Avonu?«".

Rzecz doczekała się cytatów w kulturze. W utworze Belmondo mamy zastrzeżenie: „Nie chcę sziszy ani nic z Avonu". Pojawiła się też przy okazji sytuacji sprzed kilku lat, gdy na scenę na koncercie innego rapera wpadł mężczyzna z publiczności, łapiąc gwiazdora za ramię – ten zwyzywał fana i wygonił ze sceny. Po jakimś czasie przeprosił go jednak oficjalnie i zaoferował w ramach rekompensaty darmową wejściówkę na swój występ. Natychmiast pojawiła się wersja mema z jego podobizną: „Szlaufa? Żałosna jesteś, w ch..., dwulicowa, nara. Hej, chcesz bilet na koncert?". Na X fraza pojawiła się też jako komentarz do poczynań gabinetu PiS w czasach pandemii: „Polski rząd do UE: Żałosna jesteś, w ch... dwulicowa, nara. Polski rząd do UE, kiedy koronawirus: Hej, chcesz coś z Avonu?". Co prawda to my chcieliśmy, a nie oni chcieli, ale przecież nie chodzi tu ani o to, kto komu, ani o to, skąd (firma pojawiająca się w tym kontekście raczej się z niego nie cieszy), tylko o wyrachowanie. Nie ma, przynajmniej na razie, kosmetyków maskujących dwulicowość.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Sprzedać wszystko w jednej puli,
Dochód dać matuli, dwulicowych odpulić
Sobel, Mama powiedziała, 2024 r.
odpulić – spławić, odprawić

eprasa.pl 2a79540d47

Życie po śniegu

PODRÓŻE

Jak jest zima, to muszą być narty. A jak nie ma zimy? Czy za 40 lat będziemy szusować wyłącznie po sztucznym śniegu albo po sztucznych stokach?

Czy będzie jeszcze kiedyś prawdziwa zima, jak za dawnych lat? – to pytanie polscy miłośnicy nart zadawali sobie co najmniej od kilku sezonów. I wreszcie jest. Polskie stoki pokrywa puch lub śnieg ratrakowany, wyciągi narciarskie pracują pełną parą, leje się grzaniec i zimowa herbata. Jednak nie wszędzie są powody do radości.

We francuskich Alpach już w listopadzie zaczęto rozbiórkę słynnego ośrodka narciarskiego Céüze 2000. Dźwigi na ciężarówkach przewracały metalowe słupy wyciągów, dalszym demontażem zajmowali się robotnicy. Teraz 90 ton metalu zostanie przetransportowane helikopterem do innych stacji narciarskich albo na złom. Około stu osób zebrało się, żeby pożegnać ośrodek, który działał w Alpach przez 85 lat i był jednym z najstarszych w kraju. Już w latach 90. śnieg pojawiał się tam nieregularnie, w kolejnej dekadzie stał się rzadkością. W 2018 i 2019 r. ośrodek nie otworzył się nawet na jeden dzień. W 2020 r. zamknięto go na stałe.

„Ośrodki duchy" – tak mówi się we Francji na opuszczone stacje narciarskie. W sumie od 2013 r. zamknięto ich już 186. Większość rozmontowano, w pozostałych metalowe konstrukcje ulegają rozkładowi, zanieczyszczając glebę i wodę chemikaliami oraz mikroplastikiem. W niektórych infrastruktura była przestarzała albo brakowało dogodnego dojazdu, co czyniło je mniej konkurencyjnymi. Jednak główny powód jest prosty: brak śniegu. Wraz z postępem globalnego ocieplenia linia śniegu w Alpach przesunęła się do góry – średnio o 250 m w ciągu ostatnich pięciu dekad; do 2060 r. może się podnieść nawet o dalsze 650 m. We Francji z powodu rozbiórki „ośrodków duchów" pojawiają się głosy, żeby zachować niektóre jako pamiątki kultury narciarskiej dla przyszłych pokoleń. Jednak władze zwykle wolą stawiać na inne formy turystyki, choćby wspinaczkę górską czy spacery.

W Polsce na razie zamykano ośrodki jedynie tymczasowo – np. w 2023 r., kiedy na początku stycznia temperatury sięgały kilkunastu stopni. Jednak większość z nich i tak wspomaga się armatkami śnieżnymi – urządzeniami, które wyrzucają w powietrze małe kropelki wody, a te spadają na ziemię w postaci śniegu. Pierwszy sztuczny płatek powstał w 1936 r. w japońskim laboratorium, a już 20 lat później w USA działały maszyny produkujące śnieg. Dziś według niektórych badań nawet 95 proc. ośrodków narciarskich w pewnym stopniu korzysta z armatek. Ale żeby te poprawnie działały, jeżeli jest wilgotno, temperatura musi choć na jakiś czas spaść poniżej zera – co pamiętnej zimy 2023 r. się nie wydarzyło. Dodatkowo ekolodzy narzekają, że do produkcji sztucznego śniegu pobierana jest woda z rzek – dwa metry sześcienne śniegu pochłaniają nawet tysiąc litrów wody. W bardziej suchych latach takie zużycie może doprowadzić do konfliktu z lokalnymi społecznościami. Do produkcji śniegu trzeba także wykorzystać sporo prądu.

Jak długo jeszcze to będzie się opłacać? Wielu ekspertów twierdzi, że za kilkadziesiąt lat narciarstwo w górach poniżej 2000 m nie będzie miało racji bytu. 13 proc. wszystkich stacji narciarskich straci całkowicie śnieg do roku 2070–2100, w kolejnej jednej piątej będzie go mniej o połowę. Są więc takie ośrodki, które już teraz decydują się na innowację: suche stoki. Pierwszą „sztuczną matę narciarską" wynaleziono i opatentowano w 1956 r. Dzisiaj na świecie jest już ponad tysiąc sztucznych stoków w 50 krajach. Szczególnie popularne są w miastach – np. **w Kopenhadze na dachu elektrociepłowni działa 400-metrowy stok**, zaprojektowany przez architekta Bjarke Ingelsa, pokryty sztuczną powierzchnią Neveplast, która naśladuje ubity śnieg. Niektóre ośrodki na razie używają suchych stoków tylko poza sezonem (choćby w rejonie Kagura w Japonii), ale być może już za kilkadziesiąt lat również zimą będziemy szusować po sztucznych stokach wśród zieleni świerków i jodeł. ■

Urszula Jabłońska
– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii" oraz „Światy wzniesiemy nowe".

© COPENHILL (2), ARCHIWUM PRYWATNE (2), BARTEK KIEŻUN

eprasa.pl 2a79540d47

Ziemniaki to w Polsce rzecz stosunkowo nowa. Jak trafiły na nasze stoły? Zajrzyjmy do stolicy pyr.

Hymn na cześć pyr

KUCHNIA

Na początku XVI w. nad Wisłą pojawili się artyści, rzeźbiarze i kamieniarze z Italii. Był wśród nich Giovanni Battista di Quadro z Ponte Tresa na szwajcarsko-włoskim pograniczu. Okoliczne ziemie należały do biskupa Mediolanu i wszędzie hodowano węgorze. Battista nie chciał zapewne zajmować się całe życie rybami i wybrał emigrację. Początkowo projektował dla władców Saksonii, ale 13 marca 1551 r. podpisał umowę z władzami Poznania na przebudowę gotyckiego ratusza, pamiętającego jeszcze czeską dynastię Przemyślidów. Musiał już być ceniony, bo powierzono mu też przebudowę katedry w Płocku i zamku biskupiego w Krobi.

Nie wszystko poszło tak, jak sobie wymarzył, nadmiar pracy nieco go przygniótł. Nie dotrzymał terminów, a sprawę do sądu oddał Benedykt Izdbieński, biskup Poznania. Władzom miasta najwyraźniej to nie przeszkadzało, bo mimo opóźnień zatrudniły go na stanowisku miejskiego architekta. Battista pełnił tę funkcję przez dekadę. Dostał też angaż przy przebudowie Zamku Królewskiego w Warszawie.

Do historii przeszedł jednak głównie jako człowiek, który odmienił poznański ratusz. Zgodnie z wymaganiami władz budynek podwyższył i dobudował wieżę, z której rozbrzmiewał grany na trąbce hejnał, jeden z najstarszych w Polsce. Wybudował też trójkondygnacyjną loggię na wschodniej fasadzie budynku, która wciąż zachwyca wyjątkową harmonią. Między drugą i trzecią kondygnacją umieścił rząd medalionów z podobiznami wielkich postaci starożytności, m.in. Juliusza Cezara, Wergiliusza i Homera. Z prawej i lewej strony umieszczono postaci Piastów, natomiast ponad nią – na attyce – wizerunki Jagiellonów. Pozostałe strony elewacji nie są aż tak okazałe, zdobią je głównie łacińskie inskrypcje.

Gmach szybko obrósł legendami, z których najpiękniejsza jest ta o królu kruków, którego wyleczył syn miejskiego trębacza pełniącego straż na wieży ratuszowej. Zdrowy kruk przemówił do niego ludzkim głosem i wręczył mu w prezencie trąbkę. Zaznaczył, że może jej użyć tylko w wielkim niebezpieczeństwie. W Poznaniu opowiadają, że lata później, kiedy miasto oblegały wrogie wojska, chłopak zagrał na magicznej trąbce, nie wiedząc, czego się spodziewać. Wtedy z okien loggii dostrzegł nieprzebrane stado kruków, które spadły na napastników i zmusiły ich do ucieczki.

Oczywiście nie wiadomo, czy kruki kiedykolwiek uratowały miasto. Nie wiadomo też, kiedy na poznańskich stołach pojawiły się tak kochane tutaj ziemniaki. Mówi się, że po odparciu wojsk Imperium Osmańskiego pod Wiedniem przez polską armię austriacki cesarz Leopold podarował kilka sadzonek Janowi III Sobieskiemu, a ten przesłał je królowej Marysieńce do Warszawy.

Traktowano je jednak ze sporym dystansem. Nie ceniono ich walorów kulinarnych, za to zachwycano się ich delikatnymi kwiatami. Na piedestał wyniósł je inny król i jednocześnie elektor saski August II Mocny, który nie wyobrażał sobie posiłku bez miski smażonych ziemniaków. Z Drezna do Poznania nie było specjalnie daleko, więc jest szansa, że już na początku XVIII w. trębacze z poznańskiego ratusza zjadali na obiad pyry z gzikiem. To postne danie popularne w Wielkopolsce, ale i na Mazowszu. Składają się na nie ziemniaki, często ugotowane w mundurkach, i doprawiony twaróg. Czasami całość polewano lnianym olejem dla podbicia kaloryczności, dziś często olej zastępuje się gorącym masłem. ■

Bartek Kieżun – dziennikarz, podróżnik i fotograf. Autor bestsellerowych przewodników kulinarnych: „Italia do zjedzenia" i „Neapol łakomym okiem". Gotuje, karmi, prowadzi warsztaty kulinarne, organizuje kolacje degustacyjne i pisze.

Pyry z gzikiem

Składniki (dla 4 osób):

- 4 duże ziemniaki
- 100 g masła

Gzik:

- 400 g twarogu
- cebula
- 200 ml kwaśnej śmietany 18%
- pęczek koperku
- pęczek szczypiorku
- sól, pieprz

Przygotowanie:

- Ziemniaki dokładnie myjemy i gotujemy w słonej wodzie do miękkości.
- Cebulę obieramy i drobno siekamy.
- Twaróg rozdrabniamy widelcem.
- Dodajemy śmietanę, solimy i doprawiamy pieprzem. Dokładnie mieszamy.
- Ziemniaki odcedzamy. Przełamujemy każdy na pół i nakładamy do środka dużą ilość sera.
- Na talerzu posypujemy posiekanym koperkiem i szczypiorkiem oraz polewamy roztopionym posolonym masłem.

eprasa.pl 2a79540d47

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Korona w Łochowie

Dyrektor hotelu w Łochowie doskonale wiedział, że wynajmuje go na zjazd Konfederacji Korony Polskiej. Sam podpisał umowę, i to bezpośrednio z Grzegorzem Braunem. Kulisy sprawy opisuje Anna Dąbrowska. Właściciel sieci Arche Władysław Grochowski publicznie zapewniał, że o niczym nie wiedział,

z Braunem mu nie po drodze, a cały przychód z imprezy trafi do Ukrainy. Pytanie, czy uwzględnił w tej kwocie noclegi i posiłki. Nasze ustalenia i wyliczenia na polityka.pl

„Ołowiane dzieci": ile faktów, ile mitów?

Nowy serial Netflixa przywraca pamięć o epidemii ołowicy wśród dzieci z katowickich Szopienic, trutych przez wyziewy z huty metali nieżelaznych. Czy tę wstrząsającą historię udało się wiernie odtworzyć na ekranie? W podkaście historycznym POLITYKI oddzielamy fakty od mitów z pomocą Anny Kowalczyk, dziennikarki, autorki audioserialu poświęconego ołowicy. To rozmowa o pamięci, odpowiedzialności i o tym, dlaczego ta historia wciąż dotyczy nas wszystkich.

Światowy Jan Komasa

W podkaście kulturalnym POLITYKI gościmy Jana Komasę, wybitnego reżysera, który z sukcesem rozwija karierę międzynarodową. „Dobry chłopiec", film o obsesji kontroli, Brytyjczycy już uznali za niezwykle udany eksperyment w stylu „Mechanicznej pomarańczy". Obsada jest gwiazdorska, scenariusz polski. Pierwotnie to miał być polski film – reżyser w rozmowie z Januszem Wróblewskim tłumaczy, kto mu podarował ten tekst i jaką rolę odegrał Jerzy Skolimowski.

Wyjazd do Calpe

Polska zima nie rozpieszcza rowerzystów. Więc może hiszpańskie Calpe? „Niezłe asfalty i niemal szklarniowe warunki na drodze – chwali Juliusz Ćwieluch, autor podkastu „Rowery, nie bajki". – Szklarniowe, czyli nikt nie próbuje cię zepchnąć do rowu albo chociaż puścić chmury ze spryskiwaczy, żebyś nie zapomniał, do kogo należy droga". Naszym przewodnikiem po Calpe jest Leszek Śledziński, znany jako Leszek PrawiePro. Od razu zechcecie tam wyruszyć. Z rowerem i bez.

Co czyta Tomasz Stawiszyński

Fani podkastu „Polityka o książkach" Justyny Sobolewskiej apelowali w komentarzach o rozmowę z Tomaszem Stawiszyńskim, filozofem, publicystą, pisarzem, ale i namiętnym czytelnikiem. Spełniliśmy tę prośbę. Stawiszyński przyniósł do naszego studia mnóstwo książek. Zdradził, którą z nich traktuje jak talizman, co czytał w dzieciństwie i dlaczego wciąż wraca do Junga. Czyta też dla równowagi Stephena Kinga. Warto słuchać, oglądać i – jak widać – komentować.

© KATARZYNA ZAREMBA/PAP, LESZEK ZYCH (2), NETFLIX, SHUTTERSTOCK

GALERIA POLITYKI

JAN KOZA

eprasa.pl 2a79540d47

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- *Rehabilitacja ortopedyczna:*
  - *stawów rzepkowo-udowych*
  - *stawów barkowych*
  - *kręgosłupa*
  - *stawów kolanowych*
  - *kontuzji sportowych*
  - *po zwichnięciach stawów*
  - *urazów mięśni*
  - *więzadeł*
  - *po złamaniach*
- *Fizykoterapia*
- *Masaż leczniczy*
- *Diagnostyka funkcjonalna*
- *Rehabilitacja w uroginekologii*
- *Terapia przeciwobrzękowa*

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 2a79540d47

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE
OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Granice?
Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.
Panoramiczne drzwi przesuwne MB-Skyline Type S